

MAŁGORZATA STAROSTA



KWESTIA *czasu*

Zagadkowy przybysz, magnes na trupy i zguba.
Kwestia czasu to znakomite zakończenie trylogii
o Pruskich babach...

MAŁGORZATA
STAROSTA



KWESTIA
czasu



WYDAWNICTWO
VECTRA

Redakcja
Barbara Kaszubowska
Robert Ratajczak
Korekta
Natalia Jargieło
Fotografia na okładce
© francois clappe - stock.adobe.com

© Małgorzata Starosta
© Wydawnictwo „Vectra”

Projekt okładki
Natalia Jargieło
Skład, łamanie, realizacja okładki
przygotowanie publikacji elektronicznej
Artur Kaczor, PUK KompART
Druk i oprawa
WZDZ Drukarnia Lega, Opole

ISBN 978-83-65950-54-3
(wydanie elektroniczne)
ISBN 978-83-65950-53-6
(wydanie papierowe)

Wydawca
Wydawnictwo „Vectra”
Czerwionka-Leszczyny 2020
www.arw-vectra.pl

Spis treści

Okladka

Strona tytułowa

Karta redakcyjna

Dedykacja

Prolog

Kwestia czasu

Epilog

Od autorki

Podziękowania

Z tej samej serii

MAŁGORZATA STAROSTA

Moim Czytelnikom

PROLOG

Rzecz cała toczyła się w mieszkaniu dwóch kumpli, ściślej mówiąc, w wynajmowanym mieszkaniu studenckim. Kumple znali się od dawna, od zawsze w zasadzie, obaj przyjechali na studia do Wrocławia i udało im się znaleźć za niewielkie pieniądze lokum idealnie odpowiadające ich potrzebom: dwa pokoje, kuchnia, balkon. Wszystko było świetnie, do czasu aż nie poznali sąsiadki.

Babuleńka, dziesiąty krzyżyk na karku, ale życie chyba bardzo dało jej w kość, co odbijało się na najbliższym otoczeniu. Z braku rodziny rykoszetem obrywali sąsiedzi. Wyobraźni też jej nie brakowało i wieczorami kobiecina uprzyjemniała chłopcom czas, wyjąc Radiem Maryja na cały regulator, czasem waliła w garnki, a zdarzało się, że sprawdzała swoją sprawność fizyczną, rzucając w drzwi ich mieszkania ziemniakami. Bóg jeden raczy wiedzieć, co takiego zrobili jej ci biedni studenci, skoro żadnych imprez nie urządzali, muzyki słuchali w słuchawkach, a najczęściej ich wcale nie było, bo zajęcia na uczelniach wyższych zwykle zajmują całe dni. Nie darzyli więc chłopcy miłością swojej sąsiadki, ale nawet im w głowach nie powstało, żeby pójść z interwencją, kiedy na przykład naszła ją ochota na odkurzanie o trzeciej w nocy. I bynajmniej nie dlatego, że się bali, po prostu najzwyczajniej w świecie się brzydzili. Babcia bowiem wydzielala niezwykle nieprzyjemną i intensywną woń, co można było stwierdzić, przechodząc obok jej drzwi, a jeszcze gorzej było, gdy minęło się ją samą.

Pewnego dnia Andrzejek wrócił do domu nieco wcześniej, bo odwołali mu wykład, i na swoim piętrze zastał czterech mundurowych w towarzystwie kilku sąsiadów. Ledwo przecisnął się w kierunku mieszkania, a wtedy jeden z policjantów zauważył go i zmaterializował się przy drzwiach.

- Przepraszam, pan tu mieszka? - zapytał, wbijając w niego wzrok.

- Eeee, no... - Tu nastąpiła pauza na przemyślenie. Strumień świadomości Andrzejka biegł mniej więcej tak: wynajem jest nielegalny, zaaresztują go, wyleci ze studiów, zgnije w więzieniu, a właściciel mieszkania jeszcze go zabije za to, że doniósł. - Tak, mieszkam tu - odparł w końcu dzielnie. Jednak chrześcijańskie wychowanie w zgodzie z zasadą prawdomówności zwyciężyło. Andrzejek dumnie wypiął pierś i spróbował spojrzeć władzy w oczy.

- A sam pan tu mieszka? - kontynuował przesłuchanie policjant.

- Nie, z przyjacielem, znaczy z kolegą. - Chciał jeszcze dodać, że jego dziewczyna bywa tu codziennie, żeby nie było nieudomówień. Kto wie, czy przypadkiem w tym kraju nie poluje się teraz na gejów.

- A czy kolega jest może w domu?

- Nie wiem, ja dopiero z zajęć wróciłem, nie studiujemy razem. Zaraz sprawdzę, ale wydaje mi się, że powinien być na uczelni. - Nerwowo przekręcił klucz w zamku. Z ulgą stwierdził, że zamknięty jest od zewnątrz, co oznaczało, że Miśka nie ma. W głowie Andrzejka zaległy się już podejrzenia i chciał najpierw pożegnać się z przyjacielem, zanim go aresztują, poza tym Misiek wisiał mu kasę. - A, proszę pana, coś się stało?

- Nie, nic takiego, sąsiadka nie żyje - powiedział policjant, zaglądając do pustego mieszkania - a sąsiedzi mówią, że ktoś po balkonach chodził. Próbujemy ustalić kto.

- Aha. To do widzenia.

- Do widzenia. Kolegi nie ma, rozumiem? - zapytał mundurowy, odchodząc spod drzwi.

- A nie, nie ma. Pewnie na zajęciach jest, a ja nie wiem, kiedy wróci. - Andrzejek pozamykał drzwi na wszystkie zamki, wszedł do pokoju, zamknął i te drzwi, po czym wybrał szybko numer Miśka. Wzrok jego padł na kapcie stojące przed drzwiami balkonu i wyobraźnia podsunęła mu najgorsze scenariusze.

- Halo? - Po drugiej stronie słuchawki rozległ się radosny głos.

- Misiek? - Konspiracyjny szept Andrzejka dodatkowo udramatyzował podejrzenia rodzące się w jego głowie. - Gdzie ty jesteś?!

- Na rynku. A co? - Kolega brzmiał, jakby był bardzo z siebie zadowolony.

- A gdzie byłeś wcześniej? - wydusił Andrzejek takim tonem, jakby zaraz miał się rozpłakać.

- W domu. A co?

- A to, że sąsiadka nie żyje!

- Wiem.

- Jak to wiesz? - Pod Andrzejkiem ugięły się nogi. Usiadł na podłodze i zaczął godzić się z myślą o utracie przyjaciela. Za morderstwo to chyba jest dożywocie?

- No wiem, widziałem.

- Co widziałeś? Kretyn! I co twoje kapcie robią pod balkonem?

- No, chodziłem po balkonach. Znaczy... u sąsiadki byłem. To przecież nie na boso, zimno jest i brudno. - Głos Miśka ani na chwilę nie zmienił tonacji. Tryskała z niego radość, a przynajmniej samozadowolenie.

- Chryste, to może ty nie wracaj do domu dzisiaj, gliny cię szukają. - Umysł chłopaka pracował na najwyższych obrotach. „Adwokat, znam kilku, dobra, alibi, coś się sfabrykuje. Boże, biedna matka Miśka, taka porządna kobieta...”.

- A już są? To dobrze, zadzwoniłem od razu, jak zobaczyłem, że stara nie żyje, ale nie mogłem czekać.

- Misiek?

- No?

- Czy ty mógłbyś mi powiedzieć, jak to się stało? Zniosę nawet najgorszą prawdę, jednak muszę wiedzieć teraz, bo inaczej oszaleję. Będę cię osłaniał przed glinami. Obiecuję, stary, wiem, że ona była straszna, ale musiałeś się bawić w Raskolnikowa?

- Co ty bredzisz? Normalnie. Rano, jak wyszedłeś, przyszła do mnie Kalinowska z dołu i powiedziała, że starej od kilku dni nie widziała, poszła więc sprawdzić, co się dzieje, ale tam nikt nie otwiera. No to poprosiła mnie, żebym poszedł na balkon staruchy i sprawdził, czy tam coś widać. - Misiek mlasnął głośno i zaczerpnął powietrza. - Poszedłem i się okazało, że babcia siedzi na krześle z rajstopami naciągniętymi na jedną nogę i śpi. Na szczęście okno było uchylone, to otworzyłem balkon i wszedłem. Poszedłem prosto do drzwi i wpuściłem Kalinowską. Nawet do staruchy nie podchodziłem, bo mi się niedobrze zrobiło. I jak się okazało, że stara jest sztywna, to wróciłem do nas, zadzwoniłem na policję i poszedłem na zajęcia. A gliny pewnie chciałyby to zeznanie usłyszeć, ale to już nie dzisiaj, bo strzeliłem sobie piwko, nie będę im chuchał - zakończył Misiek, niezmiennie z siebie zadowolony.

Andrzejka z emocji zatkało. Poczuł, że ten kamień z serca przygniół mu kolana. Siedział na podłodze, wpatrując się w kaptcie należące do przyjaciela.

- Ale wiesz, co ci powiem, stary? - zachichotał Misiek. - Po śmierci śmierdziała mniej niż za życia. Wiem, że o zmarłych

mówi się albo dobrze, albo wcale, ale to jest przecież dobrze, w końcu to komplement, nie? - Chłopak przerwał na chwilę, po czym dodał śmiertelnie poważnym tonem: - A ty to chyba z powołaniem się minąłeś. Powinieneś zostać detektywem, teorie kryminalne wychodzą ci takie, że klękajcie, narody. - Rozłączył się, pozostawiając Andrzejka w stanie osłupienia.

Przez kilka dobrych minut chłopak się nie poruszył, nie drgnął mu nawet jeden mięsień. Gdyby nie fakt, że miał zdrowie jak koń, sam podejrzewałby siebie o zawał serca.

Kilka lat później, wciąż pamiętając dreszcz emocji przebiegający mu po plecach w trakcie tamtej rozmowy z Miśkiem, Andrzejek, a raczej Andrzej Lewczyński, ukończył z wyróżnieniem studia w Wyższej Szkole Policji w Szczytnie na kierunku kryminologia, za punkt honoru oraz życiowy cel obierając sobie wyjaśnienie wszelkich kryminalnych zagadek tego świata.

Komisarz Andrzej Lewczyński bardzo żałował, że obowiązki służbowe uniemożliwiły mu wzięcie udziału w uroczystym mianowaniu jego kolegi, starszego sierżanta Michała Bączka z dolnośląskiej policji, na stopień podkomisarza. Żałował tym bardziej, że czuł się w jakimś niewielkim ułamku ojcem sukcesu wrocławskiego śledczego, który rozwiązawszy sprawę zagadkowego morderstwa augustowianki, w dodatku znajomej Lewczyńskiego, stał się prawdziwym celebrytą w świecie policji kryminalnej. Żal komisarza dodatkowo pogłębiała świadomość, że na uroczystość została zaproszona także Edyta Prusko, której widok wywoływał u niego dziwne płasanie wnętrzości. Snuł się więc bez celu po korytarzach komendy, wyobrażając sobie, jak też musi się czuć człowiek odbierający wyróżnienie za swoją pracę od ministra spraw wewnętrznych, kiedy z marazmu wyrwał go natarczywy sygnał dzwoniącego telefonu.

- Edyta? - Głupie to było z jego strony, przecież nikt inny nie dzwoniłby z jej numeru.

- Cześć, Andrzeju. - Ten głos na pewno należał do Edyty Prusko. - Przeszkadzam?

- No, cześć. Nie, wcale! - zapewnił odrobinę zbyt entuzjastycznie, po czym się poprawił: - W pracy jestem, ale mogę sobie zrobić przerwę. A ty nie jesteś przypadkiem w Warszawie?

- Przypadkiem, a nawet i celowo jestem - odparła dziewczyna, a w jej głosie zabrzmiała nuta ironii. Ciepłej ironii, należałoby dodać, z pewnością zupełnie pozbawionej złośliwości.

- Bączek szczęśliwy, co? Musiał tam niezłe gwiazdorzyć ten nasz profiler. - W głosie Andrzeja natomiast złośliwość wybrzmiała w pełni.

- Nic z tych rzeczy, podkomisarz Bączek to chyba najskromniejszy człowiek, jaki kiedykolwiek chodził po tym

świecie. No, może poza Matką Teresą i papieżem Franciszkiem. Za to Wilczyński dumny jak paw.

- No jasne, taki awans zdarza się raz na stulecie. A u nich nawet podwójna rad... - Nie dokończył zdania, ugryzł się w język i przeklął w myślach. Wciąż miał w pamięci ostatnią rozmowę z Edytą, która zakończyła się w atmosferze co najmniej mało przyjacielskiej.

- O wilku mowa - pochwyciła dziewczyna. - Właśnie w tej sprawie do ciebie dzwonię. Chyba jestem ci winna przeprosiny. Bączka już przeprosiłam.

- Poważnie? A za co? - zdziwił się Lewczyński.

- Ech, głupio wyszło - westchnęła ciężko. - Kompletnie nieporozumienie. Może sobie usiądź, bo to chwilę zajmie. Muszę ci się do czegoś przyznać...

Przez następne kilka minut Edyta mówiła niemalże bez przerwy, głos jej drżał, niekiedy słychać było, że płacze. Andrzej słuchał: początkowo z zaciekawieniem, następnie ze zdziwieniem przechodzącym w kompletne osłupienie, a na koniec zaczął się histerycznie śmiać, co Edyta przyjęła z całkowitym zrozumieniem. Od wielu lat wiedziała bowiem, że jest to jego osobnicza reakcja na sytuacje wysoce stresujące.

- Edytka! To się trzeba cieszyć! - wychrypiał w końcu, kiedy udało mu się opanować rechot. - Będziesz miała dziecko. Dwoje dzieci! Przecież to dar od losu!

- Zaiste, boży dar, Magdusia by się raczej nie zgodziła... - wymamrotała pod nosem.

- Co?

- A nie, nic. Tak mi się przypomniała historia przyjaciółki, która wyszła za Bożydara i stwierdziła, że tego Dara powinna zamienić na Kara.

- Aha. Nic nie rozumiem, ale nie szkodzi - odparł Andrzej, wzruszając ramionami. - Rafał wie?

- No i to jest dopiero dobra historia... Pewnie już wie, bo zadek Bączka przed chwilą zadzwonił do jego brata i umożliwił mu usłyszenie wszystkiego, włącznie z moim stosunkiem do genów Surymów. Oraz ich nazwiska.

- Ciekawe rzeczy w tej stolicy wyprawiacie. O dzwoniących zadkach jeszcze nie słyszałem. - Lewczyński zawiesił głos, usiłując sklecić pytanie, które tłuło mu się z tyłu głowy. - Wrócisz do niego? - zapytał w końcu.

- Zdurniałaś?! - oburzyła się Edyta. - W życiu Krystyny! Kończymy zaraz ucztę w cukierni na koszt państwa, znaczy Bączka, i wracam do domu, do Augustowa. I nigdy, przenigdy nie chcę już z tym człowiekiem mieć nic wspólnego.

- To może przynajmniej się rozwiedź? - zapytał bardziej, niż powiedział, do tego tonem błagalnym.

- No tak, to zrobić mogę. A nawet planuję. Rozprawa za dwa miesiące, poczekam w spokoju w domu.

- Jak znam ciebie, to ten spokój raczej w rachubę nie wchodzi - skwitował gorzko Lewczyński. - Czekam na ciebie, odezwij się, jak przyjedziesz. Mamy sprawy do obgadania. Tylko, Edyta - dodał tonem, w którym zadźwięczała nuta profesjonalizmu - błagam cię, nie przywoź ze sobą żadnych trupów.

- Spokojna głowa - zaśmiała się dziewczyna. - Te sprawy zostawiam Bączkowi.

A los tylko zachichotał.

- Co za menda z tego Mirusia - odezwała się Edyta, kiedy wraz ze swoją babcią, Krystyną Prusko, i jej drugim mężem, Henrykiem Grabskim, wyruszyli w drogę do Augustowa po zakończeniu celebrowania awansu starszego sierżanta Bączka. - Teraz to nawet mi żal tej mojej teściowej, chociaż w zasadzie sama nie wierzę, że to wypowiedziałam na głos.

- Ty się lepiej zastanów, jak o tej twojej teściowej będziesz mówić dzieciom - rzuciła w odpowiedzi pani Krystyna. - Ani wredna smoczyca, ani ofiara seryjnego mordercy-żigolaka to nie są dobre wzorce do naśladowania.

- Może wcale nie będę - zachnęła się Edyta. - Przemilczę sprawę skrupulatnie od samego początku. Ty im za dwie babcie wystarczysz.

- Co najmniej za dwie - dodał Henryk z uśmiechem. - Co nie zmienia faktu, że rodziny tatusia nie ukryjesz.

- Och, dajcie już spokój - zdenerwowała się dziewczyna. - Powiem, że jej nie znałam, i koniec. A jeśli Rafał będzie koniecznie pragnął wtajemniczać dzieci w zbrodnicze historie rodzinne, to jego sprawa. - To powiedziawszy, założyła ręce na piersiach i postanowiła się więcej nie odzywać.

Henryk uśmiechnął się do niej, spoglądając w lusterko wsteczne, i puścił oko na znak milczącego porozumienia. Sytuacja i tak była dość trudna, dolewanie oliwy do ognia w niczym nie pomagało. Pani Krystyna także to rozumiała i w głębi duszy ogromnie współczuła swojej wnuczce, której ostatnie miesiące nie oszczędzały. Niemniej wiedziała doskonale, że od głaskania po głowie nikomu nic dobrego nie przyjdzie.

Dalsza, trwająca trzy godziny podróż z Warszawy do Augustowa minęła spokojnie, do czego z pewnością przyczyniło się milczenie współpasażerów. Edyta drzemała, pani Krystyna zajęła się lekturą powieści nominowanej do Nagrody Bookera, a Henryk oddał się rozmyślaniam. Był doskonałym kierowcą, nie szarżował, zawsze trzymał odpowiedni dystans i nigdy nie denerwował się za kierownicą. Ktoś zajechał mu drogę? Nie wszyscy ludzie posiadają wyobraźnię. Ktoś wymusił pierwszeństwo? Widocznie gdzieś mu się bardzo śpieszy. Lata podróży nauczyły go, że nerwy nie są dobrym doradcą, a poza tym nie zwykł tracić zimnej krwi z tak błahych powodów

jak brak umiejętności innych kierowców. Lepiej dojechać pięć minut później niż wcale – to była jego dewiza.

Zaczynało zmierzchać, kiedy zaparkowali przed domem rodziców Edyty. Dziewczyna wyskoczyła jak z procy, czując zalewającą ją falę wzruszenia. Zwykle emocjonalna, pod wpływem ciężowych hormonów zamieniła się w chodzącą bombę uczuciową, gotową wybuchnąć od najmniejszej nawet iskry. Drzwi domu się otworzyły i w progu stanęła mama, uśmiechnięta od ucha do ucha.

- Córeczko! - zawołała radośnie, rozkładając szeroko ramiona. Jej głowę pokrywała szczotka krótkich włosów odrastających po chemioterapii. - Jak ty pięknie wyglądasz, kochanie!

- Mamusiu! - Edyta wpadła jej w ramiona, bezwstydnie rycząc. Obcałowała szyję i policzki mamy, jakby nie widziała jej całe wieki. - Ty też masz się lepiej, nabrałaś ciała i kolorów! I jaka piękna czupryna ci odrasta!

- No już, już - ofuknęła ją babcia. - Wejdźcie do domu, po co to robić przedstawienie na progu?! Zaraz będziecie się ścisnąć.

W domu poza panią Basią nie było nikogo. Tata Edyty pracował w aptece, którą odziedziczył po swoim dziadku, a młodsze siostry - bliźniaczki Martyna i Joasia - wrócić miały dopiero w piątek ze szkoły z internatem znajdującej się w Białymstoku. Po pokonaniu progu Edyta wzięła głęboki wdech, wciągając w nozdrza zapach lawendy, drewna i tego czegoś ulotnego, co można było wyczuć wyłącznie w tym jednym jedynym domu. Poczowała też zapach drożdżowych bułeczek, które jej mama od lat piekła w każdy piątek.

- A co to, bułeczki? - zapytała, węsząc jak pies myśliwski. - Przecież dzisiaj nie piątek.

- Do piątku jeszcze dużo czasu, a ja chciałam uczcić twój powrót. - Mama puściła do niej oko. - Heniu, postaw walizki przy drzwiach, za chwilę zaniemiemy je do pokoju Edytki.

Henryk zrobił, jak poproszono, i wrócił po coś do samochodu. Pani Krystyna wstawiła wodę na herbatę, po czym uściskała córkę.

- No, opowiadajcie! Jak tam było w tej stolicy? Bączek dumny? - zapytała pani Basia, siadając w głębokim fotelu.

- O, jeszcze jak! - Pani Krystyna przysunęła drugi fotel bliżej córki i pogłaskała ją po głowie. - Chociaż nigdy by się do tego nie przyznał. To bardzo dobrze wychowany młody człowiek.

- To prawda - potwierdziła Edyta, lokując się na podłokietniku, tuż przy mamie. - I bardzo skromny. Niestety trochę gapowaty, ale nikt nie jest doskonały.

- Gapowaty superglina? - zaśmiała się pani Basia. - To jak on te wszystkie sprawy rozwiązał?

- Henryk mu pomógł - odparła bezceremonialnie pani Krystyna. - Ale w ogólnym rozrachunku ten Bączek niegłupi, będą z niego ludzie.

- I Andrzej - wyszeptała Edyta.

Babcia Prusko spojrzała na wnuczkę podejrzliwie.

- Co tam mówisz?

- I Andrzej - powtórzyła głośniej dziewczyna. - Andrzej też mu pomógł w sprawie Ulki.

- Racja - podchwyciła pani Basia.

Jej matka pokiwała głową, wciąż przyglądając się wnuczce w zamyśleniu.

- Tak, Andrzej też mu pomógł - odparła po krótkiej chwili, nie spuszczać wzroku z Edyty. - A jak się sprawy z Andrzejem mają? Przeprosiny przyjęte?

- Jakie przeprosiny? Coś ty znowu nawywijała, córeczko?

- Długa historia, mamuś - szepnęła Edyta, oblewając się rumieńcem. - Zrobię herbaty i wszystko ci opowiemy. Bo to trzeba się cofnąć aż do Orszylika. A jak ci opowiemy o Orszyliku, to ci kapcie spadną...

Czajnik zaczął gwizdać i Edyta zeskoczyła z fotela. Mimochodem zerknęła przez okno, gdzie dostrzegła Henryka stojącego przy samochodzie i rozmawiającego przez telefon. Uśmiechał się przy tym radośnie, a ten widok rozczulił dziewczynę. Jak dobrze być w domu!

Pierwszy tydzień po powrocie do Augustowa upłynął na przyzwyczajaniu się do nowej sytuacji, odwiedzaniu placówek medycznych i planowaniu nadchodzących miesięcy. Sprzedaż mieszkania we Wrocławiu Edyta powierzyła agencji zajmującej się pośrednictwem w obrocie nieruchomościami, którą poleciła jej znajoma, mogła więc w spokoju obmyślać kolejne kroki. W piątek do domu wróciły nastoletnie siostry i znów trzeba było opowiadać ze szczegółami całą historię śląskiego seryjnego mordercy, w którą uwikłała się teściowa dziewczyny. Na niedzielę zaś babcia Prusko zaplanowała uroczysty obiad w Starej Stanicy, nie bacząc na obecnych w pensjonacie letników. Spotkanie z Andrzejem Edyta wciąż odkładała, drżąc na samą myśl o spojrzeniu w jego szafirowe oczy.

O ile Andrzej cierpliwie czekał, o tyle jego młodsza siostra Karolina, od zarania dziejów najlepsza przyjaciółka Edyty, czekać nie miała zamiaru. W sobotnie przedpołudnie zjawiała się na progu domu państwa Prusków, taszcząc ze sobą ogromny kosz z domowymi przetworami, które własnoręcznie przygotowała jej osobista teściowa.

- Miśka! - wrzasnęła Edyta, wyskakując przed dom. - Zostaw te ciężary! Tobie nie wolno dźwigać.

- A bo co? Niepełnosprawna jestem? - zachnęła się Karolina. - Ty byś nie uwierzyła, ile ja siły dzięki tej ciąży mam.

- Racja, nie uwierzyłabym. Bo ja nie mam wcale, te dwa wampiry całą energię ze mnie wysysają. - Edyta uchwyciła kosz

do spółki z Karoliną, odciążając przyjaciółkę, i pogłaskała się po brzuchu.

- E tam, przejdzie. Poczekaj jeszcze miesiąc i sama zobaczysz. No, chodź tu się tulić! - wysapała fryzjerka, odstawiając kosz na stół w kuchni.

Uściskały się mocno, na tyle na ile pozwalały na to ogromny brzuch Karoliny i mniejszy, choć już całkiem sporych rozmiarów balonik Edyty. Rude bliźniaczki Martynka i Asia zbiegły na dół i objęły przytulone do siebie przyjaciółki.

- Ale fajnie was widzieć obie - wyszeptła Martyna. - Wy zawsze wszystko musicie robić razem i tak samo.

- I nawet bliźniaki będziecie mieć obydwie. To musi być prawdziwa przyjaźń - wtórowała siostrze Asia, przyciskając swoje drobne ciało do obu ciężarnych.

Pani Basia, zajrzawszy do kuchni, uniosła odrastające brwi i pokręciła głową w wyrazie politowania. Westchnęła lekko, po czym wstawiła wodę na herbatę. Teściowa Karoliny robiła najlepsze powidła malinowe pod słońcem. Idealnie nadadzą się do bułeczek na drugie śniadanie.

Opowiedzenie historii niedawnego morderstwa i poszukiwania jego sprawcy po raz trzeci sprawiło Edycie wiele radości dzięki niezwykle emocjonalnemu zaangażowaniu sióstr, które co chwilę dorzucały jakieś okrzyki i komentarze: a to pod adresem pani Surym, a to wychwalając Henryka, to znów psiocząc na zbrodniarza, któremu życzyły rzeczy najgorszych. Na koniec Edyta opowiedziała jeszcze o uroczystości w Warszawie, podczas której starszy sierżant Bączek został podkomisarzem Bączkiem, i o nieszczęśliwym telefonie wykonanym przez spodnie podkomisarza do szwagra Edyty. Ta ostatnia anegdota ubawiła Karolinę do łez.

- Słyszałam, że powiedziałaś Jędrkowi - oznajmiła niby od niechcienia, kiedy już udało jej się opanować radosny rechot.

- Mówił ci? - Edyta miała ogromną nadzieję, że przemilczał chociaż poprzednią rozmowę, kiedy to ona naskoczyła na niego, dodatkowo rzucając okropne oskarżenia w kierunku podkomisarza Bączka. A także w kierunku Karoliny, za co akurat winę ponosiła babcia.

- Mhm. - Okrągłutka właścicielka salonu fryzjerskiego pokiwała głową. - Wspomniał też, że podejrzewałaś mnie o kłapanie dziobem - dodała z nutą przygany.

- To nie ja, to babcia - próbowała bronić się Edyta.

- Dobra już, dobra. Ważne, że wie. I co teraz planujesz?

Edyta wzruszyła ramionami i ugryzła pachnącą bułeczkę przełożoną przepysznyimi powidłami z malin. Bardzo chciałyby wiedzieć, co teraz planuje. Bledego pojęcia nie miała.

- Nie wiem. Chyba zdam się na los, bo moje plany dotychczas okazały się mrzonką. Widocznie marny ze mnie planista.

- Nie przesadzaj - pocieszyła ją przyjaciółka. - Mogło być zdecydowanie gorzej. Wszystko się ułoży, zobaczysz.

Pani Basia, przysłuchująca się w milczeniu, pokiwała głową na znak poparcia dla słów Karoliny. Ona także wierzyła, że wszystko się ułoży, a z każdej sytuacji da się znaleźć wyjście. I zdecydowanie mogło być gorzej.

Niedzielny obiad w Starej Stanicy miał być pierwszym tego typu rodzinnym wydarzeniem od pamiętnego spotkania w Poniedziałek Wielkanocny. Tym razem w zdecydowanie mniejszym gronie, bez wujków, ciotek i kuzynek zza siedmiu lasów, niemniej miało być tak samo uroczyście i na pewno nie mniej wystawnie. Emil Mirosławski już o to zadbał.

Ów szef kuchni z prawdziwego zdarzenia, korpulentny i rumiany jak na stereotypowego kucharza przystało, uwijał się z gracją pomiędzy parującymi garnkami, podśpiewując pod

nosem jakieś ludowe melodie. Kaszub z dziada pradziada tym razem postanowił popisać się znajomością regionalnej kuchni, z którą od lat nie miał po drodze, pani Krystyna Prusko bowiem pasjami nie znosiła brukwi, głównie z powodu jej pejoratywnych skojarzeń z obozami koncentracyjnymi. Watorów smakowych tego warzywa nie kwestionowała, z zasady po prostu odrzucała każdą próbę przemycenia go na stół. Tego dnia jednak uległa argumentom Emila, który ze wszystkich sił przekonywał o prozdrowotnych właściwościach bulwiastej rośliny, a przecież Edyta teraz powinna jadać wszystko, co tryska witaminami. W menu na niedzielny obiad rodziny Prusków znalazły się zatem: zylc rybny oraz ikra z dorsza smażona na maśle z cebulką podawana z domowym chlebem na żytnim zakwasie, zupa z żółtej brukwi gotowana na gęsinie z dodatkiem włoszczyzny i ziemniaków, obficie doprawiona majerankiem i posypana świeżymi liśćmi tymianku, a także kaczka z farszem z kaczyczych podrobów i mielonej wieprzowiny podawana z sosem kasztanowym. Na deser przewidziano kugle drożdżowe z prażonymi jabłkami, choć w pierwotnym planie pojawiła się szpajza kaszubska, czyli krem jajeczny o galaretowatej konsystencji, który jednak musiał zostać z menu wykreślony, skoro składał się w głównej mierze z surowych jaj – a tych ciężarnej jeść nie wolno.

Punktualnie o czternastej na parkingu pod Starą Stacją zatrzymał się samochód należący do Tadeusza Pruski i natychmiast wyskoczyły z niego dwie rude nastolatki. Reszta przybyłych opuściła pojazd w mniejszym pośpiechu, głównie ze względu na nieco bardziej zaawansowany wiek oraz dużo słabszą kondycję. Na progu powitał ich uśmiechnięty Henryk, a głos pani Krystyny, dobiegający z wnętrza zajazdu, oznajmiał, że „jeszcze się rychtuje”. Pięcioro Prusków przeszło więc prosto do jadalni, uprzejmie kiwając głowami zgromadzonym w saloniku dla letników aktualnym gościom. Edyta poczuła

ślinotok wywołany obłędnymi zapachami dolatującymi z kuchni. Wśród pobrzękiwania pokrywek i stukotu garnków wciąż dało się usłyszeć fałszywy ton piosenki „Ahoj Janeczku”, którą Emil Mirosławski śpiewał zawsze w chwilach wielkiego podekscytowania.

- Ahoj, Emilu! - krzyknęła Edyta, uchylając drzwi do królestwa kucharza. - Słyszę, że humor dopisuje?

- A jakże, podlotku! - Rumianolicy szef kuchni wyszczerzył się w uśmiechu. - Chodź no tu, niech cię wyściskam. *O mamma mia!* Aleś urosła! - wykrzyknął na widok brzucha dziewczyny.

- Patrz na siebie, bałwanku - odgryzła się Edyta, ściskając okrągłutkiego mistrza gotowania. - Ja przynajmniej mam wytłumaczenie, a ty?

- A ja mam więcej lat i mi wolno. A teraz wynocha stąd, wszystko gotowe, nakrywaj do posiłku.

Pani Krystyna w tym czasie zdążyła się wyrzucić i z właściwą sobie werwą nadzorowała nakrywanie stołu. Rude bliźniaczki biegały wokół niego, układając kolorowe serwetki z wielkanocnymi motywami - Emil w tym roku przesadził i trzeba było pozbyć się zapasów przed Bożym Narodzeniem. Kurczaczki i zajączki w grudniu raczej się nie sprawdzają.

Kiedy wszystko już było gotowe, drzwi do kuchni się uchyliły i w blasku chwały wytoczył się zza nich pchany przez dumnego kucharza wózek z parującą wazą na jednej półce oraz maleńkimi salaterkami wypełnionymi galaretką i ikrą z dorsza na drugiej. Na najniższym poziomie wózka stał kosz z pachnącym chlebem, na którego widok babci Prusko zabłyszczały oczy. Domowy chleb mogłaby jeść bez umiaru.

Kuchnia kaszubska okazała się nadzwyczaj smaczną, a zupa z brukwi gotowana na gęsinie zrobiła prawdziwą furorę, co z niewielkimi oporami musiała przyznać sama pani Krystyna. Edycie najbardziej smakowały drożdżowe kugle, zjadła ich więc pół tuzina, nie bacząc zupełnie na ewentualne konsekwencje. I

tak musiała już zmienić garderobę, najwyżej kupi rozmiar większą. Naiwnie łudziła się też, że po ciąży wszystko samo zniknie.

Dochodziła już niemal osiemnasta i augustowska gałąź rodziny powoli szykowałą się do powrotu, popijając jeszcze wysmienitą herbatę, kiedy z foyer doleciały ich dźwięki głośnej rozmowy. Pani Krystyna, choć niechętnie, podniosła się z wygodnego fotela i ruszyła przodem. W ślad za nią udał się Henryk, a po chwili podniosła się także Edyta.

W niewielkim pomieszczeniu, którego ściany zdobiły certyfikaty i dyplomy, trwała uprzejma pogawędka pomiędzy pięciorgiem nieznanym dziewczynie osób. Czworo z nich znali natomiast pani Krystyna i Henryk, piąta osoba zaś wydawała się całkiem obca i odrobinę zagubiona.

- Dzień dobry panu - odezwała się babcia Edyty, podchodząc do nieznanego mężczyzny. - Krystyna Prusko, właścicielka Stanicy. W czym mogę panu pomóc?

- Dzień dobry, Mateusz Roszkowski - przedstawił się tamten, ściskając rękę starszej damy.

- Ten pan mówi, że szuka jakiegoś pana Dąbrowskiego - wtrąciła się sześćdziesięcioletnia pensjonariuszka, stała bywalczyni Stanicy. - Ale tutaj nie ma żadnego pana Dąbrowskiego, pani Krysio, ja temu panu mówię, że tu tylko państwo Pruskowie są.

- I pan Grabski - dodał uczynnie siedemdziesięcioletni mąż tamtej pani, patrząc na nowo przybyłego wzrokiem co najmniej wrogim.

- Ciiii - uciszyła ich pani Krystyna. - Kogo pan szuka, panie Mateuszu? I dlaczego tutaj?

- Szukam Tadeusza Dąbrowskiego. Powiedziano mi, że ten zajazd należy do krewnych jego żony - odparł mężczyzna, bezradnie rozkładając ręce.

- Pani Jadziu, panie Staszku, proszę wracać do saloniku. Ja się zajmę tym panem - rzuciła oschle Krystyna, taksując mężczyznę uważnym spojrzeniem swoich szarych oczu. - A pan, panie Roszkowski, pójdzie za mną, zapraszam. Napije się pan herbaty?

- Jeśli to nie będzie zbyt duży kłopot...

Pani Krystyna zaprowadziła gościa do jadalni, w której toczyła się dyskusja na temat planów na nadchodzące wakacje. Bliźniaczki bowiem wymyśliły sobie zagraniczny wyjazd do pracy, na co absolutnie nie chciała się zgodzić ich matka.

- Emilu, podaj jeszcze tych bułeczek - rozkazała pani Krystyna. - A ty, Martynko, wyciągnij dodatkową filiżankę z kredensu. Mamy gościa.

Wszyscy obecni spojrzeli na przybysza z zaciekawieniem. Pani Basia przyglądała mu się, mrużąc oczy, jakby starała się przypomnieć sobie, gdzie już widziała tę twarz. Edyta zaś usiłowała skojarzyć, gdzie, poza wrocławskim Teatrem Komedia, słyszała nazwisko Dąbrowski.

- Tadeuszu - odezwała się pani Krystyna, kiedy bułeczki zostały doniesione z kuchni, a herbata nalana do filiżanki - to jest pan Mateusz Roszkowski. I, zdaje się, szuka ciebie.

- Mnie?! - Oczy taty urosły na pół twarzy. - Na pewno mnie pan szuka? Tadeusz Prusko - przedstawił się grzecznie.

- Mateusz Roszkowski - powtórzył niespodziewany gość. - Nie wiem, czy nie zaszła jakaś pomyłka, ja szukam pana Tadeusza Dąbrowskiego, może pani mnie źle zrozumiała...

- Bardzo dobrze pana rozumiałam - fuknęła seniorka rodu. - Ten oto mój zięć przed wieloma laty nazywał się Tadeusz Dąbrowski, a sądząc po pańskich cechach fizycznych, jest pan z nim spokrewniony.

Pani Basia głośno wciągnęła powietrze, Emil wykrzyknął: „*Mamma mia!*”, bliźniaczki wlepiły oczy w fizyczne cechy tajemniczego przybysza, Edyta zrobiła minę zdziwionego

karpia, a Tadeusz Prusko *de domo* Dąbrowski zbladł jak kreda. Tylko Henryk nie okazał żadnej reakcji, co należało przypisać wieloletniemu doświadczeniu w służbach wywiadowczych.

- Pan się nazywał Dąbrowski? - upewnił się drżącym głosem Mateusz Roszkowski. - I jest synem Janusza Dąbrowskiego?

- Zgadza się - potwierdził cicho tata Edyty. - Czy my się znamy?

- Nie, pierwszy raz jestem w Augustowie. To znaczy teraz tutaj, w Białobrzegach - poprawił się szybko mężczyzna. - Przyjechałem tu odnaleźć swoich krewnych.

- A pan jest tak dokładniej kim? - wtrąciła się niegrzecznie Edyta.

- Ja jestem... nieślubnym synem Janusza Dąbrowskiego.

- Jezus Maria - wyszeptała pani Basia, przynosząc wzrok z męża na Roszkowskiego. - Teraz to widzę wyraźnie. Wy obaj jesteście do Janusza podobni!

- Skóra zdjęta - potwierdziła pani Krystyna, poprawiając się w fotelu. - No to teraz, Tadziu, masz brata, którego zawsze chciałeś mieć. Tatuś ci zostawił niespodziankę.

- Jezu Chryste. - Pan Prusko złapał się za głowę. - Jezu Chryste, jak to w ogóle jest możliwe?!

- Nie ma co rwać włosów z głowy, Tadziu, trzeba się zastanowić - zawyrokowała pani Krystyna, przerywając ciszę, jaka zapadła po dwukrotnym wezwaniu imienia Bożego Syna nadaremno przez jej zięcia. - Oczywiście dowodów pokrewieństwa będziemy żądać, choć po twarzy od razu widać, że macie wspólne geny.

- Do rodziny mamy nigdy podobny nie byłem, więc wnioskuję, że twarz musiałem odziedziczyć po ojcu - stwierdził ze smutkiem Mateusz Roszkowski.

- A pan go kiedykolwiek widział? - zapytała pani Basia, kiedy udało jej się odzyskać mowę. - Tego ojca swojego

domniemanego?

Roszkowski pokręcił głową i spojrział na rzekomego brata. Podobieństwo wśród obcych sobie ludzi także się zdarza, sobowtórów na świecie nie brakuje, taki, dajmy na to, Michael Jackson ma ich na pęczki. Ale ktoś tym jego ojcem być musiał, a w zaistniałych okolicznościach najbardziej prawdopodobnym kandydatem wydawał się Janusz Dąbrowski.

- Wychowała mnie mama, od urodzenia noszę jej nazwisko, w akcie widnieje „ojciec nieznany”. Całe życie nie miałem pojęcia, kto mógłby nim być.

- I jak się pan dowiedział, że to Janusz? - zapytała sceptycznie pani Krystyna.

- Mama mi powiedziała, kiedy już była na łożu śmierci i postanowiła wyznać prawdę. Stwierdziła, że powinienem odszukać swoich krewnych, bo życie bez rodziny to nie życie.

- Mądra kobieta - pochwaliła właścicielka Stanicy. - Człowiek bez rodziny nie ma tożsamości. No dobrze, na dzisiaj to chyba wystarczy - zdecydowała nagle. - Wszyscy musimy przetrwać te rewelacje, a pan już wie, gdzie nas szukać. Proszę zostawić swój numer telefonu i umówmy się na dalsze rozmowy niebawem. Zatrzymał się pan w Augustowie?

- Tak, niedaleko deptaka. Zostanę tu kilka dni, i tak miałem zaległy urlop.

- Bardzo dobrze, niech pan w spokoju zwiedza, nad Rospudę popłyń. A my się do pana odezwiemy.

Mateusz Roszkowski bez szemrania skinął głową, zapisał swój numer telefonu i pożegnał się grzecznie. Ktoś inny mógłby się obrazić za tak obcesowo wydane polecenie, on jednak był do nich nawykły - zawodowo zajmował się kształceniem przyszłych pilotów w dęblińskiej Lotniczej Akademii Wojskowej, sam będąc jednym z najbardziej zasłużonych oblatywaczy.

Po wyjściu niespodziewanego gościa rodzina Prusków przez chwilę milczała. Każdy bał się poruszyć temat nagłego

pojawienia się w ich życiu nieznanego członka rodziny. Ni stąd, ni zowąd Edyta histerycznie zachichotała, zaraz zawtórowała jej babcia. Pani Basia usiłowała zachować powagę, ale ramiona zaczęły jej drżeć od hamowanego śmiechu. Wkrótce wszyscy, poza wciąż trupioblady Tadeuszem Pruską, rechotali jak stado dorodnych żab nad jeziorem Gołdap. Oliwy do ognia dolał Emil, który chlapnął:

- *Mamma mia!* Podlotki mają nowego wujka!

Andrzej Lewczyński wiedział od siostry, że Edyta szczęśliwie dojechała do Augustowa, i wspaniałomyślnie postanowił dać jej czas na załatwienie swoich spraw. Wiadomość o niespodziewanej ciąży zaskoczyła go, ale ze zdumieniem odkrył, że nie miała wpływu na uczucia, którymi darzył dziewczynę. Bo i dlaczego miałyby mieć? Edyta była dla niego ważna, zależało mu na niej jak chyba nigdy na nikim. Marlina, do niedawna jego narzeczona, wydawała mu się już wpisana w bardzo odległą przeszłość. Pewnie i tak nigdy by się z nią nie ożenił, więc dobrze się stało, że to ona postanowiła zakończyć ich związek i wyjechać do Szczecina. Tak było lepiej, dla wszystkich.

Snując rozważania o nieprzewidzianych kolejach losu, minął Kanał Augustowski, starą pocztę, kątem oka zarejestrował bryłę Komendy Powiatowej Państwowej Straży Pożarnej, w końcu zaś stanął przed budynkiem policji. Przez chwilę wydawało mu się, że po drodze dostrzegł kogoś, czyich rysów twarzy nie potrafił przypisać do nazwiska, osobę, której nigdy by się tu nie spodziewał. Odpędził to wrażenie, nie mogąc przypomnieć sobie, kim była ta osoba, i z lekkim westchnięciem wszedł do budynku. Komendant rozpoczął właśnie dwutygodniowy urlop, więc poniedziałek może nie będzie aż tak straszny.

Pierwsze dni po uroczystym awansie upływały Bączkowi pod znakiem pławienia się w zalewających go gratulacjach. Gratulowali mu koledzy z komendy, funkcjonariusze z innych województw, znajomi cywile, a nawet prokuratorzy i sędziowie, z którymi podkomisarz miał styczność w trakcie swojej kariery. Zabójstw żadnych na szczęście nie było, więc znalazła się i chwila na odpoczynek. Dokładnie tydzień po odebraniu wyróżnienia w Warszawie, w poniedziałek, Bączek rozpoczął służbę jak zwykle parę minut po siódmej rano od zaparzenia dzbanka mocnej kawy, przewidując, że za kilka chwil wezwie go do siebie szef na krótką pogawędkę. Dokładnie o siódmej trzynastcie inspektor Kazimierz Wilczyński wybrał wewnętrzny numer telefonu do swojego ulubionego podwładnego i krótkim „zapraszam” zaanonsował rozpoczęcie tygodnia pracy.

- Dzień dobry, Kaziu - przywitał szefa Bączek, wchodząc do gabinetu przełożonego.

- A jaki tam on dobry. - Wilczyński machnął ręką i usiadł ciężko w wysłużonym fotelu. - Siostra od rana do mnie wydzwania, skaranie boskie z tą rodziną.

- O! - wyraził uprzejme zainteresowanie podkomisarz, nalewając kawy do dwóch kubków. Tym razem filiżanka dla Wilczyńskiego mogłaby nie wystarczyć. Wiadro może byłoby lepsze.

- Wyobraź sobie, Michaś, że ten gałgan, mój siostrzeniec, wziął i zniknął.

- Jak Houdini?

- No prawie.

- No to szukać go trzeba - poradził Bączek, za co otrzymał karcące spojrzenie inspektora.

- A żeby to takie proste było. To nie pierwszy raz, jak ta powsinoga zapuszcza się w jakieś peregrynacje. Ostatnio w

Bieszczady go wywiało, dwa tygodnie matka go po wszystkich znajomych szukała, aż w końcu wrócił, syn marnotrawny, zapożyczony u wszelkich ludzi świata.

- I co on wtedy w tych Bieszczadach robił? - dopytywał Bączek, gdyż historii siostrzeńca Wilczyńskiego nigdy wcześniej nie słyszał.

- Badania robił. Etnograficzne - parsknął inspektor i zamoczył usta w czarnym płynie. - Badaczem naukowym chce zostać, doktorat kończy, tylko ciągle mu na te badania pieniędzy brakuje.

- A to grantów jakichś nie ma? Uczelnia nie sponsoruje swoich adiunktów?

- A bo ja wiem? ... - Korpulentny inspektor wzruszył ramionami, wyraźnie dając znać, że nie wie i właściwie wiedzieć nie chce. - On już chyba dawno ten doktorat powinien był skończyć, tylko ciągle mu coś przeszkadza.

- Hmm... I co teraz? Znaczy: co zamierzasz zrobić w tej sprawie?

- A co ja mogę zrobić? Przecież nie będę się na pośmiewisko wystawiał i zgłaszał zaginięcia, kiedy ten cymbał pewnie gdzieś siedzi w jakimś szałasie i udaje Kolberga. - Wilczyński zamyślił się na chwilę, po czym dodał: - Obiecałem Dance, że jak za tydzień się nie znajdzie albo przynajmniej nie da znaku życia, to wtedy coś zrobię. Na razie trzeba czekać.

- No to czekamy - skonstratował Bączek.

- Czekamy - potwierdził Wilczyński. - A jak wróci, to własnoręcznie mu złoję skórę.

Po leniwym poniedziałku komisarz Lewczyński stwierdził, że z łatwością mógłby przywyknąć do absencji komendanta. Żadnych bezsensownych briefingów, żadnych stresujących odpraw, żadnego utyskiwania. We wtorek przyniósł sobie do

pracy książkę, zamierzając nadrobić czytelnicze zaległości. Życie jak w Madrycie! Zaparzył dzbanek kawy, przygotował śniadanie składające się z serka wiejskiego i grahamki, rozsiadł się na krześle i delektował słonecznym porankiem. Jak ktoś może nie lubić swojej pracy? Alarmujący telefon odezwał się parę minut przed szóstą.

- Lewczyński.

- Dzień dobry, panie komisarzu, tu posterunkowy Kalinowski z rannego patrolu. Melduję, że przy bulwarze znaleźliśmy zwłoki.

Lewczyńskiemu nawet brew nie drgnęła. Mundurowi od lat robili tego typu żarty, zgłaszając odnalezienie zwłok, które okazywały się ścierwem łabędzi, kaczek albo innej zwierzyny.

- Dziękuję za informację - odparł, przeżuwając kęs bułki.

- Co mamy robić, panie komisarzu?

- Możecie, posterunkowy, stanąć na rękach i zaklaskać nogami. Albo wywinąć salto z telemarkiem. Jak wolicie.

- Przepraszam, ale nie rozumiem...

- Proszę postępować zgodnie z procedurą - zniecierpliwił się Lewczyński.

- To ja właśnie... postępuję.

- Posterunkowy Kalinowski! - krzyknął komisarz. - Jeśli nie chcecie zostać ukarani za robienie sobie żartów ze starszych rangą funkcjonariuszy wydziału kryminalnego, to radzę natychmiast skończyć tę zabawę! Pod sto dwanaście dzwońcie albo do Centrum Zarządzania Kryzysowego, a nie mi tu gitarę zawracacie jakimś truchłem! Wy myślicie, że czym ja się zajmuję?

- Zabójstwami? - zasugerował cichutko wystraszony nie na żarty posterunkowy.

- Dokładnie tak, zabójstwami. I innymi przestępstwami przeciwko ludzkiemu zdrowiu i życiu - dodał już odrobinę

spokojniej, gdyż nadmierna agresja nie leżała w jego naturze. – A wy do mnie dzwonicie w sprawie martwego... No właśnie, czego?

– Człowieka.

– Człowieka. Proszę mi więc dupy nie zawr... Co?! Co powiedziałaś?!

– Martwego człowieka, panie komisarzu – pisał przerażony już posterunkowy. – Na oko trzydziestoletniego, płci męskiej, którego zwłoki leżą na ścieżce rowerowej przy bulwarach, niedaleko molo.

Lewczyński zerwał się jak oparzony, wrywając niemal kabel słuchawki telefonu. Martwy człowiek? Na bulwarach? A niech to licho weźmie! Znowu nie przeczyta książki.

Czterokilometrowej długości bulwary nad Nettą zostały zamknięte dla spacerowiczów, co spotkało się z niezadowoleniem społeczeństwa. Biało-niebieska taśma z napisem „Policja” dodawała sytuacji pikanterii, nic zatem dziwnego, że przed godziną siódmą tłum gapiów usiłujących dojrzeć, co się dzieje, liczył już kilkadziesiąt osób. Lewczyński z niesmakiem skonstatował, że ludność cywilna głodna jest taniej sensacji, za chwilę pewnie zlecą się też dziennikarskie sępy. Publiczny trup w Augustowie to widok dosyć rzadki, więc brukowce będą miały używanie.

Komisarz zjawił się kilka minut po telefonie, równocześnie z nim przyjechali technicy kryminalistyczni, którzy natychmiast rozstawili parawan wokół ciała młodego mężczyzny i właśnie kończyli dokonywanie oględzin miejsca znalezienia zwłok. Ekipa zabezpieczająca ślady uwijała się jak w ukropie, bo wiejący od jeziora wiatr skutecznie porywał wszystko, co nie oparło się jego sile. Lewczyński z niepokojem zauważył, że obecność prokuratora tym razem będzie niezbędna, gdyż

nieboszczyk sam sobie raczej gardła nie podciął. Zawiadomiony o znalezisku przez patrol prokurator Maciejewski był już w drodze. Komisarz rozejrzał się uważnie, po czym dostrzegł siedzącego na ławce młodego mundurowego, który trząsał się jak osika i oddychał przez papierowy worek. Zaintrygowany Andrzej podszedł do niego.

- Dzień dobry, wszystko w porządku, posterunkowy?

- Tak, już lepiej, dziękuję - odparł słabo młodzieniec.

- To pan do mnie dzwonił, prawda?

Odpowiedziało mu kiwnięcie głowy.

- Bardzo przepraszam za ten wybuch, myślałem, że robicie sobie ze mnie żarty.

Wyrażające przerażenie oczy młodego człowieka nappełniły się łzami. Lewczyński poczuł ukłucie wyrzutów sumienia, żal mu się zrobiło tego biednego chłopaka, którego od rana wrzucono na głęboką wodę. Uśmiechnął się lekko i poklepał go po ramieniu.

- Niech się pan nie martwi. Z czasem pan przywyknie. Pan chyba krótko w służbie?

- Dwa tygodnie - odpowiedział chłopak, na którego oblicze powoli wracały kolory. - Ja nigdy w życiu martwego człowieka nie widziałem. I to jeszcze tak!

Owo „tak” rzeczywiście robiło wrażenie. Nienaturalnie wykręcone ludzkie ciało leżało w ogromnej kałuży zastygłej krwi. Pergaminowy kolor skóry denata wskazywał na całkowite wykrwawienie, co - sądząc po rozległym cięciu w poprzek gardła - nastąpiło w mgnieniu oka. Włosy ofiary, prawdopodobnie jasne z natury, teraz przypominały buraczkowoczerwoną szczecinę. Woskowa twarz zastygła w wyrazie zdumienia, śmierć nastąpiła nagle i nieoczekiwanie.

Po chwili Lewczyński usłyszał swoje nazwisko i spojrzał w stronę moła. Zza biało-niebieskiej taśmy machał do niego

prokurator Maciejewski.

Po niedzielnych rewelacjach rodzina Prusków postanowiła wziąć sprawy w swoje ręce i sprawdzić prawdomówność cudownie odnalezionego krewnego. Podobieństwo podobieństwem, ale w grę wchodziła przecież scheda jeszcze po dziadku Wojciechu Dąbrowskim. I to nie byle jaka scheda. Dziadek zostawił kilka hektarów ziemi, na której obecnie radośnie pasły się krowy zaprzyjaźnionego rolnika, ale także, a może przede wszystkim, po swoim ojcu Janusz Dąbrowski odziedziczył aptekę, którą wkrótce przekazał Tadeuszowi, Jedynekowi. Jak się okazuje – możliwe, że wcale nie Jedynekowi i ewentualny spór sądowy zaczął nieśmiało majaczyć na horyzoncie.

Pani Krystyna, gotowa do ostatniej kropli krwi walczyć o dobro krewnych, zwłaszcza w obliczu zbliżającego się powiększenia rodziny, bez zbędnej zwłoki rozpoczęła prywatne dochodzenie, kierując pierwsze kroki tam, gdzie informacji było najwięcej – wybrała się na targ. Miała nadzieję spotkać na nim panię Bożenę Frątczakową i Stanisławę Brożynę. Szczęście jej dopisało i obie kobiety o godzinie szóstej dwadzieścia rozkładały towar na sąsiadujących ze sobą dwóch z pięćdziesięciu stanowisk oferujących asortyment rolno-spożywczy. A konkretniej rzecz biorąc, pani Frątczakowa rozkładała jajka, pani Brożyna zaś wypełniała lodówki i chłodnie przetworami mlecznymi. Od krów radośnie pasących się na ziemi należącej do zięcia pani Krystyny, należałoby dodać.

- A dzień dobry, pani Krysiu! - ucieszyła się mleczarka. - Dawno tu pani nie było.

- A dawno, dawno, sprawy miałam. Osobiste.

- My tu już z Bożenko myślały, że pani gdzie wyjechała na stałe, bo nie przychodzi. A ludzie mówią, że pani do Wrocławia

wybierała się - zagaiła hodowczyni kur, zdradzając charakterystyczny dla jej rodzinnych stron nawyk odnasawiania „ą” na końcu wyrazów.

- Była, na chwilę była, dziecku trzeba było pomóc. Ale to dawne dzieje - zbyła ją pani Prusko.

- Ja słyszała, że najstarsza wnuczka panina do domu wróciła, prawda to? - zapytała druga, która też oryginalnie pochodziła z tamtych stron.

- Prawda, pani Frątczakowa, prawda. Wróciła Edytka, tym razem na dobre.

- A ona mężatko nie była? - dociekała Brożyna, a w jej głosie wyraźnie słychać było nutę krytyki.

- Była. I już nie jest. Dwudziesty pierwszy wiek mamy - odgryzła się pani Prusko. - A pani zięć to do kraju wrócił czy Martusia w dalszym ciągu sama z trojgiem dzieci się użera?

- A, pani Krysiu, daj pani spokój! - Pani Brożyna machnęła ręką i pokręciła głową. - On tu pewnie nigdy nie wróci, chyba że te brekzyty go zmuszo. Ale co on by tu robić miał? Tam w tydzień zarobi tyle, co mąż moi Kasi przez dwa miesiące.

- Ale dzieci sierotami zrobił, rodzinę tako rozbito zostawił. Kto to widzioł, coby ojca na zdjęćciu oglądać? - podchwyciła pani Frątczakowa, co było bardzo po myśli pani Krystyny.

- Otóż to, wystarczy, że dawniej rodziny się pogubiły i po latach dopiero brat brata poznaje albo córka ojca - odparła filozoficznie babcia Prusko, kierując rozmowę na właściwy tor. - Weźmy takiego Kamienieckiego, dzieci po wszystkich wsiach narobił, każde z inną matką, i jak się wreszcie odnaleźli, to uwierzyć nie mogli, że ich szesnaścioro.

- A bo to daleko szukać trzeba? - dodała Brożyna. - Ja sama miała dwóch braci, co o nich długo nie wiedziała, dopiero jak mamusi zmarło się, to ojciec wydał, że z trzema babami żył.

Pani Krystyna tylko na to czekała. Teraz już pójdzie jak z płatka!

- Właśnie, właśnie. Panie tu do mnie podejda - zachęciła scenicznym szeptem. - Moje wnuczki ostatnio robiły jakąś pracę na historię, o rodzinie ojca, i znalazły gdzieś wzmianki, że mój swat, Janusz, podobno poza tymi dwiema żonami to jeszcze jakąś babę miał. Słyszały panie coś o tym?

Handlarki wymieniły porozumiewawcze spojrzenia, odrobinę się wahając. Gołym okiem było widać, że wiedzą i bardzo chętnie temat rozwiją.

- No, niech panie mówią! - zachęcała pani Krystyna. - Te rude potworzyce i tak się dowiedzą, zawzięte okropnie.

- Ciekawe, po kim - szepnęła pani Frączakowa, patrząc w inną stronę. - Pani Krysiu, pani tego od nas nie wie - zastrzegła konspiracyjnym tonem. - Bo my są przedsiębiorcy, plotkami nie zajmujemy się.

- Jasna sprawa, pani Bożenko. Słowa nie pisnę o swoich źródłach. No to jak to z tym Januszem było?

- Niezły wtorek nam się szykuje - zażartował gorzko prokurator Ludwik Maciejewski, kiedy udało mu się przedrzeć przez tłum gapiów.

Lewczyński uniósł taśmę odgradzającą miejsce zbrodni i poklepał kolegę po plecach.

- Taaaa. Dobrze, że zdążyłem zjeść śniadanie.

- Co mamy? - Maciejewski usiłował założyć na ręce lateksowe rękawiczki wyjęte z kieszeni marynarki. - Cholera, znowu wziąłem za małe.

- Trzymaj. - Policjant wręczył mu drugą parę, którą na wszelki wypadek wziął od jednego z techników. - Na moje oko mamy zabójstwo, młody chłopak z poderżniętym gardłem, wykrwawił się na miejscu. Prawdopodobnie tu został zabity, nie

widać śladów zmiany położenia ani ciągnięcia ciała, kałuża krwi taka, że można by w niej pływać.

- No, no... - zachwycił się prokurator. - Takiego kryminału dawno w Augustowie nie mieliśmy. Jacyś świadkowie? Kto go znalazł?

- Mundurowi rozmawiają z cywilami, ale na razie żaden świadek się nie zgłosił. Znalazł go poranny patrol... - Lewczyński zawiesił głos, przypomniawszy sobie o przebiegu rozmowy z Kalinowskim.

- Myślałeś, że sobie jaja robią? - domyślił się Maciejewski. - Nic się nie martw, kto by się spodziewał? No, to idziemy.

Obaj weszli za parawan rozstawiony przez techników. Prokurator baczny wzrokiem omiół tabliczki z numerami rozłożone przez ekipę śledczą, przyjrzał się ubraniom i butom denata, a następnie wprawnym okiem ocenił śmiertelną ranę.

- Może rabunek? Dokumenty miał jakies? - zapytał, przykucając na wysokości kolan ofiary.

- Niczego przy nim nie znaleźliśmy.

- Portfela, kluczy, nic?

- Kilka monet w kieszeni i nic poza tym.

- Na miejscowego nie wygląda...

- Trudno powiedzieć. Ja na pewno go nie znam.

- Dobra, bierzcie go do Białegostoku i szukać świadków. I żadnej pary nie puszczać, konferencję prasową zrobimy po naradzie - zadysponował Maciejewski. - Cholera jasna, do urlopu się szykowałem.

Komisarz Lewczyński pokiwał smutno głową na znak współczucia dla kolegi, którego plany nagle ulec musiały drobnej zmianie. Co zrobić, taki los wymiaru sprawiedliwości. Prokurator się oddalił, psiocząc na głos, a niedługo potem na miejscu zjawili się lekarz i sanitariusze z noszami. Ciało zostało przykryte i przetransportowane karetką do Zakładu Medycyny

Sądowej w Białymstoku, gdzie Maciejewski zamierzał asystować przy sekcji. Gdyby nie został prokuratorem, z pewnością byłby patologiem. Strasznie go do tych wszystkich flaków ciągnęło.

Po powrocie do komendy na Andrzeja czekał niewdzięczny obowiązek zdania relacji szefostwu. Pod nieobecność komendanta rządu sprawował jego zastępca, podinspektor Sławomir Lubiewicz, osobisty kuzyn komisarza Lewczyńskiego ze strony matki.

- Czołem, Jędrzek - przywitał go uśmiechnięty czterdziestopięciolatek. - Pracowity poranek, z tego co słyszałem?

- A idź pan w diabły - syknął Lewczyński, siadając w wygodnym fotelu dla interesantów. - Potem mówią, że społeczeństwo książek nie czyta. Co się wezmę za lekturę, to albo kogoś mordują, albo inne nieszczęście.

- Ja to chyba żadnej książki w tym roku nie przeczytałem - podjął temat Lubiewicz. - Kiedyś z Popławskim zakład zrobiliśmy, który z nas więcej zagadek w kryminałach rozwiąże, i wygrał, szczęściarz, walkowerem.

- Ile rozwiązał?

- Jedną.

- Którą? - zaciekawiał się Andrzej.

- Sokoła maltańskiego.

- Łeee, przecież wszyscy znają zagadkę sokoła maltańskiego, oszust z tego Popławskiego!

- Dupa tam, Jędrus. Ja nie znam. W życiu Hammeta nie czytałem.

- Dużo przegrałeś?

- Pięć.

- Pięć stów? - Lewczyński wytrzeszczył oczy.

- Pięć miesięcy parzenia kawy codziennie rano. I dopiero pierwszy minął.

- Faktycznie, kiepsko. To daj tej kawy i złożę ci oficjalny raport. A potem do zetemesu muszę jechać, Maciejewski żądny sekcji.

- Jedź, Jędrus, jedź. Trzeba coś pismakom sprzedać, bo już wydzwanianą do nas zaniepokojeni obywatele, że po Augustowie głodny krwi degenerat lata i ludzie się boją z domu wychodzić. Trzeba tę łajzę jak najszybciej złapać.

Andrzej nagle poczuł dziwne ukłucie po lewej stronie głowy, a następnie zerwał się na równe nogi.

- Łajza! To łajzę widziałem wczoraj! O w mordę kopany, co on tu robi?! - wydierał się Lewczyński, równocześnie stukając się palcem w czoło.

- Co ty bredzisz, kuzynie, jaka łajza? Coś ci się stało?

- Muszę lecieć, Sławciu. Pilna sprawa, jedno takie ścierwo do Augustowa przyjechało i muszę się dowiedzieć po co.

- No to leć, skoro musisz... - zgodził się uprzejmie podinspektor. - Tylko jedź potem do Maciejewskiego, bo mnie się po kostnicach tańcować nie uśmiecha.

Z Januszem Dąbrowskim sprawa przedstawiała się interesująco. Jego oficjalna biografia, którą znała pani Krystyna Prusko, obejmowała dwie żony i jednego syna - Tadzika - z pierwszego małżeństwa. Janusz został ojcem dosyć wcześnie, miał wówczas dwadzieścia dwa lata, a pierwsza żona była starsza o lat całych cztery, czyli na tamte czasy dosyć stara. Wtedy bowiem rodziły dziewczęta osiemnastoletnie, dwudziestosześcioletce zaś wytykano staropanieństwo. Dlatego też rodzina Jadzi nie zwlekała zbyt długo ze swatami, kiedy ich najstarszą córką zainteresował się przystojny syn najbardziej

znanego w Augustowie farmaceuty, sam przygotowujący się do zawodu lekarza.

Janusz był mężczyzną przystojnym, obdarzonym ponadprzeciętnym wzrostem blisko metra dziewięćdziesięciu centymetrów, miał wysokie czoło zwiastujące mądrość i rozsądek, a do tego był barczysty i silny jak tur. Kiedy zabawy z naiwną Jadzią poskutkowały rosnącym pod jej sercem życiem, Janusz zachował się jak na rycerza przystało, oświadczył się i obiecał wybrance życie różami usłane. Ślub odbył się niemal natychmiast, Wojciech Dąbrowski zadbał o to, by wesele syna zapamiętano na długo, nie skąpił grosza i wydawało się, że wszystko jest na dobrej drodze.

Kiedy urodził się Tadzik, uznano, że lepiej będzie, jak Jadzia pomieszka przez chwilę u matki, a Janusz w trybie ekstraordynaryjnym ukończy studia i czym prędzej zacznie praktykę, żeby móc utrzymać rodzinę. Jadzia do matki się wyprowadziła, Janusz natomiast nagle zmienił zdanie i postanowił studiów nie kończyć, gdyż tak naprawdę wcale nie chciał być lekarzem. Chciał być za to literatem, marzyła mu się kariera Sienkiewicza. Za nic miał argumenty ojca, że do tego chociaż trochę talentu by się przydało, nie mówiąc już o warsztacie pisarskim. Młody Dąbrowski postanowił, że będzie pisał, i koniec. Ostatecznie Wojciech Dąbrowski postawił synowi ultimatum: jeśli zależy mu na dziedzictwie, ma skończyć studia medyczne, w przeciwnym razie ojciec wyrzuci go na zbity pysk, a wszystko odda wnukowi. Ten argument dotarł do krnąbrnego młodzieńca i odniósł pożądany skutek. Tym sposobem Janusz przeniósł się na kierunek farmacji, ostatecznie idąc w ślady ojca. Tak czy siak, planował wiedzę o truciznach wszelkiej maści wykorzystać i udowodnić wszystkim, że nie tylko Agatha Christie potrafiła pisać kryminały.

Tadzik rósł w zdrowiu i miłości, rozpieszczany przez matkę i dziadków, w szczególności zaś przez dziadka Dąbrowskiego, który od najmłodszych lat wpajał chłopcu wiedzę z zakresu chemii organicznej i nieorganicznej. Apteka przeszła w ręce Janusza, który po studiach praktykował pod okiem surowego rodzica. Zostawszy panem aptekarzem pełną gębą, rozpaczliwie potrzebował pomocy, zatrudniał więc co i rusz nowe techniczki farmacji, dziwnym zbiegiem okoliczności urodą wyróżniające się z tłumu. Jadzia pojęcia o tym nie miała, bo całymi dniami pomagała rodzicom w gospodarstwie albo zajmowała się wychowaniem Tadzika, który na szczęście kłopotów nie sprawiał, będąc dzieckiem wyjątkowo spokojnym i rozumnym.

Któregoś dnia Jadzia niefortunnie wyszła na drogę prosto pod koła rozpędzonego samochodu ciężarowego i tak się jej żywot zakończył. Tadzik miał wówczas siedemnaście lat i śmierć matki przeżył dogłębnie. Więzi z ojcem nigdy nie udało mu się nawiązać, ten bowiem dzieci w ogólności nie lubił i nie bardzo wiedział, jak z nimi postępować.

Po przedwczesnej śmierci żony Janusz poczuł się zagubiony i bardzo samotny. Pocieszenie znalazł u szwagierki, Małgorzaty, która początkowo z dobroci serca, a następnie z porywu tegoż wkroczyła do domu Dąbrowskich, wnosząc powiew świeżości. Tadzik ciotkę lubił, choć trochę bał się jej postępowych poglądów, które nakazywały kobietom chodzić w dżinsowych spodniach, czytać romanse i bez obaw wygłaszać swoje zdanie na forum. Pod tym względem różniła się od zmarłej siostry jak dzień od nocy – Jadzia z natury była cicha, uległa i zupełnie podporządkowana regułom świata rządzonego przez mężczyzn. O pokrewieństwie pań dobitnie świadczyły jedynie identyczny płomiennorudy kolor włosów i nadmiernie wydatny, przywodzący na myśl rzymskie posągi, nos. Janusz i Małgorzata zbudowali szczęśliwe stadło, choć dzieci z tego związku nie

było, bo też i żadne z nich wielką chęcią do zmieniania pieluch nie pałało. Tadzik im wystarczył w zupełności. Umarli niemal w tym samym czasie i zgodnie z ich wolą pochowano oboje w rodzinnym grobie Dąbrowskich, gdzie wcześniej spoczęła matka Tadeusza.

Poza działalnością farmaceutyczną Janusz w czasach słusznie minionych parał się także tak zwaną współpracą. Nigdy się do tego nie przyznał, choć całe miasto huczało. Wiadomym wszak było, że właściciel apteki - mało tego! - właściciel majątku ziemskiego bez odpowiedniego wsparcia ze strony władz długiej kariery by nie zrobił. Po obaleniu ustroju i odtajnieniu akt przez IPN stało się dla wszystkich jasne, że Dąbrowski sypał, tylko do końca nie było wiadomo, czym on mógł sypać. Na wszelki wypadek postanowiono go ukarać i przez kilka miesięcy do apteki żaden szanujący się mieszkaniec Augustowa nie zajrzał. Cierpiał na tym młody Tadeusz, który ukończył z wyróżnieniem studia na wydziale farmaceutycznym i groziło mu widmo pracy dla konkurencji. Na szczęście rozeszła się plotka, że Janusz oddaje schedę synowi i można było przywrócić *status quo*.

- No dobrze, pani Bożeno, ale my tu miałyśmy o dzieciach z nieślubnego łoża mówić, historię mojego zięcia Tadeusza ja znam całkiem nieźle - podsumowała pani Krystyna, kiedy owo *status quo* zostało przywrócone przez panią Frątczakową.

- To okoliczność historyczna była, pani Krysiu - oburzyła się tamta. - Teraz przechodzimy do konkretów. Mówiło się u nas na wsi, że Januszek, jak jeszcze Jadzia żyła, z tymi swoimi techniczkami stale romansował. Dłatemu one wszystkie takie piękne były.

- Od romansowania z Januszkiem im urody przybywało? - powątpiewała pani Prusko.

- No co też pani! - uniosła się Frątczakowa. - On je tak specjalnie wybieroł, tylko ładne go interesowały, brzydkie od

razu gonił won.

- Nie tylko z techniczkami - wtrąciła pani Brożyna. - Ponoć jeździł też po różnych lekarkach, żeby one polecały to jego aptekę okolicznym pacjentom.

- Prawda - potwierdziła Frątczakowa. - Wtedy jeszcze nie było tych wszystkich pełnomocników czy jak oni się nazywają, co to rozdają lekarzom te takie notesiki z obrazkami i jak który tam farmaceuta miał żyłkę do interesów, to sam sobie klientów nagonił.

- I Janusz sobie nagonił? - zapytała pani Krystyna sceptycznie, mrużąc oczy.

- Czy aby klientów to ja nie wiem - zachichotała straganiarka. - Ale na pewno nagonił sobie tako jedno lekarkę, Janinkę, co to wszyscy zawsze mówili, że ona jak laleczka malowana.

- I co ta laleczka? - Pani Prusko dała się wciągnąć w historię.

- No i podobno, tego na pewno nie wiem, bo to raczej taka plotka była, a nie prawda objawiona, że Januszek z to Janinko dzieciaka miał. Ale, to też podobno nie do końca sprawdzone, nie uznał tego dzieciaka i z Janinko ożenić się nie chciał, bo on katolik przecież, a rozwód to grzech ciężki śmiertelny.

- Cudzołożenia Pan Bóg też zabronił - przypomniała kąśliwie pani Krystyna.

- Ale za cudzołożenie ksiondz rozgrzeszenie daje, a za rozwód nie - wyjaśniła pani Brożyna.

- Aha. No i co dalej z tą Janinką i jej bękartem się działo?

- Podobno wyjechali gdzieś do Warszawy. Ona rodziny tu już natenczas żadnej nie miała, matkę w czasie wojny do Treblinki powieźli, ojciec umarł jeszcze dawniej. Tutej babka ją wychowała, a potem dziewczyna sama została. No i tego dzieciaka tylko miała, jak ją Januszek w trombe puścił.

- A kiedy to było? Ten romans i dzieciak? Tak pi razy drzwi niech panie powiedzą.

- Tak jakbym strzelać miała, to gdziesik na poczontku lat osiemdziesiątych, co, Aniela?

- Pod koniec siedemdziesiątych przedzej - poprawiła skwapliwie pani Brożyna. - W osiemdziesiątym roku Jadzia umarła, a to przecież za jej życia się działo.

- Racja, w siedemdziesiątych. Czyli że ten dzieciak by miał teraz lat...

- Czterdzieści kilka - odpowiedziała pani Krystyna. - A nazwisko tej lekarki panie znają?

Straganiarki popatrzyły po sobie i równocześnie pokręciły głowami. Żadna z nich nie potrafiła sobie przypomnieć nazwiska pięknej jak lalka Janinki. Pamiętały za to, że praktykowała w szpitalu w Knyszynie. Dobrze i to.

Zapewniwszy swoje informatorki, że zachowa pełną dyskrecję, Krystyna kupiła kopę jaj od pani Frątczakowej, kanekę mleka od pani Brożyny i udała się prosto do domu córki.

Edyta wracała właśnie z salonu fryzjerskiego należącego do Karoliny, podziwiając w każdej mijanej szybie nową obłądną fryzurę, kiedy dopadło ją niepokojące uczucie, że ktoś ją obserwuje. Poczła mrowienie na karku i odruchowo dotknęła to miejsce. Zatrzymała się pod apteką należącą do jej taty, ale wchodzić do środka nie miała zamiaru, zależało jej tylko na zlustrowaniu otoczenia w lśniącej tafli szkła wystawy okiennej. Stała więc przodem do wielkiego okna i z namaszczeniem zaczęła układać kosmyki nieco potargane przez wiatr. Nie dostrzegła nikogo znajomego, za to ona sama została dostrzeżona przez pana Tadeusza, który się jej przyglądał z uwagą. Kiedy Edyta oddaliła się od apteki, ojciec mruknął pod nosem: „Hormony...”. Stojąca po drugiej stronie lady starsza

pani zareagowała na te słowa paniką, gdyż zależało jej na maści na żylaki, ale niekoniecznie z hormonami, albowiem była to maść dla jej męża, któremu ginekomastia wcale nie była potrzebna.

Uczucie bycia obserwowaną powróciło do Edyty w chwili, kiedy widziała już zarys domu. Mało tego, że wróciło – nasiliło się wręcz i w tej chwili Edyta była pewna, że ktoś wlepie w nią swoje oczy, na mur-beton. Przeszła trzy kroki i obróciła się nagle, licząc na element zaskoczenia. Zaskoczenie, owszem, wystąpiło, ale ze strony Edyty.

- Patinka?! - wykrzyknęła, wytrzeszczając oczy. - Co ty tutaj robisz? Co się dzieje?

- Ja pindolę, Edytka, gonię cię i gonię, a moje dwadzieścia dodatkowych kilogramów do kochania wcale sprawy nie ułatwia - wydyszała właścicielka wydawnictwa Pat-Inka, osobista przyjaciółka Edyty, łapiąc się za kolana ugięte w pozie skoczka narciarskiego.

- A dlaczego ty mnie gonisz? Przecież ja nie uciekam! I co ty tu w ogóle robisz, zadzwonić nie mogłaś?

- Niespodziankę chciałam ci zrobić. I latam tak za tobą od rana, ale dogonić nie mogę. Czująś, że ktoś za tobą idzie?

- Czuałam, myślałam, że jakiś zbir się na mnie zaczął. Ciesz się, że nic ciężkiego w ręce nie miałam, bo w łepetynę byś oberwała.

- Oesu, dziółcha, dajże spokój. Limit kilometrów na miesiąc chyba wyrobiłam, zlitujże się, herbaty chociaż daj albo kawy. Kawy lepiej. Kupiłam ciasteczka.

Kiedy weszły do domu, pochłonięte dyskusją na temat pożądaných i niepożądaných niespodzianek, nie zwróciły uwagi na kolejnego gościa, który siedział w fotelu i beztrósko popijał herbatę w towarzystwie pani Basi. Nie zdążyły nawet zdjąć butów, gdy drzwi frontowe otworzyły się z rozmachem i w

blasku słońca ukazała się pani Krystyna z kanką mleka w jednej i wytłoczką wiejskich jaj w drugiej ręce.

- A cóż to za zjazd Mazurów? - rzuciła od progu, uśmiechając się szeroko do Patinki. - I ciebie tu przyniosło? Kogoś jeszcze powinniśmy się spodziewać?

- Chyba mnie... - odpowiedział męski głos z fotela.

Wszystkie trzy wzdrygnęły się i spojrzały w tamtym kierunku.

- Dzień dobry, pani Krystyno, cześć, Edyto. I Patrycjo.

- O masz! - krzyknęła babcia Prusko. - Tego na pewno się nie spodziewałam.

- Nikt do mnie nie mówi, Patrycjo - szepnęła właścicielka wydawnictwa, zgrzytając zębami. - Co tu się wyprawia, Edytka?

- Wnioskuje, że nadchodzi koniec świata - odpowiedziała jej Edyta również szeptem.

Pani Basia, ukryta do tej pory za oparciem fotela, wychyliła głowę w ich stronę.

- Rozumiem, że nie tylko ja zostałam zaskoczona wizytą Rafała?

Lewczyński tak bardzo się śpieszył, że zapomniał zadzwonić do Edyty i uprzedzić o wizycie. Wparował do domu państwa Prusków, serwując im trzecią w tym dniu niespodziankę.

- Edyta! - wrzasnęła od progu. - Edyta, jesteś?!

- Jestem, czego się drzesz jak lis obdzierany ze skóry?

- Dlaczego lis ma się drzeć? - zdziwiła się Patinka. - Przecież na żywca go nie skórują.

- Kto to? - zapytał Lewczyński, zdejmując buty. Głosu Patinki nie znał, miał prawo czuć się zaskoczony. - Gdzie ty jesteś, Edyta?

- Tu jestem, w salonie. Siedzimy sobie razem, rodzinny zjazd nastąpił.

- No to właśnie ja ci chciałem powiedzieć, że grono wam się powiększy, bo chyba widziałem łajz... - Urwał, wchodząc do salonu, kiedy jego wzrok padł na męża Edyty. Przyszłego byłego męża, dokładniej rzecz biorąc.

- Dzień dobry, Rafał Surym - przedstawił się tamten, wyciągając rękę do policjanta. - Zdaje się, że się nie znamy.

- Andrzej Lewczyński - odwzajemnił się komisarz, wciąż ogłupiały z wrażenia. - Rzeczywiście, nie mieliśmy okazji.

- A to jest Patinka - przedstawiła Edyta przyjaciółkę, wskazując na korpulentną pięćdziesięciolatkę. - Moja pracodawczyni i malborski odpowiednik Karoliny. I nie lubi, kiedy nazywa się ją Patrycją. Radzę zapamiętać. - Spojrzała surowym wzrokiem na swojego jeszcze męża, który chyba aluzji nie zrozumiał.

- Miło mi przeogromnie. - Patinka się wyszczerzyła, wlepiając w przystojnego policjanta zielone oczy. - Nie myślał pan o karierze modela, panie Andrzeju?

- Nie, raczej nie bardzo - odparł zmieszany policjant. - Jakoś nigdy szczególnego parcia na szkło nie odczuwałem.

- Szkoda. Wielka strata dla szkła - stwierdziła ze smutkiem. - I wielka radość dla policji, słyszałam o pańskich sukcesach.

- A po co tu przylazł? - zapytała obcesowo pani Krystyna Prusko. - Podobno morderstwo macie do rozwiązania, zadzwonić trzeba było.

- Morderstwo?! - zawołały równocześnie pani Basia, Edyta i Patinka; dwie pierwsze z przerażeniem, ostatnia z radosną ekscytacją.

- Skąd pani wie, pani Krysiu? - zdumiał się Lewczyński. - Przecież jeszcze niczego nie ujawnialiśmy, prokurator zakazał.

- Prokurator-srator - parsknęła babcia Prusko. - Ty chyba nie sądzisz, że Maciejewski Henrykowi takiej sensacji by nie sprzedał? A jeśli sądzisz, to naiwny jesteś jak te krowy na pastwisku.

- Kogo zamordowali? - drażyla Edyta. - Kiedy? Gdzie?

- Nie wolno mi o tym mówić. Jeśli pisnę chociaż słowo, to Lubiewicz mnie zaszlachtuje.

- To twój kuzyn, nic ci nie zrobi - odparła bez namysłu dziewczyna.

- Bo niby to w rodzinie nikt nikogo nie morduje? - W głosie pani Krystyny zadźwięczała ironia. - Na przykład w naszej?

Jedyną osobą, która jakkolwiek zareagowała na te słowa, był Rafał Surym. Pozostałym powieka nie drgnęła, może tylko lekko się uśmiechnęli. Mąż Edyty natomiast dał wyraz swojemu oburzeniu:

- Dziwne macie poczucie humoru. Uli należałoby się chociaż trochę szacunku.

- Nie odzywaj się, Rafałku, niepytany - ostrzegła go seniorka rodu Prusków. - Akurat w tej sprawie ty powinienes siedzieć cicho i udawać, że w ogóle cię nie ma. Przypominam ci, młody człowieku, że gdyby nie ty, ta mała latawica mogłaby żyć.

- Babciu, daj spokój... - odezwała się Edyta cicho. - Matkę niedawno stracił, w żałobie jest, nie wie, co mówi.

- Mojej mamy to ty w to, Edyta, nie mieszaj - podniósł głos Surym. - Nigdy dla niej szacunku nie miałaś, więc chociaż po śmierci by się przydało.

- Ona za to szacunkiem do mnie opływała - odgryzła się ciężarna dziewczyna. - I dlatego pewnie, z tego szacunku rozbuchanego, pod latryną w pociągu mi wstydu narobiła, co?

- Pod jaką latryną? O czym ty mówisz?! - Rafałek zdenerwował się już na poważnie.

- Pod publiczną, w szynobusie Kolei Dolnośląskich. Bączek ci nie mówił?

Rafał odpowiadać nie musiał, widać było, że Bączek mu nie powiedział, bo w zasadzie informacja ta dla sprawy była irrelevantna. Dla Suryma generalnie też była, ale jakieś wypaczone poczucie honoru kazało mu się nagle obrazić. Na wszystkich, z Bączkiem włącznie. Oparł się w fotelu, skrzyżował ręce na piersiach i poruszał nozdrzami jak wściekły byk.

- To ja już w sumie pójdę... - poinformował nieco skonsternowany Lewczyński. - Nie będę państwu przeszkadzać. Zadzwoń do mnie, Edytka, w wolnej chwili.

Po wyjściu policjanta przez kilka minut w domu panowała głucha cisza, przerywana jedynie siorbnięciami herbaty. Edyta, zła na Rafała i za pojawienie się w jej domu, i za rycerską obronę jej zdradzieckiej kuzynki, nie miała najmniejszej ochoty na rozmowę z nim. Po co on tu w ogóle przyjechał?

- A ty po co tu w ogóle przyjechałeś? - zapytała pani Krystyna, jak zwykle bez ogródek. - Stało się coś?

- Chodzi o coś jeszcze poza tym, że mam zostać ojcem? O czym zresztą dowiedziałem się od mojego brata, a ten przypadkiem dowiedział się od jakiegoś policjanta?

- Jeśli już, to od podkomisarza Bączka, a nie JAKIEGOŚ tam policjanta - upomniała go starsza pani. - Przydałoby się trochę szacunku dla osoby, która znalazła mordercę twojej matki. Coś mi się widzi, że to rodzinna u was cecha, takie zadufanie w sobie i brak poszanowania dla innych.

Surym już chciał coś odpowiedzieć, nawet otworzył usta, lecz zaraz zamknął je z głośnym kłapnięciem rażony spojrzeniem Edyty, która kręciła głową, dając mu znak, żeby nie zaczynał dyskusji z babcią. Dla jego dobra to zrobiła, choć wiedziała, że pani Prusko ma rację.

- Patinka, idziemy. Zatrzymasz się w Stanicy, mamy wolny pokój - zaordynowała nestorka. - Edyta ma coś do wyjaśnienia z małżonkiem, tak mi się zdaje.

- Z przyjemnością, pani Krysiu. - Przyjaciółka Edyty stanęła na baczność, gotowa z radością opuścić pokój, w którym atmosfera zgęstniała nie do wytrzymania. Tyle się nasłuchiwała o tym wielkim Emilu Mirosławskim, że z rozkoszą skosztuje jego *spécialité de la maison*. - Do później, Edytko. Do widzenia, pani Basiu. Rafale - rzuciła na odchodne i zamknęła za sobą drzwi.

Po wyjściu z domu Edyty Lewczyński poczuł się skołowany i zapomniał nawet, że przyjechał samochodem. Musiał więc zawrócić, niemal powodując wypadek z udziałem rowerzysty, któremu nagle wyszedł pod koła. Po głowie wciąż tłukły mu się pytania. Co tu robi Surym? Czego on chce od Edyty? Czy przyjechał się z nią pogodzić? A może nie chce jej dać rozwodu, skoro sytuacja uległa dość istotnej zmianie? I co na to wszystko sama Edyta? Z rosnącym w gardle uciskiem Andrzej ruszył do Białegostoku.

Zbliżając się do ulicy Waszyngtona, przypomniał sobie ostatnią wizytę w Zakładzie Medycyny Sądowej, kiedy dziesiątki ludzi oglądały sekcję celebryty ze świata show-biznesu. Oglądał też Lewczyński, choć nie z niezdrowej ciekawości, ale z podziwu dla zręcznych rąk szefowej zakładu, profesor Iwony Kuncewicz-Milickiej, której zaangażowanie i oddanie pracy docenił niedawno sam prezydent Białegostoku. Andrzej miał nadzieję, że i tym razem profesor Kuncewicz zajmie się oceną sądowo-lekarską. W odróżnieniu od wrocławskiego podkomisarza Bączka komisarz Andrzej Lewczyński nie brzydził się ani krwią, ani ludzkim wnętrzem, niestraszne mu były rozkładające się zwłoki. Jego ojciec, utytułowany chirurg, od wczesnego dzieciństwa pokazywał

synowi nagrania z pionierskich operacji w dziedzinie transplantologii, mając nadzieję na zarażenie go bakcylem. Niestety ową nadzieję musiał porzucić, kiedy w trakcie nauki w liceum Andrzej odkrył zamiłowanie do zagadek logicznych i złośliwie wygrał ogólnopolską olimpiadę matematyczną, uzyskując w ten sposób indeks na dowolną uczelnię o charakterze ścisłym. Wybrał Politechnikę Wrocławską, która wydawała się najbardziej oddalona od nadopiekuńczej matki. Ojciec gorzką pigułkę jakoś przełknął, choć przyszło mu to z ogromnym trudem.

O karierze w policji Andrzej myślał nieustannie od owego dnia, w którym po raz pierwszy w życiu skonfrontował się z nagłą śmiercią, myśląc, że przyczynił się do niej jego przyjaciel. Od tamtej pory regularnie uczestniczył we wszystkich zgromadzeniach ludowych wokół ofiar wypadków i morderstw, zaprzyjaźnił się nawet z jednym policjantem, który pamiętnego dnia odwiedził blok, gdzie mieszkali Andrzej z Miśkiem. Na podyplomowe studia w Szczytnie ojciec zareagował entuzjastycznie, matka zaś załamała ręce, nie mogąc pogodzić się z faktem, że jej ukochany syn narażać będzie swoje życie.

Wyremontowany gruntownie budynek Uniwersytetu Medycznego przy ulicy Jerzego Waszyngtona w Białymstoku budził respekt i sprawiał wrażenie instytucji o wybitnej powadze. Był oczywiście zdecydowanie mniej efektowny niż pałac Branickich, w którym mieści się siedziba główna uniwersytetu, ale przecież nie na zwiedzanie tu Andrzej przyjechał. Przynajmniej tym razem, następnym może przywiezie Edytę na spacer po muzeum?

Już przed wejściem do budynku widać było radiowozy policyjne, które z jakiegoś powodu nie wyłączyły sygnałów, budząc niestosowne zainteresowanie studentów i odwiedzających szpital. Tyle tytułem zachowania tajemnicy, pomyślał Andrzej, wchodząc do Zakładu Medycyny Sądowej.

W korytarzu prowadzącym do części prosektoryjnej stało kilku policjantów, wśród których Lewczyński dostrzegł posterunkowego Kalinowskiego. Prokuratora Maciejewskiego nigdzie nie było widać.

- Czołem, posterunkowy - przywitał się z trupiobladym młodzieńcem. Gdyby ten położył się na którymś stojącym opodal łóżku, bez wątpienia skończyłby w chłodni. - Prokuratora nie widzieliście?

- Jest w środku. Kazał panu wejść.

- Aha. No to dziękuję. Napijcie się wody może albo zjedzcie coś, bo zbledliście okropnie.

- Nie dam rady - odparł słabo Kalinowski. - Ciągłe mam przed oczami ten uśmiech w szyi i chyba znowu będę rzygał.

- Też dobrze. Przyzwyczajcie się, bez obaw. Jeszcze kilka trupów, ze dwa topielce i będziecie mogli śniadanie konsumować na miejscu zbrodni.

Kalinowski, obdarzony widocznie żywą wyobraźnią, momentalnie pozieleniał i puścił się sprintem w kierunku kosza na śmieci. Starsi koledzy zaśmiali się z niego, za co Lewczyński spiorunował ich wzrokiem.

Andrzej wystukał sześciocyfrowy kod na klawiaturze zabezpieczającej wejście na blok, otworzył drzwi i ruszył w stronę, z której dochodził już specyficzny zapach prosektorium. Ciężkie metalowe wrota zamknęły się bezszelestnie. W korytarzu panował półmrok, a grube otynkowane mury trzymały przyjemny chłód. Pod drzwiami sali, w której wykonywano sekcje zwłok, majaczyła sylwetka Maciejewskiego pochłoniętego rozmową z kimś, kogo Lewczyński nie potrafił rozpoznać w słabym świetle. Zbliżywszy się, z radością odkrył, że była to profesor Kuncewicz-Milicka, jak zawsze elegancka niczym *lady z Ivy League*. Dostrzegłszy go, pomachała radośnie.

- Andrzejku, witaj! - zaszcebiotała głosem małej dziewczynki, choć była już damą w wieku co najmniej balzakowskim.

- Dzień dobry, pani profesor. Miałem nadzieję, że panią tu spotkam.

- Chyba nie sądziłeś, że odpuszczę sobie taką gratkę. - Medyczka sądowa puściła do niego oko. - Wreszcie coś ciekawego.

- Dobrze, że jesteś - odezwał się Maciejewski. - Sala jest już gotowa, denat też, ruszamy.

Po wejściu do sali wszyscy troje założyli fartuchy otrzymane od asystenta profesor Kuncewicz-Milickiej i podeszli do jednego z dwóch stołów prosektoryjnych. Ogromna lampa oświetlała zwłoki ułożone głową w kierunku okna. Upiorny otwór w szyi denata nie pozostawiał wątpliwości co do przyczyny zgonu.

- To co - odezwała się radośnie patolożka - możemy ruszać? Arturze, proszę o włączenie dyktafonu. Soniu, zaczynamy sesję.

Te ostatnie słowa medyczka skierowała do niepozornej dziewczyny, która stała z boku, trzymając w ręku cyfrowy aparat fotograficzny. Skinęła głową i podeszła do stołu. W czasie, kiedy Sonia sporządzała dokumentację fotograficzną, profesor Kuncewicz odczytywała na głos informacje zawarte w protokołach oględzin zwłok na miejscu znalezienia oraz oględzin samego miejsca ich ujawnienia, które według wszelkich znaków na niebie i ziemi należało uznać także za miejsce zbrodni.

- Sądząc po ilości krwi wokół ciała denata oraz faktu, że zabezpieczający ślady wykluczyli możliwość relokacji zwłok, należy uznać, że śmierć nastąpiła w miejscu znalezienia ciała - powiedziała patolożka, pochylając głowę w stronę włączonego dyktafonu.

Kiedy Sonia zakończyła fotografowanie ciała, medyczka odłożyła protokoły, umyła ręce i włożyła lateksowe rękawiczki.

Asystujący przy sekcji Artur zajął się zabezpieczeniem śladów z odzieży, włosów i spod paznokci denata, a także wymazów, które pobrał z ulokowanych na głowie naturalnych otworów ciała. Po zakończeniu czynności wstępnych prowadząca sekcję lekarka przeszła do obejrzenia nieboszczyka.

- Odzież denata zgodna z protokołem oględzin zwłok sporządzonym w miejscu ich znalezienia. Nieliczne zabrudzenia drelichowej kurtki, rozdarcie na wysokości stawu kolanowego prawej nogawki spodni typu chinos. Bawełniana koszula w granatową kratkę obficie poplamiona krwią.

Medyczka zrobiła przerwę i pochyliła się nad ciałem. Delikatnie odsunęła poły kurtki, po czym pęsetą wyjęła z kieszeni koszuli przesiąknięty brunatną krwią papier. Asystujący patolożce Artur ostrożnie chwycił znalezisko w dwa palce i odłożył je do metalowego pojemnika.

- Z kieszeni na piersi koszuli denata wyjęto złożoną na czworo kartkę poplamioną krwią. Po pobraniu z niej materiału do badania kryminalistycznego zostanie przekazana prokuratorowi Maciejewskiemu do akt sprawy. - Kuncewicz zrobiła przerwę i kiwnęła głową na asystenta, który zmierzył długość ciała miarką. - Stan ogólny zwłok: mężczyzna w wieku między dwadzieścia pięć a trzydzieści pięć lat, budowa typu mezomorficznego, wzrost: sto osiemdziesiąt cztery centymetry, oznaki lekkiego niedożywienia: zapadnięte policzki, sucha skóra widoczna na odsłoniętych częściach ciała, starcze rysy twarzy - kontynuowała patolożka.

Lewczyński trzymał się z tyłu, skąd wyraźnie widział każdy ruch medyczki lub asystującego jej młodego lekarza. Dziwił się, że Maciejewski pochylał się nad ciałem w niebezpiecznie małej odległości, jakby koniecznie musiał poczuć zapach śmierci.

Prowadzona przez blisko czterdzieści minut szczegółowa obdukcja ujawniła, że poza raną, która definitywnie stała się *mortis causa*, na ciele denata znajdowały się ślady walki

skupione w górnej części klatki piersiowej i nadbrzusza: liczne otarcia i zasinienia, które w większości powstały tuż przed śmiercią.

- Bił się? - upewnił się Andrzej, zaglądając przez ramię fotografki-protokolantki. - Z kimś?

- Jeśli nie zderzył się z workiem treningowym, kilkakrotnie, to należałoby taki wniosek wyciągnąć... - odparła patolożka, mierząc wielkość siniaków. - Poczekaj, Andrzejku, aż skończę, wtedy możemy to omówić.

Andrzejek pokornie zastosował się do tej niezwykle grzecznej uwagi, choć w zasadzie to dla niego sekcja mogła się już skończyć. Jak wiemy, brzydzić się nie brzydził, ale był człowiekiem czynu i zamiast oglądać wykładanie elementów ludzkiego ciała na metalowe tacki, wolałby przesłuchiwać tabuny świadków, wśród których na pewno znajdzie się co najmniej jeden wiedzący cokolwiek na temat tajemniczego denata. Bo w to, że te tabuny się ustawią w kolejkach jak za peerelu, nie wątpił ani przez chwilę. Makabryczna zbrodnia w Augustowie! Kto by nie chciał wystąpić w telewizji?!

Po usłyszeniu sformułowania „bezpośrednia przyczyna zgonu” Andrzej nadstawił uszu, po czym zanotował skrzętnie, iż śmierć nieznanego mężczyzny nastąpiła wskutek wykrwawienia się, czego naturalnie powodem, a tym samym tak zwaną pierwotną przyczyną zgonu, była rana cięta gardła zadana ostrym narzędziem typu nóż myśliwski z gładkim obusiecznym ostrzem. Śmiertelną ranę zadano prawdopodobnie dwoma ruchami, ofiara musiała wówczas leżeć na plecach, najpewniej przyciskana do podłoża przez zabójcę. *Rigor mortis* objęło już wszystkie mięśnie, zatem należało przyjąć, że śmierć nastąpiła nie wcześniej niż dwadzieścia cztery godziny temu, przy czym na podstawie temperatury ciała można było ten czas zawęzić do maksymalnie piętnastu godzin. To dawało późny wieczór dnia poprzedniego jako czas zgonu. Więcej Lewczyńskiemu do

szczęścia nie było potrzebne, gibnął elegancko i wycofał się do drzwi, lewą ręką odkładając fartuch laboratoryjny na krzesło. W tym czasie Maciejewski z szaleństwem w oczach zaglądał do wnętrza rozplątywanego sprawną ręką obducentki brzucha nieboszczyka. Różnych Pan Bóg ma stołowników, jak zwykła mawiać pani Krystyna Prusko, kobieta wielkiej mądrości – pomyślał Andrzej, zamykając masywne drzwi od drugiej strony.

Po wyjściu z Zakładu Medycyny Sądowej, odzyskawszy wzrok porażony nagłym i nieprzewidzianym blaskiem słońca, Lewczyński udał się wprost do komendy, gdzie spodziewał się już pierwszych świadków. W zasadzie się nie pomylił, nie docenił jednak stopnia praworządności augustowian, którzy nader tłumnie zgromadzili się pod budynkiem, żądając natychmiastowego umożliwienia im złożenia zeznań. Cudem udało mu się przedrzeć przez rozwrzeszczane zbiegowisko i z ulgą zamknął za sobą drzwi, zostawiając po ich drugiej stronie dwóch posterunkowych pełniących chwilowo funkcję strażników.

- O ja cię nie chromolę! – wysapał, stanąwszy na progu gabinetu zastępcy komendanta. – Chyba za dużo witaminy D dostali i nagle wszystkim odbiło.

- No i co tam słyhać w krainie umarłych? – zignorował go Lubiewicz. – Maciejewski szczęśliwy?

- Jak bąk na wiosennej łące. On się naprawdę z powołaniem pomylił albo jest nekrofilem.

- Coś w tym może być... – zamyślił się tymczasowy komendant. – Słuchaj, zanim mi tu relację złożysz, to powiedz, jak się mają sprawy. Tak à propos kontaktów międzyludzkich... Twoje z Marleną.

- Serio ci się nekrofilia z moim życiem uczuciowym skojarzyła? – Andrzej skrzywił się z obrzydzeniem. – Tobie też by się jakiś psychiatra przydał. Nie ma żadnych spraw, Marlena pojechała do Szczecina. Koniec epopei.

- I tak po prostu? Wzięła i pojechała? Sama z siebie?

- A z czego innego, jak nie z siebie? No, spakowała walizki i pojechała - zniecierpliwiał się Lewczyński. - Widocznie nie było nam pisane.

- Nie chcesz, to nie gadaj, twoja sprawa. Ale ja i tak swoje wiem. No to dawaj tu te fakty na temat uśmiechającego się szyją nieboszczyka, ludzi trzeba uspokoić.

Całkowicie ignorując zaczepkę dotyczącą jego miłosnego pożycia, Andrzej przekazał kuzynowi zebrane dotychczas informacje na temat znalezionej na bulwarach ofiary morderstwa, dzięki doskonałej pamięci odtwarzając z najmniejszymi szczegółami przebieg wstępnych etapów sekcji. Lubiewicz kiwał głową, a przy okazji kiwał się cały wraz z rozklekotanym krzesłem, które stanowczo wymagało wymiany.

- Czyli dalej wiemy, że nic nie wiemy? - podsumował. - Bardzo dobrze, będziemy improwizować. Spisujemy wszystko, co wyda nam się choć odrobinę prawdopodobne, a potem zrobimy burzę mózgow. Na ostatnim szkoleniu w Olsztynie było takie fajne ćwiczenie, to cię nauczę. No, chodź, komisarzu, miejmy już to za sobą. A z prasą będzie gadał Maciejewski.

Inspektor Kazimierz Wilczyński, szef cieszącego się wielką sławą Wydziału Kryminalnego Komendy Wojewódzkiej Policji we Wrocławiu, siedział z nosem na kwintę, ignorując piąty tego dnia telefon od swojej siostry. Ani przez chwilę nie pomyślał, że jej niefrasobliwemu synowi mogło grozić jakiegokolwiek niebezpieczeństwo, i z granitową pewnością był przekonany, że chłopak znajdzie się cały i zdrow za kilka dni.

Jego opinii nie podzielał jednak podkomisarz Bączek, obdarzony wyjątkową intuicją i niekiedy zbyt wybujałą wyobraźnią, któremu ostatnie miesiące uświadomiły, że życie potrafi pisać naprawdę zaskakujące scenariusze. Nie chciał

jednak niepokoić przełożonego ani tym bardziej narażać się na jego złość, postanowił więc w ogóle nie zabierać głosu. Co było do przewidzenia – postanowienia sobie, a rzeczywistość sobie, gdyż Wilczyński wezwał Bączka do siebie i prosto z mostu zapytał:

- Ty myślisz, że coś mu się przytrafiło?

Podkomisarz przez chwilę się zastanawiał, w jaki sposób mógłby udzielić odpowiedzi dyplomatycznej i wymijającej, jednak nic nie przyszło mu do głowy. Prosty był z niego chłopak, odpowiedział więc zgodnie ze swoim sumieniem:

- Myślę, że można popytać.

- Ale kogo? I gdzie? I o co tak właściwie? Przecież on może być wszędzie, w każdej z miliona zabitych dechami wsi w tym kraju.

- Nie, no, z tym milionem to przesadziłeś. Jakies czterdzieści parę tysięcy co najwyżej.

- A, to zmienia postać rzeczy, zaraz obdzwonię wszystkich sołtysów – sarknął inspektor, obdarzając podwładnego mało przyjaznym spojrzeniem.

- No, dajże już spokój, Kaziu – próbował go udobruchać Bączek. - Fakt, łatwo nie będzie, ale skoro jest trudno, to możemy od razu zacząć od najmniej możliwych scenariuszy i drogą eliminacji coś się wyjaśni.

- Znaczy co konkretnie?

- Nie wiem, możemy zadzwonić do jednostek na różnych końcach kraju i będziemy zmierzać do środka.

Wilczyński zamyślił się głęboko. Równie dobrze mogliby obdzwonić wszystkich Kowalskich z książki telefonicznej, prawdopodobieństwo takie samo. A jednak coś w tym szaleństwie wydawało się mieć odrobinę sensu. Może rzeczywiście zaalarmowanie jednostek policji w Polsce przyniesie jakiś efekt.

- Dobra - podjął decyzję inspektor. - Dawaj mapę, wybieramy trasę.

Na pierwszy rzut poszedł zachód kraju. Zaczęli od Szczecina, kierując się na południe wzdłuż zachodniej granicy, ale nie dotarli nawet do Gubina, kiedy uznali, że pomysł jest trefny, a raczej jego realizacja fatalna. Przecież nie wiedzieli nawet, jak opisywać chłopaka, którego koledzy mieliby w ramach uprzejmości szukać. Należało więc projekt chwilowo zawiesić, ustalić z siostrą inspektora rysopis, znaleźć zdjęcie i dopiero dzwonić dalej.

Zadowolony z kiełkującego planu Wilczyński tym razem sam z siebie zadzwonił do siostry, wysłuchał jej pretensji, szlochów i lamentów, na koniec zaś triumfalnie obwieścił, że przybywa z odsieczą. Danka pisnęła ze szczęścia i rzuciła się na poszukiwanie aktualnych fotografii jedynaka. Jakąś niedawno do legitymacji robił, więc może nawet plan się powiedzie. Inspektor musiał obiecać, że oficjalne procedury rozpoczną się kolejnego dnia, czyli we wtorek, udało mu się jednak nie doprecyzować terminu „oficjalne”, dzięki czemu mógł bez wyrzutów sumienia półoficjalnie obdzwaniać komisariaty nie nadając sprawie biegu. I wilk syty, i owca cała, doskonale!

Po wyjściu Patinki i babci Prusko Edyta ani myślała dłużej udawać uprzejmości wobec Rafała. Napadła na niego z energią, która zaskoczyła nawet ją samą.

- Po coś tu przyjechał? - warknęła, patrząc na Suryma wzrokiem bazyliuszka. - Telefony nawet na Podlasiu działają, internet też już tu mamy, więc nie było konieczności fatygować się taki kawał drogi.

- Chyba nie sądzisz, że będę omawiał takie sprawy przez maila?!

- A niby dlaczego nie? Skoro bez słowa wyniosłeś się do mamusi i złożyłeś pozew rozwodowy, to równie dobrze bez słowa mogłeś załatwić wszystkie inne kwestie. Mnie twoja facjata do szczęścia nie jest wcale potrzebna! - krzyknęła na koniec, dając upust kłębiącym się emocjom.

Pani Basia wycofała się na paluszkach, choć i tak nikt nie zwracał na nią większej uwagi. Nie miała ochoty na uczestniczenie w tym pierwszym od miesiący dialogu między małżonkami. Sami musieli poukładać swoje sprawy - i to jak najszybciej.

Surym, przyzwyczajony do nieustającej adoracji, nie bardzo potrafił pojąć, jak to możliwe, że jego facjata może komukolwiek nie być do szczęścia potrzebna, nie zdążył jednak wyrazić swojego oburzenia, bo Edyta znów zaczęła krzyczeć:

- Ty rozpuszczony, rozwydrzony, zadufany w sobie Piotrusiu Panie! Ciekawe, czy gdyby twoja matka wciąż żyła, przyjechałbyś tutaj i udawał zainteresowanego ojca! Dam sobie rękę uciąć, że nie!

- Masz rację - odparł całkiem spokojnie.

- Co? - Edyta popatrzyła na niego z niedowierzaniem. - Przyznajesz mi rację? W związku z twoją matką?

- Wiesz, miałem ostatnio sporo czasu na myślenie. Po śmierci mamy dotarło do mnie, że chyba wcale nie była taką osobą, za jaką ją miałem. Wiele spraw zacząłem widzieć w zupełnie innym świetle. A kiedy dowiedziałem się o ciąży, zrozumiałem, że to może być znak.

- Jaki znak? W scjentologa się zamieniasz?

- Znak, że może zbyt pochopnie podjęliśmy decyzję o rozwodzie.

Edytę zatkało konkretnie. Przez chwilę nawet wstrzymała oddech, bojąc się wydać jakikolwiek dźwięk. Czy on naprawdę powiedział to, co ona usłyszała? Czy on naprawdę powiedział: „podjęliśmy decyzję”?!

- Opuść ten dom, zanim poproszę o pomoc moich kolegów z liceum - wycedziła po chwili, wciąż usiłując trzymać nerwy na wodzy. - Nie życzę sobie żadnych kontaktów z tobą, wszystko ustalimy przez naszych prawników. Kwestię ewentualnych spotkań z dziećmi również uregulujemy sędownie. I nie waż się, nigdy i pod żadnym pozorem, komukolwiek powiedzieć, że ten rozwód to była nasza wspólna decyzja.

- Dzie...dzieci?! - Rafał się zachłysnął. - To ile ich tam jest?

- „Tam” jest ich tyle, ile ma być. A ty idź już stąd, bardzo cię proszę, i nie wchodź mi w drogę. Cokolwiek planujesz, przemyśl to dobrze. I weź pod uwagę, że wyświadczam ci uprzejmość.

- Pfff! - prychnął Surym, wyglądając przy tym jak konkursowy przygłup. Uśmiechał się idiotycznie i zadzierał nos, identycznie jak jego świętej pamięci matka. - Ciekawostka. A cóż takiego pani Prusko za łaskę mi okazała, co? Że się nafoszyła i wyniosła do rodziców jak smarkula?

- Że się zgodziła na rozwód na twoich warunkach, cymbale, mając pod ręką dowody twojej niewierności. Jeszcze nie jest za późno, żeby po nie sięgnąć, a Bączek jest raczej moim niż twoim przyjacielem.

Rafałek kłapnął dziobem tak głośno, że aż mu zęby zadzwoniły, i sam się przestraszył. Brak wyobraźni po raz kolejny zadziałał na jego niekorzyść. Nie bardzo wiedząc, co robić, Surym na wszelki wypadek wpadł w panikę, która po chwili przerodziła się w histerię.

- Przecież ty od dawna nie byłaś ze mną szczęśliwa - lamentował, przy okazji upewniając Edytę w decyzji o rozstaniu. Wstyd było na niego patrzeć, a słuchać w ogóle się odechciewało. - I tak byś odeszła. I jeszcze ten fagas!

- Jaki fagas? Co ty bredzisz? Może cię jeszcze trzyma ten szok po śmierci mamusi?

- Edytka, ja cię proszę, przemyśl to jeszcze! Ja się naprawdę dla ciebie zmienię, dla was się zmienię, będę najlepszym mężem na świecie. Tylko mnie nie zostawiaj.

- Idź już, Rafał - odparła zimno dziewczyna. - Psujesz atmosferę i nie chcę cię teraz oglądać. I jeśli sądzisz, że rzucając jakieś fałszywe oskarżenia pod moim adresem, uda ci się cokolwiek wskórać, to jesteś w błędzie. Możesz to przekazać twojemu bratu. Czuję, że to on maczał swoje obleśne paluchy w tym „fagasio”.

Widząc, że tę walkę przegrał, Surym wymaszerował z domu państwa Prusków, z niezadowoleniem stwierdzając, że przebiegła Edyta przejrzała jego niecny plan. Możliwe, że przesadził z tym „najlepszym mężem na świecie”, zgoda, może poniosło go nadmiernie. To nic, pomyślał sobie po chwili, jest jeszcze plan B, a na upartego plan C też się znajdzie. Tak łatwo go Prusowie nie załatwią.

Kiedy dotarły do Stolicy, pani Krystyna zaprowadziła Patinkę prosto do jej pokoju, po czym zażądała stawienia się w jadalni za maksymalnie dwa kwadransy. Rozpocząła się druga połowa dnia, a seniorka rodu miała jeszcze plany do zrealizowania. Patince bardzo to odpowiadało, najbardziej na świecie nienawidziła nudy i bezczynności, dlatego też po dwudziestu minutach zjawiła się na dole gotowa na wszelkie okoliczności. Oczywiście okoliczności, które nastąpią dopiero po posiłku, w żadnym wypadku przed nim.

Emil Mirosławski, dowiedziawszy się, że spotkał go zaszczyt goszczenia pracodawczyni Edyty, cieszącej się sporą sławą właścicielki jednego z największych wydawnictw w kraju, której charyzma i przedsiębiorczość zapewniły jej prawa do tłumaczenia utworów najgłośniejszych i najpopularniejszych zagranicznych autorów, niemal dostał apopleksji. Biegał po

kuchni, rzucał przekleństwa i groźby karalne pod adresem pani Krystyny, która śmiała nie poinformować go z odpowiednim wyprzedzeniem. Za nic miał argument, że sama dowiedziała się *post factum*, to nie ona przecież musiała teraz pod presją wymyślać znakomite menu dla wyjątkowego gościa!

Wyjątkowy gość zaś, o czym Emil oczywiście nie miał pojęcia, zachwyciłby się domowym smalczykiem z cebulką tak samo jak wyszukanym daniem na miarę gwiazdki Michelin, gdyż jedzenie miało dla Patinki dwa podstawowe zadania: zaspokajało głód i cieszyło kubki smakowe. Reszta to tylko imponderabilia.

Po zejściu do jadalni przyjaciółka Edyty rozsiadła się w obitym kwiecistą tkaniną fotelu typu uszak i zajęła się przeglądaniem kolorowego magazynu, który znalazła na dolnej półce stolika kawowego. Kucharz obserwował ją przez uchylone skrzydło drzwi prowadzących do kuchni, zbierając się na odwagę, żeby się przywitać. W końcu stwierdził, że raz kozie śmierć, i dumnym krokiem wparował do salonu.

- Ekhm - chrząknął donośnie, oblewając się purpurą po cebulki włosów na głowie.

Patinka podniosła wzrok znad gazety i uśmiechnęła się szeroko.

- A dzień dobry! Pan musi być Emilem, tym słynnym Emilem Mirosławskim, utalentowanym szefem kuchni!

- A pani jest panią Patrycją, utalentowaną i słynną szefową Edyty.

- Patinką, nie Patrycją. Nikt nie mówi do mnie „Patrycja”. Poza tym wszystko się zgadza. - Wyszczrzyła się.

- Ogromny to dla mnie zaszczyt, pani Patinko, choć odrobinę zostałem zaskoczony. Krysia nie uprzedziła mnie, że odwiedzi nas tak wyjątkowy gość.

- A co też pan mówi, Emilu? - Korpulentna redaktorka machnęła ręką. - Przecież ja swojska dziołcha jestem i

przebywam tu incognito, w ramach cywilnej wizyty u przyjaciółki. Proszę się mną absolutnie nie przejmować i nie zmieniać swoich planów, ja się zadowolę najzwyklejszą kanapką.

- Kanapką?! O nie, po moim trupie! Zaraz pani zaserwuję krem ze szparagów z grzaneczkami.

To powiedziawszy, pomknął z zadziwiającą gracją do kuchni, zostawiając gościa w stanie niewielkiego osłupienia. Z jeszcze większym zdziwieniem Patinka odkryła, że jednak lubi krem ze szparagów, zwłaszcza podany z chipsami z bekonu i grzaneczkami wielkości ziarenek grochu. Nie szczędziła komplementów Emilowi, który niemal unosił się nad podłogą z dumy, dzięki czemu szybko zawiązała się między nimi nic przyjaźni. Możliwe, że miało w tym swój udział także zamiłowanie do plotek - grunt, że od razu znaleźli wspólny język.

Pani Krystyna najwyraźniej głodna nie była, gdyż zawitała w salonie dokładnie po trzech kwadransach od przybycia do Stanicy i niemalże nie okazała zaskoczenia na widok swojego kucharza zaśmiewającego się z żartów korpulentnej bizneswoman. Wzruszyła ramionami i zaordynowała natychmiastową zbiórkę celem udania się na wycieczkę. Destynacji zdradzić nie chciała, zapewne w obawie, że pękaty szef kuchni zaraz rozdmucha sprawę i obdzwoni wszystkie znajome plotkary. A figę! Patinka z radością przyklasnęła pomysłowi wycieczki i w mgnieniu oka zabrała z pokoju torebkę, po czym wymaszerowała w ślad za panią Krystyną.

Plan na przesłuchanie rosnącego w oczach tłumu potencjalnych świadków był bardzo prosty: przesłuchać wszystkich i wyselekcjonować wyłącznie tych, którzy rzeczywiście coś mogli wiedzieć. Lewczyński i na to znalazł sposób: będzie zadawał

podchwytliwe pytania i zaganiał mitomanów w kozi róg. Mundurowi ustawili zgromadzonych w równiutki ogonek i pojedynczo wpuszczali ich do ulokowanego na parterze pokoju, w którym za sporych rozmiarów biurkiem siedzieli już komisarz z zastępcą komendanta.

- Panie Wojcieszak - zaczął bez zbędnych uprzejmości Lewczyński - proszę opowiedzieć, co panu wiadomo na temat ofiary.

- Niewiele, panie władzo - odparł zaniedbany mężczyzna. - Widziałem go, jak un ryby łowił.

- W jaki sposób? - zapytał Lubiewicz.

- Spinningiem.

- Ja się pytam, w jaki sposób ty go widziałeś, skoro stanowiska łowieckie są po drugiej stronie?!

- A bo ja mam orli wzrok. Od maleńkości.

- I wędkę pan widział? - podchwycił Lewczyński.

- No, widział, jakżebym inaczej mówił, że spinningiem łowił.

- Kiedy to było? - drążył Andrzej. - I gdzie dokładnie go pan widział?

- A rankiem, koło piąty, jasno już się robiło i ja go po drugiej stronie wody dojrzałem.

- Dzisiaj rano? Dzisiaj przed piątą rano pan widział? Z drugiego brzegu rzeki?

- Tak jest. - Rozmówca pokiwał głową z zadziwiającą werwą.

- Dziękujemy panu, panie Wojcieszak. Proszę tu złożyć podpis i jest pan wolny.

Zgodnie z przewidywaniami Lewczyńskiego kolejne rozmowy przynosiły podobny efekt. Ofiara widziana była trzy dni temu, w nocy, nad ranem, przed godziną, raz była mężczyzną o wyjątkowo nieprzyjemnej fizjonomii, innym razem filigranową kobietą. Niektórzy „świadkowie” widzieli całą grupę ludzi, kolejni samotnego mężczyznę snującego się po

bulwarach w blasku księżyca. Wyobraźni mieszkańcom Augustowa na pewno nie można było odmówić.

Po kilku godzinach wydawało się, że wreszcie coś znaleźli. Przed policjantami zasiadł pan Nowakowski, szanowany właściciel jednego z hoteli.

- Co nam pan może powiedzieć, panie Nowakowski? - zaczął Lewczyński tonem, w którym nie słychać było nic poza znużeniem.

- Nie wiem, na ile to dla panów przydatne, ale chciałem zgłosić, że jeden z moich letników nie wrócił na noc do pokoju i do tej pory go nie ma.

- Może zabalował, wie pan, jak to jest z młodymi ludźmi na wywczasach - rzucił Lubiewicz nie mniej znużony od Andrzeja.

- No niby tak - zafrasował się właściciel hotelu. - Ale on na takiego mi nie wyglądał. Mózgowiec, to prędzej: kraciasta koszula, kurtka drelichowa. I chyba coś mówił, że on tu w celach naukowych przyjechał.

Lewczyński zastrzygł uszami i poprawił się na krześle.

- A coś więcej o jego wyglądzie może pan powiedzieć? - zapytał słodko.

- No, taki dość wysoki, raczej przy sobie, blondyn. Taki nijaki w zasadzie, ale z poczciwą twarzą.

Opis, choć mało precyzyjny, od biedy mógł odpowiadać wyglądowi denata. Czyżby wreszcie?

- A jak nazwisko tego człowieka?

- Jan Kowalski.

- Słucham? - zdziwił się Lubiewicz. - To żart jakiś?

- Chyba nie żart. To znaczy nie sądzę, żeby ten pan się tak nazywał, ale takie dane podał i tak został zameldowany.

- A nie wylegitymowaliście go przy zameldowaniu? - Głos zastępcy komendanta niebezpiecznie się podniósł.

Pan Nowakowski, człowiek z gruntu uczciwy i prawdomówny, odrobinę skłąsł w sobie i widać było, że nie bardzo wie, jak na w ten sposób zadane pytanie odpowiedzieć. Lewczyński, wlepiając w niego swoje lazurowe ślepie, zdawał się wyczuwać swoisty psychomachiczny sens tej sceny, która odgrywała się tuż pod jego nosem. Postanowił więc pytanie sparafrazować.

- Czy osoba, która zameldowała rzekomego Jana Kowalskiego, dokonała jego identyfikacji na podstawie dokumentu tożsamości?

- Tak jakby.

- Może pan nieco jaśniej? - zniecierpliwiał się już wyraźnie Lubiewicz.

- Ten pan przedstawił kartę biblioteczną. Na nazwisko Jan Kowalski.

- A czy osoba meldująca tego pana doznała może chwilowej utraty poczytalności?

- To całkiem możliwe...

- Trzymajcie mnie, bo szlag mnie na miejscu trafi! - wrzasnęła tymczasowy komendant i widać było, że ten szlag już macha do niego radośnie na horyzoncie.

- Bo to Marysia była, a ona od zawsze takich świńskich blondynów lubi! - wyrzucił z siebie desperacko hotelarz pod wpływem świdrującego spojrzenia czerwonego ze złości policjanta.

- A pan się zorientował tak konkretnie kiedy? - Lewczyński przejął inwigilację w obawie o zdrowie i życie kuzyna.

- Dzisiaj rano, jak gość nie pojawił się na śniadaniu.

- I co było dalej?

Dalej nastąpił potok bezładnie i niemal bez sensu wyrzucanych słów, pośród których pojawiały się takie jak: „niecnota”, „głupia”, „dziewka”, „imbecyl”, „bawidamek”, ale

to, które padło jako ostatnie, naprawdę dołało oliwy do ognia. Na koniec, niemal tracąc oddech, pan Nowakowski wrzasnął: „Suryr!”.

Dojście do siebie po kłótni z Rafałem zajęło Edycie dobrą chwilę. Co za tupet! – myślała dziewczyna. Po co on tu przyjechał? Niestety, to pytanie przerastało jej obecne możliwości intelektualne, konieczne było wsparcie. Karolina właśnie rozpoczynała ostatni przed porodem urlop, pewnie już jest w drodze do Gdańska. Łut szczęścia jakiś, że Patinkę przywiało na Podlasie. Z jednej strony, ciekawe po co, z drugiej – alleluja!

Pani Basia spała, ku ucieście Edyty, która nie miała ochoty na rozmowy z rodzicielką na temat stosunków damsko-męskich. Ucałowała więc mamę w czoło i wyszła na paluszkach, starając się nawet nie oddychać. Patinka nie odbierała telefonu, pozostała zatem jedynie droga osobistego kontaktu.

Na parkingu dla gości Stancji Edyta dojrzała samochód należący do Patinki, nie było jednak auta babci. Nadchodziła właśnie pora obiadowa, więc dziewczyna skierowała się wprost do jadalni pełniącej również funkcję saloniku. A tam, niczym pan na włościach, w ulubionym fotelu pani Krystyny Prusko, z nogą fantazyjnie przewieszoną przez oparcie, półleżał Emil Mirosławski, oglądając w telewizji jakiś program typu talk-show.

Edyta zatrzymała się w progu, oparła o dębową futrynę i patrzyła na kucharza spod przymrużonych powiek, zastanawiając się, jak długo tak postoi, zanim leniwy szef kuchni spostrzeże jej obecność. Zapowiadało się, że może to trwać bardzo długo. Po trzech minutach zniecierpliwiona chrząknęła delikatnie, co jednak nie przyniosło pożądanego rezultatu, sięgnęła zatem po cięższe działo.

- Mirosławski, do raportu! - wrzasnęła, doskonale naśladowując ton z lubością wykorzystywany przez panią Krystynę.

Emil podskoczył w fotelu i złapał się za lewy bok, mniej więcej na wysokości śledziony.

- *Mamma mia*, chcesz, żebym tu zawału dostał? - pisnął, patrząc na Edytę z wyrzutem. - To już nie można po ludzku się przywitać?

- To chyba ty powinieneś witać mnie, nierobie obrzydliwy? Ty tu teraz gospodarzem jesteś, ja w gości przybyłam.

- Odezwała się mądrała. I wypraszam sobie nieroba, ja swoją robotę skończyłem i teraz mam czas dla siebie.

- Dobra, przestań skrzeczeć. Gdzie babcia?

- Nie tutaj.

- A Patinka?

- Razem z babcią.

- Czyli gdzie?

- Nie wiem, nie spowiadały mi się.

- Jak Boga kocham, chyba cię kopnę. Wyłącz ten telewizor i gadaj, gdzie pojechały te dwie wiedźmy?

- O, proszę ja ciebie, teraz to przesadziłaś. Pani Patrycja nie jest żadną wiedźmą, to bardzo mądra i doświadczona kobieta, porozmawialiśmy sobie od serca.

- Patrzcie państwo, przyjaciele się znaleźli - zakpiła Edyta, choć odrobinę ją zaintrygowało, czym ta herod-baba mogła ująć zdeklarowanego mizogina. - A czymże ona sobie zasłużyła na taki przywilej, Emilku kochany?

- A wyobraź sobie, podlotku, że nie dość, że na walorach mojej kuchni poznała się od razu, to jeszcze znaleźliśmy wiele wspólnych tematów. Na ten przykład: czy ty wiedziałaś, że ta pisarka Katarzyna Bonda już dawno nie jest z Remkiem

Mrozem? Bo ja nie wiedziałem, a pani Patrycja zna ich oboje i nawet mi załatwi ich najnowsze książki. Z dedykacją!

- No jasne, plotki... - westchnęła Edyta i opadła na kanapę obok fotela, w którym siedział kucharz. - Powinnam była to przewidzieć.

- To nie są żadne plotki, tylko fakty ze świata pisarzy i wydawców. Ty też w tym świecie siedzisz - oburzył się sobowtór Bartłomieja Bartoliniego herbu Zielona Pietruszka, bezmyślnie przerzucając kanały w telewizorze.

- Ja w nim orbituję, na zasadzie wolnego elektronu, ale nie zagłębiał się w prywatne sprawy pisarzy. Wróć tam! - krzyknęła nagle.

Emil posłusznie nacisnął guzik na pilocie i cofnął na kanał, z którego właśnie przełączył. Było to pasmo podlaskiej telewizji regionalnej, akurat nadawano wiadomości.

- Chciałaś, żebym wyłączył - przypomniał.

- Ciiii. Daj posłuchać, pleciugo.

Emil mlasnął z niezadowoleniem, po czym, wyraźnie eksponując obrazę, opuścił fotel, a zaraz potem salonik, znikając za kuchennymi drzwiami. Edyta nie zwróciła na to uwagi, zaaferowana nadawanymi wiadomościami.

Wysłuchawszy do końca relacji przekazywanej przez spikera, wybrała numer Andrzeja Lewczyńskiego, mrużąc pod nosem: „To niemożliwe, to nie może być prawda...”. Komórka Lewczyńskiego znajdowała się poza zasięgiem, dziewczyna zadzwoniła więc na numer stacjonarny, jednak i tam nikt się nie zgłaszał. Przez chwilę zastanawiała się, czy nie pojechać do komendy, ale obraz w telewizorze ostudził jej zapał. Ujrzała bowiem zgromadzony przed budynkiem należącym do augustowskiej policji tłum, który początkowo wzięła za komitet strajkowy. Nie, nigdzie nie jedzie, jutro też jest dzień, załatwi to rano. Poczowała bulgotanie w brzuchu i zażądała obiadu, który przecież należał jej się potrójnie.

- To dokąd jedziemy, pani Krysieńko? - zapytała słowiczym głosem Patinka, kiedy znudziło jej się oglądanie rolniczych krajobrazów podlaskiej wsi.

- Do Knyszyna. Sprawę tam mam do załatwienia w szpitalu.

- W Knyszynie? A tam coś specjalnego się odbywa? Jakiś Kaszpirowski przyjmuje czy jak?

- Nie interesuje mnie, kto tam przyjmuje, tylko ktoś, kto tam przyjmował dawno temu.

- Aaaa, rozumiem. Chociaż nie, nie rozumiem, niech mi pani powie coś więcej.

- Szukam informacji o lekarce, która dawno temu tam pracowała, zaszła w ciążę i wyjechała. Ale nie wiem, dokąd wyjechała i czy była w tej ciąży rzeczywiście.

- Ale chociaż wie pani, jak się nazywała? - upewniła się właścicielka wydawnictwa, spoglądając z niepokojem na swojego kierowcę.

- Nie mam pojęcia.

- Rozumiem. No to fajnie. To sobie poszukamy. Od czego zaczniemy?

- Już ty się nie martw, Patinka, dowiemy się, tak czy inaczej.

Redaktorka wzruszyła ramionami, nie dziwiąc się niczemu. Pani Krystyna Prusko znana była z tego, że co sobie postanowiła, to zrealizowała. Nie było rzeczy, której nie potrafiłaby załatwić, w czym zresztą były do siebie bardzo podobne. Nie da się? Wszystko się da, tylko trzeba zacząć od właściwej strony.

- Zaczniemy od sekretariatu - odezwała się pani Krystyna, jakby czytając w myślach swojej współtowarzyszki. - Znam tam jedną panią Stenię, dobra z niej kobieta, tylko odrobinę na umyśle opóźniona, ale jak dobrze zapytamy, to wszystkiego się dowiemy.

Opowiadając zaintrygowanej Patince historię knyszyńskiego szpitala, na którego temat pierwsze wzmianki pochodzą z czasów królowej Bony i króla Zygmunta Augusta, pani Prusko dojechała na miejsce, gdzie cudem znalazła lukę na parkingu. Nie wahając się ani chwili, ruszyła prosto do sekretariatu, w którym panowała atmosfera zbliżającego się fajrantu.

Trzy roześmiane kobiety spojrzały na wchodzące wzrokiem nieszczerólnie gościnnym, po czym poznały panią Prusko i z miejsca powróciły im dobre humory.

- Pani Krysia! Dzień dobry! - zawołała jedna, wyglądająca na szefową zespołu, na co wskazywało zajmowane przez nią największe ze wszystkich biurko.

- Dzień dobry, pani Halinko. Mam nadzieję, że nie przeszkadzamy?

- Absolutnie panie nie przeszkadzają, zapraszamy serdecznie. Napiją się panie czegoś?

Patince przypomniało się, że nie piła poobiedniej kawy, więc skwapliwie wyraziła ochotę na małą czarną, pani Prusko grzecznie podziękowała, przechodząc wprost do meritum.

- Pani Stenia jest dzisiaj? - zapytała tonem zupełnie niewinnym.

- Jest, jest, gdzieś się płacze po korytarzach.

- To ja jej może poszukam, sprawę mam jedną, dosyć pilną. Zostawiam tu paniom Patrycję dla towarzystwa, ona jest kobietą show-biznesu, może wam zdradzi jakieś ciekawostki.

Trzy pary oczu spojrzały na Patinkę z niedowierzaniem i równocześnie zachłanną ciekawością, na co właśnie pani Prusko liczyła. Mogła w tej sytuacji swobodnie udać się na poszukiwanie upragnionych informacji.

Panią Stenię znalazła w pomieszczeniu służbowym na pierwszym piętrze szpitala, gdzie zasuszona osiemdziesięcioletka kopciła papierosa przy uchylonym

lufciku. Na otwarcie i zamknięcie drzwi zadymionej kanciapki nie zwróciła uwagi, pogrążona we własnych myślach.

- Pssst, pani Steniu - zawołała ją szeptem pani Prusko. - To ja, Krysia.

- Krysia? - Staruszka obróciła się w jej stronę, wydmuchując ogromną chmurę tytoniowego dymu. - A co ty tu robisz, dziecko?

Pani Stenia, a w zasadzie Stanisława Borejczyk, była starsza od Krystyny Prusko o lat zaledwie kilkanaście, ale znała ją niemal całe życie i niezmiennie traktowała jak smarkułę. Znaczący w tym udział miała jej zwichrowana psychika, pani Stenia bowiem stanowiła osobliwy przypadek demencji pomieszanej ze spektrum cech autystycznych, co powodowało, że nie całkiem orientowała się w realnym życiu. Dawno już osiągnęła wiek kwalifikujący ją do emerytury i owo świadczenie pobierała co miesiąc, równocześnie wciąż trwając w przekonaniu, że jest czterdziestolatką. Władze lecznicy pozwalały jej przebywać na terenie szpitala w charakterze pomocy doraźnej, nie płacąc jej za to ani grosza. Ona zaś była szczęśliwa, mogąc spędzać całe dnie w składziku na pierwszym piętrze albo słuchać plotek w sekretariacie, zwykle nie mając pojęcia, kogo plotki dotyczą.

- Pogadać przyszłam, pani Steniu - szeptała dalej babcia Prusko. - Na wspominki mnie naszło i tak sobie o pani pomyślałam. Bo pani przecież tu wszystkich zna.

- Oj, dziecko, no wiadomo, że ja każdego znam, przecież ja z doktorem Jelskim tu wszystko urządzałam. Co tam potrzeba?

- A rzeczywiście, pana doktora Jelskiego przecież pani doskonale znała - przypomniała sobie pani Prusko, która w życiu Edwarda Jelskiego na oczy nie widziała, chyba że na fotografii w gazecie przy okazji jakiegoś jubileuszu. - A doktor... jak ona się nazywała, no, taka piękna dziewczyna, jak jej tam było, Jadwiga, Joanna, Janina?

- Janinka? - podchwyciła staruszka, zapalając równocześnie kolejnego papierosa. - No, była taka Janinka, i ładna też ona była, jak malowana.

- No, właśnie, Janinka. A nazwisko jej pani pamięta, pani Steniu?

- A czemuż miałabym nie pamiętać, Krysiu? Ja wszystkie nazwiska pamiętam, wszystkie bez wyjątku.

- No to jak jej było, tej Janince, na nazwisko? - nie poddawała się pani Prusko.

- Dąbrowska.

- Co? - krzyknęła babcia Edyty, nieco głośniejszym głosem niż miała zamiar.

- No, Dąbrowska, mówię wyraźnie. Ona z tym Dąbrowskim od apteki w Augustowie związana była przecież. Syna razem mieli.

- Pani Steniu - zaczęła pani Prusko delikatnie, żeby, broń Boże, nie urazić staruszki - ale Janusz Dąbrowski miał żonę Jadwigę, a nie Janinę.

- Jadwigę? A to może mi się coś pomyliło... - zafrasowała się babuleńka. - To skoro wiesz lepiej, to po co pytasz, dziecko?

- Ale mnie nie chodzi o Jadwigę, tylko o taką lekarkę, co tu w szpitalu w latach siedemdziesiątych praktykę prowadziła, a potem zaszła w ciążę i wyjechała.

- A to od razu trzeba było mówić, że o nią!

Pani Prusko ugryzła się w język, ze wszystkich sił starając się nie wypowiedzieć na głos swojej opinii. Wzięła głęboki oddech i odparła:

- Racja, widzi pani, ja taka jestem głupia i jak zwykle od złej strony zaczynam. No to właśnie mi chodzi o tę lekarkę, co zaszła w ciążę i wyjechała. To ona Janina nie była jednak, tylko Jadwiga?

- Janina. Dlaczego miałyby nie być Janina? Jadwiga przecież nie była lekarzem, tylko wiejską dziewczuchą, co to za aptekarza ją wydali.

Czuając zalewającą ją falę zniecierpliwienia, pani Prusko wzięła trzy głębokie wdechy zawierające w większości dym tytoniowy, skrzywiła się nieładnie, wzięła jeszcze jeden, tym razem płytszy wdech i zapytała tonem ugrzecznionym do granic możliwości:

- To ta lekarka, Janina, która wyjechała w ciąży, nazwisko jakieś posiadała?

- Głupie pytanie, Krysiu - skwitowała staruszka. - Jak ty takie głupie pytania będziesz zadawać, to nigdy męża nie znajdziesz. Oczywiście, że miała nazwisko, jak my wszyscy, ona się nazywała Prusko.

Pani Prusko zamrugła oczami, choć niewiele jej to pomogło.

- Prusko? Tak jak ja się nazywam Prusko?

- No tak. Tak samo. Tak samo jak twoja matka i twój ojciec. I twoja babka. Bo to była bratanica twojej babki.

Rewelacja, a w zasadzie dwie rewelacje, którymi uraczył policjantów pan Nowakowski, właściciel hotelu, wywarła na nich odpowiednio duże wrażenie, wystarczająco duże, żeby podjąć decyzję o konieczności zgłębienia tematu.

- Jeśli dobrze pana zrozumiałem, panie Nowakowski, w pana hotelu w jednym czasie zameldowane zostały dwie osoby: jedna pod nazwiskiem Jan Kowalski, druga pod nazwiskiem Rafał Surym, czy tak? - podsumował chaotyczną wypowiedź hotelarza Lewczyński, cedząc każde słowo. - I według pana obaj panowie się znali. Do tego wczorajszego wieczora wspólnie opuścili pański hotel i żaden z nich nie wrócił na noc, zgadza się?

- Zgadza się - potwierdził wystraszony na amen Nowakowski.

- A na jakiej podstawie uważa pan, że tych dwóch coś łączyło poza wyborem tego samego hotelu? Przyjechali razem? Wyglądali na współtowarzyszy?

- Nie przyjechali razem, każdy przyjechał o innej porze. Tego pana Suryma ja sam osobiście meldowałem, a tego drugiego, jak już panom mówiłem, meldowała Maryśka, na swojej zmianie.

- No więc skąd wniosek, że się znali, a nie poznali w hotelu?
- Lubiewicz oparł się o biurko z taką siłą, że nieco się przechyliło.

- Spotkali się na dole w holu, kiedy serwowaliśmy obiad, i przywitali się tak, jak witają się starzy znajomi.

- Znaczy jak? Na misia czy z buziakami? - nie wytrzymał Lewczyński.

- C...co? - zająknął się hotelarz. - Co ma pan na myśli? Że oni są homoseksualni?

- Sam pan jest homoseksualny! - krzyknął Lubiewicz. - My się pytamy, czy oni sobie po imieniu mówili, czy per pan?

- Nie słyszałem, jak do siebie mówią, ale tak z zewnątrz to wyglądało na to, że oni się już wcześniej znali. Zdziwili się wzajemnie swoją obecnością i nawet się ucieszyli ze spotkania. Potem zjedli obiad przy jednym stole, a wieczorem razem wyszli.

- I żaden nie wrócił? - upewnił się Andrzej. - Jest pan pewien, że pan Surym nie wrócił na noc do hotelu?

- Nie jestem pewien właściwie... Nie sprawdzałem.

- Na śniadaniu był? - pytał dalej Lewczyński, choć odpowiedź na to pytanie znał.

- Nie było go. I pewnie dlatego założyłem, że nie wrócił na noc.

- To niech pan już niczego więcej może nie zakłada, tylko trzyma się faktów, bo zbiegiem okoliczności ja pana Suryma widziałem rano w porze śniadania gdzie indziej.

- Naprawdę? - zdumiał się jego kuzyn. - Widziałeś go?

- Widziałem, później ci powiem. A teraz - zwrócił się do Nowakowskiego - proszę natychmiast wrócić do hotelu, sporządzić listę wszystkich zameldowanych w nim gości i czekać na nas. Proszę poinformować letników, że chcemy z nimi, z każdym z nich - podkreślił - zamienić słowo.

- Oczywiście, oczywiście, panie komisarzu. - Nowakowski ruszył niezwłocznie. Widać było, że spłynęła na niego niewysłowiona ulga.

Po wyjściu hotelarza Lewczyński opowiedział Lubiewiczowi o okolicznościach spotkania Rafała Suryma, które usprawiedliwiały jego nieobecność w czasie śniadania w hotelu. Fakt pojawienia się męża Edyty w Augustowie pozostawili bez komentarza, nie znajdując czasu ani ochoty na jakiegokolwiek spekulacje na ten temat. Wszystko powinno się wyjaśnić niebawem, kiedy utną sobie z nim pogawędkę.

Przesłuchanie rozkrzyczanego tłumu zgromadzonego pod budynkiem komendy zajęło cały dzień, a i tak część osób poproszono o przybycie nazajutrz, gdyż policja też ludzie i ma rodziny. Rodziny zaś domagają się obecności w domu, zatem należało służbę zakończyć. Lewczyński, rodziny nieposiadający, w porze dobranocki udał się do hotelu pana Nowakowskiego celem przesłuchania zameldowanych tam gości, wśród których z dużym prawdopodobieństwem do wczorajszego wieczora znajdowała się także ofiara makabrycznej zbrodni.

Hotel, a w zasadzie niewielkich rozmiarów hotelik, mieścił się w bezpośrednim sąsiedztwie najbardziej interesujących turystycznie okolic Augustowa, tuż przy miejskiej plaży, otoczony ze wszystkich stron lokalami rozrywkowo-usługowymi. O tej porze roku zwykle panował tu gwar, od

którego Andrzej całkiem odwykł, mieszkając niemal w dzikiej głuszy na obrzeżach miasta. Wszedłszy do hotelu, od razu zauważył ludzi stłoczonych w sali pełniącej funkcję restauracyjno-rekreacyjną. Barman dostrzegł go niemal natychmiast i zniknął na zapleczu. Po chwili wyłonił się z powrotem w towarzystwie pana Nowakowskiego.

- Dobry wieczór, panie komisarzu, udało mi się zebrać prawie wszystkich - oznajmił hotelarz.

- Prawie?

- Brakuje małżeństwa Stańczaków, pojechali do Olsztyna na jakąś wycieczkę z przewodnikiem, jutro mają wrócić. Od rana nie pojawili się panowie Roszkowski i Kowalski, pana Suryma też ciągle nie ma. Nikt go nie widział cały dzień.

- Nie wrócił po śniadaniu? - zdziwił się Andrzej.

- No nie. Ale pytałem sprzątaczkę, czy spał w hotelu i powiedziała, że pościel rano wyglądała, jakby się, za przeproszeniem, z gównem bił. Czyli jednak wrócił na noc. - Hotelarz dumnie wypiął pierś, jakby powrót Suryma był co najmniej jego osobistym sukcesem.

Andrzej zupełnie nie dał po sobie poznać, jakie wrażenie wywarła na nim ta informacja, i od razu przeszedł do metodycznych działań śledczych.

- Proszę o listę gości i przygotowanie pokoju, w którym mogę z nimi porozmawiać.

Nowakowski usłużnie skinął głową i zniknął za drzwiami prowadzącymi do pomieszczeń służbowych. Andrzej tymczasem usiadł przy jednym ze stolików, uprzednio poprosiwszy barmana o mocną kawę. Rozłożył przed sobą kartkę wypełnioną kilkunastoma rzędami starannie zapisanych nazwisk i przebiegł po nich szybko wzrokiem. Zarówno Jan Kowalski, jak i Rafał Surym znajdowali się na liście, żadnego innego nazwiska nie rozpoznał. Westchnął głęboko i sięgnął po kubek, który stanął przed nim nie wiadomo kiedy. Zapowiadała się pracowita noc.

Pani Krystyna bez pożegnania opuściła zadymiony składzik, zastanawiając się nad słowami staruszki. Oczywiście było możliwe, że matka Roszkowskiego była jej krewną, problem jedynie w tym, że siostra jej babki nie nazywała się Prusko *primo voto*, lecz przyjęła nazwisko męża i wyjechała z nim do Francji jeszcze przed wybuchem pierwszej wojny światowej. Janinka musiała urodzić się dużo później. Należało wziąć poprawkę na kondycję psychiczną pani Steni, jednak jej pamięć dotycząca czasów odległych zwykle okazywała się doskonała. Istniały zatem dwa wytłumaczenia tej zagadki: Janinka była siostrzenicą dziadka pani Krystyny, który przecież także nazywał się Prusko, będąc kuzynem swojej żony w siódmej linii, albo pani Stenia już całkiem straciła wszystkie klepki. Obie możliwości można sprawdzić, wystarczy trochę poszperać. I popytać, w końcu to wcale aż tak dawno nie było, uznała.

- No i jak tam, gołąbeczki, poplotkowałyście sobie? - zapytała jadownicę słodkim tonem, wchodząc do sekretariatu, w którym ewidentnie praca zakończyła się na dobre i cztery kobiety zaśmiewały się, chrupały ciasteczka i popijały kawę.

- Ach, pani Krysiu, pani Patrycja nam tu takie historie opowiedziała, że w żadnych magazynach się o tym nie przeczyta - szczebiotała radośnie korpulentna brunetka siedząca przy największym biurku.

- I obiecała nam sprowadzić jakiegoś wielkiego pisarza na spotkanie autorskie! - zawtórowała jej druga, zaszuszone blondynka, wpatrując się w Patinkę wzrokiem pełnym uwielbienia.

- O, to wspaniale - pani Prusko się uśmiechnęła, zastanawiając się, którego to pisarza mogła mieć na myśli. - Pani Halinko, można na chwilę panią prosić? - zwróciła się do szefowej sekretariatu. - Wy tu sobie, dziewczynki, rozmawiajcie, ja na sekundę panią porwę.

Pani Halinka dosyć niechętnie opuściła roześmiane towarzystwo, ale poczuła się zaintrygowana. Bądź co bądź, Krystyna Prusko była lokalną celebrytką, jej nazwisko otwierało niejedne drzwi, a o jej drugim mężu, Henryku Grabskim, mówiło się szeptem. Skoro potrzebowała rozmawiać z nią, Haliną, na osobności, to znak, że chodzi o coś niezwykle ważnego.

- Pani Halinko - odezwała się cichutko pani Prusko, kiedy stanęły obie w wykuszu szpitalnego korytarza - potrzebuję pani pomocy. Sprawa jest delikatna, może i nawet beznadziejna, ale jeśli ktokolwiek może mi pomóc, to tylko pani.

Pani Halinka urosła nagle o co najmniej dwa centymetry, pokraśniała, co odjęło jej pięć lat, i gotowa już była sprzedać duszę diabłu, byleby tylko okazać się pomocną. Pochyliła się nieco w kierunku pani Prusko i w napięciu oczekiwała dalszego ciągu.

- Nie muszę pani chyba mówić, że to kwestia delikatna i... ekhm, poufna? - Wcale taka nie była, ale wiadomo, że nic tak nie nobilituje, jak świadomość poznania pilnie strzeżonego sekretu.

- Pani Krysiu - zachnęła się dopuszczona do tajemnicy - przecież pani wie, że u mnie jak u księdza na spowiedzi: do grobu ten sekret zabiorę.

- Pani Halinko, ani przez chwilę w pani intencje nie wątpię. Ale, rozumie pani, tu będzie trzeba trochę przepisy nagiąć, dane osobowe ujawnić, może i nawet wrażliwe...

- Niech się pani niczym nie troska! Żadne RODO mi niestraszne, skoro wyższa konieczność zachodzi - zapewniła płomiennie szefowa szpitalnego sekretariatu. - Pani mówi, co potrzeba, i ja zaraz się tym zajmę.

- Jest pani aniołem, Halinko kochana. To słucha pani: trzeba mi się dowiedzieć o jedną lekarkę, możliwe, że ona nawet z

rodziną mojego świętej pamięci dziadka spokrewniona, ale nie wiem na pewno...

Szepecząc na ucho pani Halince historię pięknej Janeczki zasłyszaną na augustowskim targowisku, pani Krystyna ubarwiła tu i ówdzie losy biednego osieroconego Tadeusza, dodała od siebie, że ten poszukuje dawno zaginionego brata, o którego istnieniu dowiedział się przez przypadek, a na koniec podkreśliła, że i ona chciałaby poznać swojego dalekiego krewnego, bo ją do rodziny ciągnie, zanim umrze. To ostatnie wyznanie wywarło na pani Halince wrażenie piorunujące i z miejsca zapewniła panią Prusko, że gdzie tam jej do umierania, jeszcze wiele lat przed nią. W odszukaniu zaginionych krewnych natomiast zobowiązała się pomóc, począwszy od teraz - zostanie po godzinach i przejrzy szpitalne archiwa.

- Sukces jest? - zapytała Patinka, kiedy szły z panią Prusko do samochodu.

- Na razie połowiczny, ale jestem dobrej myśli.

- No dobra, kochanieńka, to teraz, skoro już swoje zadanie zaślony dymnej wykonałam, oczekuję wzajemności - poinformowała bez pardonu właścicielka wydawnictwa.

- Znaczy co, ja mam ci jakąś dywersję urządzić?

- Niekoniecznie. Pani mi powie, co tu się wyprawia i co to za morderstwa po Augustowie się plączą. Panie w sekretariacie próbowały mnie podpytać, co o tym wiem, bo przecież przyjaciółce rodziny Pruskowie na pewno powiedzieli.

- Czekaj - syknęła pani Krystyna, zatrzymując się nagle. - One tam o morderstwie gadały? Tym z dzisiaj?

- Z wczoraj tak dokładniej. Ale gadały. A miały nie gadać?

- Sama nie wiem - rzekła z namysłem Krystyna Prusko. - Na razie to zostawmy, mamy inne sprawy na głowie.

- No, wielkie dzięki. Skoro tak, to jest pani moją dłużniczką, a ja mam w zwyczaju odbierać długi.

- Jasne, jasne - odparła babcia Edyty, zupełnie nie rejestrując już słów Patinki. Śpieszyło jej się ogromnie, bo przecież nie zdążyła zjeść obiadu.

Obdzwanianie przez Bączka przygranicznych komisariatów jak na razie nie przyniosło żadnego rezultatu. Każdy z dyżurnych zobowiązał się do wszczęcia poszukiwań natychmiast po rozpoczęciu standardowej procedury w przypadku osób zaginionych, do tego jednak konieczne było oficjalne zgłoszenie zaginięcia. Na ten krok Wilczyński uparcie nie chciał się zdecydować, licząc na to, choć z coraz mniejszym przekonaniem, że jego siostrzeniec siedzi w jakimś szałasie i przygrywa na fujarce hasającym po turniach kozicom.

Dostarczone przez siostrę inspektora zdjęcie zostało zeskanowane, opatrzone stosownym opisem uwzględniającym personalia, wiek, wzrost i kolor oczu. Zarówno ostatnie możliwe miejsce pobytu, jak i data zaginięcia pozostawały nieznane, co stanowiło spore utrudnienie w rozpoczęciu standardowej procedury poszukiwania. Danka, siostra Wilczyńskiego i matka chłopaka, nie była w stanie sobie przypomnieć, dokąd syn się wybierał. Mogło być to Podkarpacie lub Kaszuby. Bączek, wprowadzając dane do policyjnego systemu, coraz bardziej odczuwał beznadziejność sytuacji i zdawał sobie sprawę z tego, że równie dobrze mogliby tych sołtysów obdzwanian. Pozostawało im liczyć na cud. Przyszło mu nawet do głowy, żeby przerzucić się na drugą stronę Polski i zaryzykować kontakt ze swoim podlaskim kolegą, bo nie można przecież wykluczyć, że zamiast Kaszubów siostrzeniec Wilczyńskiego mógł badać Mazurów i Warmiaków. Lewczyński jednak nie odbierał telefonu. Zniechęcony, pełen złych przeczuć Bączek zakończył służbę, po czym udał się do

domu, mając nadzieję, że kolejny dzień przyniesie jakieś dobre wieści.

Rozmowy z gośćmi hotelu zmęczyły komisarza Lewczyńskiego do tego stopnia, że w końcu przestał słuchać. Zresztą, co było w tej sytuacji nieuniknione, rozmówcy policjanta woleli zadawać pytania, niż na nie odpowiadać. Każdego interesowała zbrodnia i czuli się z nią osobiście związani poprzez nieboszczyka, który, bądź co bądź, dzielił z nimi wspólną hotelową przestrzeń. Niestety, żaden z dotychczas przesłuchanych letników nie był w stanie powiedzieć o ofercie nic konkretnego - większość w ogóle go nie kojarzyła.

Gdy wybiła godzina dwudziesta druga, a Rafał Surym oraz niejaki Mateusz Roszkowski w dalszym ciągu nie pojawili się w hotelu, Lewczyński zażądał zaplombowania pokoju, w którym nocował rzekomy Jan Kowalski, równocześnie prosząc wszystkich gości o nieopuszczanie obiektu do czasu zakończenia działań operacyjnych policji na jego terenie. Ekipa techników kryminalistycznych miała zjawić się na miejscu z samego rana następnego dnia i zabezpieczyć wszelkie możliwe ślady, w tym także oznaczyć kod genetyczny każdego z gości. Wezwanie do komendy dla Suryma i Roszkowskiego Bączek pozostawił w rękach Nowakowskiego, sam natomiast zapisał w swoim notesie numery telefonów obu mężczyzn, na wypadek gdyby jednak pisma do nich nie dotarły. Zerknąwszy na wyświetlacz telefonu komórkowego, ze zdziwieniem spostrzegł nieodebrane połączenie od podkomisarza Bączka z wrocławskiej jednostki policji, ale i to zostawił sobie na rano. Na ostatnich nogach wrócił do domu i zasnął w fotelu, chrapiąc jak niedźwiedź w gawrze.

Następny poranek nastąpił stanowczo zbyt wcześnie, co nie poprawiło samopoczucia Andrzeja. Niewygodna pozycja, w

której spał, dawała mu się we znaki zwłaszcza w szynym odcinku kręgosłupa, co znów powodowało nasilający się ból głowy. W kiepskim humorze wziął lodowaty prysznic, wyszorował zęby dwa razy, bo wieczorem tego nie zrobił, wyprasował lnianą koszulę, która po sekundzie znów wyglądała, jakby nigdy z żelazkiem nie miała kontaktu, i wyszedł do pracy. Na zewnątrz było chłodno, co zwiastowało nadchodzący upał. Cudownie.

Pora była jeszcze dosyć wczesna, więc przed wejściem do budynku komendy panował spokój, odprawieni poprzedniego dnia potencjalni świadkowie morderstwa prawdopodobnie wciąż tkwili w objęciach Morfeusza. Lewczyński dotarł do swojego gabinetu, nie witając się z nikim, z nosem spuszczone na kwintę i marsową miną. Pstryknął guzikiem czajnika elektrycznego, nasypał do kubka dwie czubate łyżki kawy i wyjrzał przez okno. Ruch na krajowej szesnastce również był niewielki, co należało do rzadkości. Znudzony zaczął przyglądać się rejestracjom samochodów mijających budynek komendy i w chwili, kiedy czajnik się wyłączył, kątem oka zauważył szpaler ciężarówek z dolnośląskimi tablicami rejestracyjnymi. Przypomniało mu to o telefonie od Bączka. Zalał więc kawę niemal po sam brzeg kubka, który dawno temu dostał w gwiazdkowym prezencie od Marleny, dosypał dwie pełne łyżeczki cukru, rozsiadł się wygodnie przy biurku i wybrał numer wrocławskiego znajomego. Bączek odebrał niemal natychmiast.

- Czołem, kolego! - przywitał Andrzeja, tryskając dobrym humorem. - Dzięki, że oddzwoniasz.

- Nie ma sprawy, wczoraj miałem tu taki młyn, że zupełnie wyleciało mi z głowy.

- Nic nie szkodzi, to nie aż takie pilne. A co za młyn? Tylko mi nie mów, że zadziałał magnes Edyty Prusko - zaśmiał się Bączek, jakby opowiedział najlepszy dowcip świata.

- Jaki magnes? Ty myślisz, że ona naprawdę przyciąga morderstwa?

- No nie, żartuję tylko... Czy jednak nie żartuję? - podkomisarz ściszył głos.

- Mam nadzieję, że żartujesz i że nie jesteś żadnym cholernym prorokiem, bo ja naprawdę wolałbym, żeby ta dziewczyna w nic więcej się nie mieszała. Wystarczy nam trupów w rodzinie Prusków i w ogóle tych wszystkich Prusków już wystarczy, a na dokładkę i Surym się przypałała.

- Jak to się przypałała? Jest tam u was? W Augustowie?

- A czort go wie, gdzie on jest, zaraz będę do niego dzwonić, bo się, łachudra, gdzieś zapodział.

- Nic nie rozumiem. To w końcu się przypałała czy się zapodział? - zafrasował się Bączek, rzeczywiście niewiele rozumiejąc. - I co ma Surym zapodziały do twojego młyna?

- Zwłoki ma. Znaczy ma związek ze zwłokami, chyba je znał. Jak jeszcze chodziły i nie były martwe.

- No, martwym chodzić raczej byłoby trudno - stwierdził podkomisarz. - Ale zaintrygowałeś mnie. Może to nie Prusko jest magnesem na trupy, tylko Surym?

- Z dwojga złego wolę tę wersję - odparł z rozbijającą szczerością Andrzej. - Ale nie wiem, pojęcia bladego nie mam, o co w tej sprawie chodzi. W kostnicy leżą nieznanne zwłoki, prawdopodobny świadek zaginął, a Edyta sama nie wie, czego chce od życia. Bądź tu mądry i pisz wiersze. - Lewczyński oparł czoło o blat biurka i westchnął ciężko. - No, a co z tą twoją sprawą? Jak mógłbym ci pomóc?

Bączek nie bardzo wiedział, jak Lewczyński mógłby mu pomóc, coraz mniej sam wierzył w ten naprędce wymyślony plan, uznał jednak, że tonący brzytwy się chwyta i ostatecznie nic go to nie kosztuje. Zaginięcie - na razie czysto hipotetyczne - siostrzeńca inspektora Wilczyńskiego wymagało od niego

jednak co najmniej podjęcia próby, choćby miała okazać się całkiem irracjonalna.

Lewczyński, najwyraźniej wierząc w sens poszukiwania igły w stogu siana jeszcze mniej aniżeli jego kolega, zobowiązał się pomóc, choćby poprzez dodanie zdjęcia zaginionego do bazy. Tyle Bączkowi wystarczyło, przynajmniej na razie. Fotografie przesłał mailem, życzył Andrzejowi powodzenia w rozwikłaniu sprawy zwłok powiązanych z Surymem i wrócił do swoich obowiązków. Lewczyński zdjęcia nie zdążył jeszcze obejrzeć, gdyż do pokoju wparował prokurator Ludwik Maciejewski, cały w skowronkach.

- Chyba go mamy! - zaśpiewał od progu, pływając po niebieskiej wykładzinie niczym profesjonalny tancerz. - Iwonka znalazła implant w biodrze i czekamy na identyfikację.

- Tego denata?

- Nie, Iwonki. No jasne, że denata!

- Nie musisz być złośliwy... - obraził się Andrzej. - I po tym się go uda zidentyfikować? Po implantach?

- Iwonka mówi, że istnieje coś takiego jak Centralna Baza Endoprotez czy jakoś tak podobnie, i jeśli proteza zakładana była w Polsce, to znajdziemy jej użytkownika.

- Ile to zajmie?

- Chwilę, jeśli numer jest wprowadzony do bazy. Czekam na telefon ze szpitala. A jak świadkowie?

- Różnie. Jeden prawdopodobny mi zginął.

- No to go szukaj, Jędrus! Na co czekasz? Trzeba prasówkę zrobić, o dziewiątej najpóźniej.

Lewczyński zerknął na zegarek i skonstatował, że zostały mu dwie godziny. Może do tej pory uda mu się ściągnąć Suryma i coś więcej ustalić. Nagle przypomniał sobie, o co powinien był zapytać w pierwszej kolejności.

- A ta kartka z jego kieszeni? Udało się sprawdzić, co na niej jest?

- Trzeba ją odplamić, bo strasznie przesiąkła, ale na prześwietleniu widać, że coś na niej zostało zapisane. Iwonka obstawia nazwisko i adres, a ja jej wierzę.

- No jasne, że jej wierzysz - mruknął Andrzej pod nosem. - Dobrze by było to odczytać, to na razie jedyne, co mamy - dodał już głośniej.

- Wiesz, co mnie zastanawia? - kontynuował Maciejewski, nie zwracając uwagi na słowa kolegi. - Że nie znaleźliśmy przy nim nic: ani portfela, ani dokumentów, ani nawet kluczy. Gdyby to był rabunek, to po cholere komuś klucze?

- Żeby się włamać? - podsunął Lewczyński uprzejmie. - Jak masz dokumenty, to znasz adres, więc wiesz, gdzie te klucze pasują.

- Niby tak... - Prokurator się zastanawiał, ani na chwilę nie przerywając płasania. - Ale rzadko się zdarza, żeby napad rabunkowy zakończył się taką egzekucją. Oni musieli się znać, ten zabójca i Bioderko.

- Bioderko? Ksywę roboczą mu nadałeś?

- To pomysł Iwonki. Lepiej tak niż „denat”, nie wydaje ci się?

- Wszystko mi jedno. Dopóki nie poznamy jego imienia i nazwiska, może być i Bioderko.

- Jeszcze chwila, Jędrus, cierpliwości, czuję, że lada moment wszystko się wyjaśni. Kwestia czasu.

- Optymista - burknął Andrzej i wystukał w telefonie komórkowym numer do Suryma zanotowany poprzedniego wieczoru w hotelu. - Idź już, może jakimś cudem znaleźli go w tej bazie, a ja dzwonię do świadka. Chciałbym go tu ściągnąć przed przybyciem dziennikarzy.

Płaszący prokurator Maciejewski wyszedł, wesoło pogwizdując, czym tylko dodatkowo zirytował Lewczyńskiego.

Surym nie odbierał telefonu, komisarz zadzwonił więc do hotelu. Recepcjonistka, prawdopodobnie gustująca w świńskich blondynach Marysia, poinformowała go, że pan Surym wrócił poprzedniej nocy w okolicach godziny dwudziestej czwartej na straszliwej bani i zażyczył sobie śniadanie do pokoju, lecz nie wcześniej niż o godzinie dziewiątej. Andrzej zgrzytnął zębami, raptownie wstał z krzesła i opuścił gabinet, mruczając pod nosem:

- Ja mu dam śniadanie do łóżka, łajzie jednej! - Był wciąż połączony z recepcją hotelu, przez co swoimi słowami odrobinę wystraszył Marysię.

Zmęczona po niespodziewanej wizycie Rafała, a następnie napchaniu brzucha czterodaniowym obiadem, który wyszedł spod magicznych rąk Emila Mirosławskiego, Edyta ułożyła się na sofie w saloniku w Stanicy i zapadła w głęboki sen, którego nie przerwał nawet powrót babci Prusko w towarzystwie Patinki. Obudziła się rano zwabiona aromatem świeżo zmielonej kawy. W kwiecistym fotelu stojącym tuż obok sofy siedziała pani Krystyna, popijając czarny napój i czytając poranną prasę. Edyta otworzyła jedno oko, poruszyła gałką we wszystkie strony, pozwalając, żeby mózg sobie uświadomił, gdzie znajduje się jego właścicielka. Następnie otworzyła drugie oko i leniwie się przeciągnęła.

- No wreszcie! - ucieszyła się pani Krystyna. - Myślałam, że w śpiączkę zapadłaś. Mogłam tu kankana tańczyć z całą orkiestrą symfoniczną, a ty nic.

- Naprawdę? Taka impreza mnie ominęła? - zapytała dziewczyna, ziewając szeroko. - Dawno tak dobrze mi się nie spało.

- No widzisz, mówiłam, że feng shui tu jest dobre, a Henryk mi nie wierzył. Musisz mu koniecznie powiedzieć.

- A gdzie on właściwie jest? Nie widziałam go od niedzieli.

- Pojechał na misję.

- Humanitarną? - zdziwiła się Edyta.

- Nie pleć bzdur, dziecko! - strofowała ją babcia. - Na jakąś tam wojskową misję czy coś podobnego. Nie interesowałam się zbytnio, a on mi przecież i tak nie powie. Kawy?

- O, tak! A rogalików nie ma? - zapytała z nadzieją w głosie.

- Nie ma, czasu nie było. Wstawaj, córca, wypij kawę i jedziemy do Augustowa. Sprawę mamy do załatwienia w ratuszu.

- Jaką znowu sprawę? - Edyta się skrzywiła, gdyż niedawno odkryła w sobie pasję do nicnierobienia.

- Zagadkę twojego nowego wujka musimy rozwiązać. Coś w tej historii się nie zgadza. Prawdy nam nie powiedział.

- Czy my byśmy nie mogli być choć raz normalną rodziną, która nie rozwiązuje zagadek, nie obnaża kłamstw, nie odkrywa tajemnic i nie chowa trupów w szafie?

- Jakich trupów? - zapytała Patinka, która właśnie weszła do saloniku. - Jednak coś wiecie o tym morderstwie?

- Nic nie wiemy o żadnym morderstwie, to była figura retoryczna! - parsknęła Edyta, siadając raptownie. - I co ty tu w ogóle robisz?

- Myślałam, że się ucieszysz, klabzdrone niewdzięczny - zachnęła się jej przyjaciółka. - Skoro jednak się nie cieszysz, to wyjadę, proszę bardzo.

- Nigdzie pani nie wyjedzie! Kategorycznie zabraniam! - wrzasnął Emil, wpadając do salonu z nożem do chleba w dłoni.

- Pani jest naszym gościem, a jak Edycie coś się nie podoba, to fora ze dwora!

- Widzieliście go, włodarz się znalazł! - sarknęła pani Krystyna. - Po pierwsze, Emilu, odłóż z łaski swojej ten nóż. Po

drugie, przynieś Edycie śniadanie, bo na pusty żołądek ją mdli, a po trzecie, to po coś tu wlaź?

- Wy naprawdę jesteście nienormalni - stwierdziła Edyta, wodząc wzrokiem od Patinki do babci, a od niej do Emila. - Aż mi żal tych nienarodzonych dzieci, w co ja je wpakowałam?

Szef kuchni przewrócił oczami i pokazał Edycie język, Patinka postukała się w czoło, a pani Krystyna wzruszyła ramionami. Rodziny i przyjaciół się nie wybiera. Albo bierzesz to, co dają, albo zostajesz sam jak palec.

- Zostanie pani, Patinko, prawda? - upewnił się kucharz, jedną nogą stojąc już po drugiej stronie drzwi.

- No jasne, że zostanę. Obiecał mi pan zapiekankę pasterską, a ja długi odbieram. Prawda, pani Krysiu?

- Prawda, prawda - potwierdziła nestorka rodu Prusków, zatopiwszy wzrok z powrotem w gazecie. - Patrzenie, piszą o tym morderstwie.

- Pokaż! - Emil znów znalazł się w saloniku, wprawiając Patinkę w zdumienie. Kto by pomyślał, że on taki zwinny?

- O, tu. Jakieś zdjęcie jest, ale mało wyraźne. - Pani Krystyna dotknęła palcem czarno-białej fotografii. - Nie wiedzą, kto to, podejrzewają, że przyjezdny. Zobacz, Edytka, może go znasz?

- Bo co?

- Bo ty dużo ludzi znasz.

- Chciałaś powiedzieć, że ja znam dużo trupów, co? Bardzo śmieszne.

- Wygląda jak trup - stwierdziła Patinka, nachylając się nad gazetą. - Znaczy jak zdjęcie trupa, takie pośmiertne.

- Pokażcie. - Edyta podniosła się z sofy i stanęła nad babcią. Zmrużyła oczy, obróciła głowę, znowu zmrużyła oczy i zagryzła wargę. - Hmm - odezwała się po chwili - wygląda trochę jak Patryk, mój kolega ze studiów. Chociaż pewności nie mam, bo nigdy go nie oglądałam, jak spał.

- To weź długopis i domaluj mu oczy, może będzie bardziej podobny - podpowiedziała Patinka, wręczając przyjaciółce pisak.

- No nie wiem... - zastanawiała się Edyta, patrząc na karykaturalną pośmiertną maskę ozdobioną wielkimi źrenicami i rzesami wyglądającymi jak nogi pająka. - Nawet dosyć jest podobny, tylko za chudy i zbyt blady.

- To jest czarno-białe zdjęcie, to jaki ma być? - Patinka wyglądała na wyraźnie zniesmaczoną brakiem logiki przyjaciółki. - Może być on czy nie?

- Może, ale nie na sto procent. Głowy bym za to nie dała.

- Nie szkodzi. Nawet jak się okaże, że to nie on, nikt ci przecież za to tej głowy nie urwie. Dzwon na policję. Tu masz numer infolinii. - Przedsiębiorcza właścicielka wydawnictwa puknęła palcem w ciąg cyfr pod zdjęciem.

- Do Andrzeja zadzwoń, dziecko, on tę sprawę prowadzi - podsunęła pani Krystyna. - Na infolinię dzwonią sami wariaci.

- To może właśnie tam powinnam, w końcu normalni nie jesteśmy. I jak się okaże, że to nie on, to przynajmniej nie będzie wstydu przed Andrzejem.

- Głupia jesteś, dzwoń - rozkazała Patinka.

- A co on by tutaj mógł robić, ten twój kolega? - zapytał wyjątkowo rozsądnie Emil. - Rodzinę miał jakąś albo znajomych?

- Nie mam pojęcia. - Edyta wzruszyła ramionami i zmarszczyła nos jak zwykle, kiedy mocno nad czymś rozmyślała. - Wydawało mi się, że on pochodzi z Wrocławia.

Pomimo kłębiących się w jej głowie wątpliwości wybrała numer Andrzeja. Połączyło ją wprost z pocztą głosową, ale wiadomości nie zostawiła.

- Jedziemy do komendy - zaordynowała pani Krystyna. - A potem do ratusza. Dawaj te kanapki, Emilu, sprawy musimy

załatwić.

Komisarz Lewczyński zastukał w drzwi hotelowego pokoju, w którym zameldowany był Rafał Surym. Odpowiedziała mu cisza, więc zastukał ponownie, tym razem nieco mocniej. Również ta próba nie przyniosła żadnego efektu, rąbnął więc w drzwi z całej siły.

- Kto tam? - dało się usłyszeć ze środka, choć głos brzmiał dość niepewnie.

- Proszę otworzyć!

- Już dziewiąta? - Tym razem głos brzmiał nieco donośniej, a może po prostu rozlegał się ciut bliżej, o czym świadczyło otworzenie drzwi przez Suryma. - Ma pan dżem? Zapomniałem wczoraj powiedzieć, że lubię tosty z dżemem - powiedział, ziewając.

- Dzisiaj obejdzie się pan bez dżemu. I bez tostów - rzucił oschle policjant, robiąc krok do przodu i zmuszając Rafała do wycofania się w głąb pokoju. - Jeśli się pośpieszymy, to może zdąży pan na śniadanie na dole.

- Co? Przecież pro... - zająknął się Surym. - Ja pana znam! Pan nie jest z obsługi hotelowej!

- No nie da się ukryć - zakpił Lewczyński. - Niech pan narzuci coś na gacie, służbowo do pana przychodzę.

- Służbowo? Ja na urlopie jestem i trochę niedysponowany, pan wybacz.

- W sprawie policyjnej tutaj jestem, panie Surym. Rozumiem, że nie przeszkadza panu świecenie bielizną, pana wybór. Mogę tu usiąść? - zapytał policjant, wskazując głową jedyne w pokoju krzesło.

- Tak, proszę. W jakiej sprawie policyjnej? Czy ja coś wczoraj zrobiłem? Bo jeśli zrobiłem, to nie pamiętam! - Rafał

zbladł, przypominając teraz wypłowiły obraz, i usiadł na brzegu łóżka.

- Nie byłyby to pierwszy raz, co? - ironizował Andrzej, patrząc na trzydziestolatka z odrobiną wrogości. Co ta Edyta mogła widzieć w takim wymoczku? No, może odrażający nie jest, ale żeby zaraz ślub z nim brać? Intelktem też szczególnie nie grzeszy, a pić w ogóle nie umie. Cymbał jakiś skończony.

- Co? - Surym najwyraźniej nie zrozumiał przytyku, co jedynie potwierdzało poziom jego intelektu. - Że jaki pierwszy raz?

- Nieważne. Panie Surym, musi mi pan odpowiedzieć na kilka pytań, ale jeżeli odmawia pan współpracy, to zapraszam pana oficjalnie do komendy. Jak pan woli?

- Wolę współpracę.

- Dobra decyzja. To zacznijmy od rzeczy łatwych: gdzie pan spędził wczorajszy dzień i połowę nocy?

- To rzeczywiście łatwe - ucieszył się Surym. - Po wyjściu od Edyty poszedłem na spacer, włączyłem się po Augustowie, potem zgłodniałem i zjadłem obiad w jakiejś knajpie nad jeziorem, potem znowu spacerowałem, aż postanowiłem utopić smutki w alkoholu. Miało być jedno piwo, ale chyba było ich znacznie więcej, przypominam sobie co najmniej trzy.

- Sam pan był?

- Sam, nikogo tu przecież nie znam.

- I sam pan pił te piwa do północy?

- Naprawdę aż tak długo tam byłem? To wyjaśnia moje samopoczucie... - Rafał podrapał się po głowie i syknął. - Au! Zapomniałem o tym guzie.

- Jeszcze się panu głowa nie zagoiła po tym wypadku z Jasińską?

- A pan skąd o tym wie? - Surym wytrzeszczył oczy na policjanta, jakby tamtemu wyrosły rogi.

- W prasie ogólnopolskiej pisali. Na pierwszych stronach - odparł Andrzej bez mrugnięcia okiem.

- Naprawdę?!

- Co pan, z konia spadł? Od podkomisarza Bączka wiem.

- A, no tak... - Nuta zawodu w głosie Rafałka wybrzmiała wyraźnie. - Nie, to nie po tamtym. W poniedziałek zbyt zamasyście oparłem głowę o ścianę.

Lewczyński popatrzył na niego, nie mogąc się zdecydować, czy ma do czynienia z półgłówkiem czy może bardziej z ofiarą losu. Niemożliwe, żeby ten Surym był aż taką życiową niedojdą. Albo udaje, albo powinien go przebadać psychiatra...

- A czy poza niefortunnym spotkaniem ze ścianą coś jeszcze wydarzyło się w poniedziałek? - zapytał, starając się brzmieć jak najbardziej profesjonalnie, choć po głowie latały mu różne inwektywy.

- W poniedziałek... - Mąż Edyty się zamyślił. - W poniedziałek rano przyjechałem do Augustowa, zameldowałem się w hotelu, było już po śniadaniu, więc poszedłem prosto do pokoju, wysłałem maila z pilnym raportem dla mojego szefa, zdrzemnąłem się chwilę, a potem zszedłem na obiad.

- I?

- I zjadłem obiad, potem wróciłem do pokoju, przeczytałem kilka stron książki, zasnąłem w trakcie lektury, obudziłem się i wyszedłem z hotelu.

- A pan Kowalski?

- Słucham? - zdumiał się Surym.

- Jan Kowalski, mówi to panu coś?

- No, na wzorach Poczty Polskiej takie nazwisko zawsze nadrukowują.

- A osobiście pan jakiegoś Kowalskiego zna? - zniecierpliwiał się policjant, czując, że zaraz Suryma udusi gołymi rękami.

- Poza Kasią Kowalską, tą wokalistką, to nie. A powinienem?

- Nie wiem, czy pan powinien, czy pan nie powinien, ale według właściciela hotelu w poniedziałek zjadł pan obiad w towarzystwie osoby przedstawiającej się jako Jan Kowalski.

- Ja?!

- Nie, pańska matka - nie wytrzymał Andrzej i natychmiast dotarła do niego skala popełnionej gafy. - Najmocniej pana przepraszam, panie Rafale, to było z mojej strony głupie i wyjątkowo nie na miejscu.

- Rozumiem, wybaczam. Moja mamusia to obiad mogła już jeść jedynie w towarzystwie Świętego Piotra, chociaż pewnie jacyś Kowalscy w niebie też rezydują, nie sądzi pan? Statystycznie powinno ich być nawet całkiem sporo.

Jednak imbecyl, pomyślał Andrzej i uszczypnął się w wierzch dłoni, żeby nie wybuchnąć śmiechem. Zza niedokładnie zasłoniętego okna prosto w twarz Suryma zaświeciło jasne słońce. Musiał przez to przymknąć oczy, dając Lewczyńskiemu czas na dokładniejsze przyjrzenie się rozmówcy. Czyżby nie tylko ze ścianą się spotkał? Skąd te podrapania i siniak na zuchwie z lewej strony?

- Panie Rafale - odezwał się policjant po chwili - czy w poniedziałek jadł pan obiad w hotelowej restauracji w czyimś towarzystwie? I nie mam tu na myśli tego, czy był pan jedynym gościem, ale czy ktokolwiek siedział z panem przy stole.

- Owszem, ktokolwiek siedział. Ale na pewno nie był to żaden Jan Kowalski.

- A więc kto?

- Znajomy z Wrocławia. Patryk, nazwisko mi z głowy wyleciało, zaraz sobie przypomnę.

Podczas gdy Surym z wyraźnym wysiłkiem próbował sobie przypomnieć nazwisko znajomego Patryka, Lewczyński poczuł wibrujący w kieszeni marynarki telefon. Dzwonił Maciejewski. Andrzej przeprosił Rafała i wyszedł na korytarz, zostawiając uchylone drzwi.

- Co jest? - odebrał telefon.

- Jak ci idzie? Znalazłeś tego zaginionego świadka? - Tym razem głos prokuratora nie przypominał słowiczego trełu.

- Właśnie go przesłuchuję. Coś nie tak? Zidentyfikowaliście implant?

- Nie ma go.

- Kogo nie ma?

- Nie ma tego numeru w bazie.

- Cholera. I co teraz?

- Zostaje nam zwrócić się do producenta, wyśledzić losy serii i szukać wszystkich zabiegów, do których została wykorzystana. Orka na ugorze. A świadek co?

- Myśli. Próbuje sobie przypomnieć nazwisko, na razie mamy imię, ale jak na mój nos to nic pewnego.

- Dobra, ciśnij go. Tylko szybko, bo czasu coraz mniej. Do prasówki chciałbym coś mieć.

Lewczyński rozłączył się i wszedł z powrotem do pokoju, w którym Surym nawet nie zmienił pozycji.

- Przypomniał pan sobie?

- Niestety, nie. Wie pan, ja nigdy nie miałem pamięci do nazwisk. Edyta by się tu przydała.

- No tak, ona pamięć do nazwisk zawsze miała świetną - zgodził się Andrzej.

- Nie, nie rozumie pan. Ona zna jego nazwisko.

- Co takiego?

- No bo ten Patryk to jest jej kolega. Oni razem studiowali.

- Pan żartuje - stwierdził Lewczyński, zaciskając zęby.

- Nie widzę w tym nic śmiesznego - odparł Surym z powagą godną dyplomaty. - Zresztą sam pan go może zapytać. Ma pokój piętro wyżej.

- Niech pan tego nie bierze do siebie, ale jego to już może zapytać tylko pana matka. O ile ten Patryk poszedł do nieba.

Rozdziawiona paszcza Suryma jednoznacznie wskazywała na to, że o śmierci Bioderka nie miał pojęcia, komisarz darował więc sobie kolejne pytanie. Ze względu jednak na nowe fakty wizyta Rafała w komendzie wydawała się nieunikniona, a czas rzeczywiście się skurczył. Umówili się więc, że Surym doprowadzi się do ładu i stawi na przesłuchanie po konferencji prasowej, tymczasem Andrzej postara się skontaktować z Edytą. Niech no tylko Bączek o tym usłyszy! Magnes na trupy, jasna cholera!

Mężczyzna przysłuchiwał się telefonicznej rozmowie policjanta ukryty za ścianą oddzielającą skrzydło hotelu od klatki schodowej. Implant? Co za implant, to jakiś szyfr? Miał nadzieję na przejrzanie rzeczy chłopaka, ale na drodze stanęły mu policyjne plomby i działająca od świtu ekipa kryminalistyczna. Dokumenty Patryka miał przy sobie, więc i tak niczego nie znajdują, tym bardziej, że ta ofiara losu, Surym, nie pamięta nazwiska.

Gdy Lewczyński zniknął za drzwiami pokoju, mężczyzna wstał, odchrząknął, bo w gardle mu zaschło, zszedł po schodach i spokojnym krokiem udał się do wyjścia. Skinął głową właścicielowi hotelu, który ze zdziwieniem odwzajemnił gest, i wyszedł w światło poranka. Miał jeszcze jedną sprawę do załatwienia, zanim wróci do Wrocławia.

- No to dlaczego ty właściwie tu jesteś? - zapytała Edyta Patinkę, kiedy zajęły miejsca w samochodzie pani Krystyny.

Korpulentna przyjaciółka odwróciła się do niej, spojrzała prosto w oczy i odparła:

- Jeżeli aż tak bardzo przeszkadza ci moja obecność, to naprawdę wystarczy powiedzieć.

- Wcale mi nie przeszkadza! - zaprotestowała Edyta. - Po prostu jestem zdziwiona. Pierwszy raz przyjechałaś bez okazji, więc ciekawi mnie dlaczego. Pokłóciłaś się z Jankiem?

- Wyjątkowo się z Jankiem nie pokłóciłam, w ogóle z nim nie rozmawiam od wesela Magdusi.

- A co? - wtrąciła się pani Krystyna, wyraźnie zainteresowana cichymi dniami Patinki i jej męża. - Kto coś nawywijał?

- Czy ja wiem... - odparła z oporem wydawczyni. - Chyba nikt nie nawywijał, poczuliśmy do siebie wzajemną niechęć i postanowiliśmy sprawdzić, jak nam się będzie żyło osobno.

- A Chochoł? I Waćpanna? - Edyta zaniepokoiła się losem ulubionych przyszywanych siostrzenic.

- No przecież nic im się nie dzieje. Janek je kocha, a one wielbią Janka nieskończenie.

- Ale tak na stałe chcesz tutaj zostać? - Pani Prusko wciąż nie włączała silnika samochodu, gorączkowo rozmyślając. - Z Edytą?

- No gdzie?! Nic z tych rzeczy! - zapewniła Patinka. - Oesu, z wami to po prostu trzy światy... Możecie to nazwać, jak wam fantazja podpowie: kryzys wieku średniego, menopauza, demencja. Guzik mnie to obchodzi. Po prostu postanowiłam coś w swoim życiu zmienić, bo już mnie mierzić zaczęło.

- A to w Malborku nie mogłaś tego życia zmieniać? Albo na Śląsk, do Magdusi, pojechać?

- Od lat mi, Edytka, powtarzasz, jakie to Podlasie piękne i że z naturą blisko można żyć, a teraz mnie do węglokopów wysyłasz? Weź się zdecyduj może.

- Piękne, ale na wakacje! Nad jeziorem poleżeć, po lesie pochodzić. A nie nagle się przeprowadzać ni z gruszki, ni z pietruszki i całe życie na głowie stawiać.

- Patinko? - zapytała pani Krystyna tonem odrobinę podejrzliwym. - A twoja życiowa zmiana to przypadkiem może ma coś wspólnego z białostockim wydawnictwem, które ktoś niedawno kupił?

- Może ma - rzuciła obrażonym tonem przedsiębiorczyni. - To miała być niespodzianka. Jak zawsze wszystko musicie zepsuć, baby.

- Pruskie baby - zachichotała Edyta. - My jesteśmy pruskie baby, tak o nas mówi Bączek. Ty też jesteś pruska, chciałam ci przypomnieć. Naprawdę kupiłaś to wydawnictwo?

- Kupiłam. A co, nie wolno? Już jeden taki próbował mi zabronić i teraz się zastanawia, czy wciąż ma żonę.

- Ech, baby - westchnęła pani Krystyna, po czym zapaliła silnik samochodu. - Pruskie, ruskie, śląskie... Wszystkie tak samo durne.

Dwadzieścia minut później zostawiły samochód na policyjnym parkingu i udały się prosto do komendy. Pod wejściem zebrało się już kilka osób, a nieco dalej ekipa telewizji regionalnej wyładowywała sprzęt z busa.

- Musimy się pośpieszyć, konferencję prasową robią - ponagliła je pani Prusko i zaczęła szybciej przebierać nogami.

Po wejściu do budynku skierowały się prosto do skrzydła zajmowanego przez wydział kryminalny, jednak napotkały przed sobą przeszkodę w postaci zamkniętych drzwi. Uczynny oficer przechodzący właśnie między piętrami poinformował je, że Lewczyńskiego nie ma, Popławski na urlopie, a Lubiewicz przyjdzie dopiero na dziewiątą. Mogą zameldować się u dyżurnego i poczekać na dole, choć on nie poleca, bo tu zaraz zacznie się cyrk. Na cyrk pani Prusko w ogóle nie miała ochoty, podjęła więc męską decyzję, że pojedą do ratusza i wrócą, gdy przedstawienie się skończy.

- Napisz Andrzejowi, że wrócimy po prasówce - poleciła Edycie.

- Telefon mi się rozładował - stwierdziła ze smutkiem dziewczyna. - Zasnęłam wczoraj i zapomniałam go podłączyć. Zostawimy informację w dyżurce.

W ciągu kilku minut liczba ludzi zgromadzonych przed budynkiem komendy wzrosła co najmniej dwukrotnie, pojawiały się także kolejne ekipy dziennikarzy, w tym kilku osobiście znanych pani Krystynie redaktorów radiowych i jedna dziennikarka śledcza, która na widok pani Prusko z miejsca nabrała nowych podejrzeń. Babcia chwyciła Edytę pod rękę i pomaszerowała do samochodu, nie zważając na krzyczane w jej kierunku pytania reporterów. Żadna z kobiet nie zauważyła mężczyzny stojącego po drugiej stronie ulicy i wpatrującego się w Edytę zmrużonymi oczami.

Andrzej podjechał pod dom państwa Prusków i z niepokojem stwierdził brak samochodu Edyty. Dodzwonić się do niej nie mógł, od razu włączała się poczta głosowa, telefon stacjonarny zlikwidowali kilka tygodni wcześniej, a numeru do pani Basi nie miał. Zapukał do drzwi i wszedł do środka, co było standardową praktyką w tym domu.

- Halo, Edyta? - zawołał od progu.

- Andrzej? - Pani Basia wychyliła głowę z kuchni. - Dzień dobry, sama jestem. Edytka nie wróciła jeszcze od babci.

- Dzień dobry. A nie wie pani, kiedy wróci? Nie mogę się do niej dodzwonić.

- Telefon jej się rozładował, ale możesz spróbować dzwonić do mojej mamy. Podobno gdzieś razem się wybrały z samego rana, wiesz przecież, jak to z nimi. Nie usiedzą w spokoju pięciu minut i wiecznie w coś się pakują.

- Taaa, to akurat wiem - przytaknęła Andrzej i się skrzywił. Spojrzał na zegarek i z niezadowoleniem skonstatował, że za chwilę musi być z powrotem w komendzie. - Proszę przekazać

Edycie, żeby podeszła do mnie, ja muszę pilnie wracać – rzucił, kierując się do drzwi.

- Oczywiście, Andrzej – zapewniła go pani Basia, nie dziwiąc się zupełnie. Życie z Krystyną Prusko dawno już ją nauczyło, że niczemu dziwić się nie wolno, bo w świecie jej matki wszystko jest możliwe. A Edyta była wierną kopia swojej babci.

Andrzej pognał do pracy, modląc się w duchu, żeby zdążyć przed Maciejewskim. Prokurator szalenie nie lubił występować przed dziennikarzami, zwłaszcza gdy nie znał absolutnie wszystkich faktów. Lewczyński musiał go ostrzec przed ewentualną wtopą w postaci znajomości między Edytą i Bioderkim, choć nic nie wskazywało na to, że ta informacja w ogóle może wypłynąć. Zawsze jednak istniało takie ryzyko, a w przypadku Edyty Prusko prawa Murphy’ego działały bez pudła.

Zaparkował samochód pod strażą pożarną i przeszedł tyłem, niezauważony przez nikogo. Prawie przez nikogo, gdyż mężczyzna, który wcześniej obserwował Edytę, dostrzegł skradającego się Andrzeja i postanowił zmienić pozycję. Zabawa dopiero miała się zacząć.

- Czego tu szukamy? – zagadnęła Patinka, rozglądając się po wielkim pomieszczeniu wypełnionym regałami zastawionymi alfabetycznie ustawionymi kartonami. – Jak pani chce tego wujka zdemaskować?

- Nie byłoby prościej poddać go badaniom DNA? – zapytała Edyta, przyglądając się pudłu, które już kiedyś miała w rękach. W środku znajdowała się nić łącząca ją z szaloną morderczynią.

- Ja nie mam cienia wątpliwości, że ten Mateusz jest krewnym twojego ojca, Edytko. Natury nie oszukasz: te same uszy, identyczne łuki brwiowe i maniera przy mówieniu. Zauważyłaś?

- Mhm, cały tata - potwierdziła dziewczyna. - To dlaczego sprawdzamy akta Prusków?

- A kogo mamy sprawdzać, skoro to rodzina twojego ojca? - odparła bez namysłu Patinka, po czym nagle do niej dotarło. - A no tak! Kłątwa! Twój tata przyjął nazwisko mamy, tak?

- Pfff, kłątwa - zasztydziła Edyta. - Powiedz jej, babciu, jakie to nadprzyrodzone moce sprawiły, że Prusowie się z każdej strony nazywają Pruskami.

Pani Krystyna machnęła ręką, burcząc coś niezrozumiałego. Włożyła okulary i usiadła przy stoliku, wczytując się w tekst zapisany na trzymanej w ręce pożółkłej kartce. Edyta przyglądała jej się zaintrygowana.

- Co tam znalazłaś? Coś o Januszu?

- Nie o Januszu. O mojej cioci-babci. Wygląda na to, że jeszcze nie wszystkie tajemnice rodzinne udało nam się poznać, ale nie ma teraz na to czasu. Patinka, sięgnij tam po to pudło z napisem „Rol-Róz”.

Patinka wykonała polecenie, kichając przy tym donośnie. Karton zawierający pożądane przez panią Prusko dokumenty widocznie dawno nie był odkurzany.

Wśród licznych teczek osobowych znajdowała się ta, do której pani Krystyna bardzo chciała dotrzeć. Z uwagą przejrzała poupychane w niej metryki, zdjęcia, listy, aż w końcu zatrzymała wzrok na jednym niewielkich rozmiarów dokumencie. Po chwili i ów świstek odłożyła niezadowolona i zapakowała wszystko z powrotem, a Patinka odstawiła karton na miejsce.

- Znalazłaś? - upewniła się Edyta.

- Właśnie nie znalazłam. Teraz możemy jechać do komendy, a na kolację zaprosimy pana Roszkowskiego. Ciekawe, jak wytłumaczy swoje kłamstwo - rzuciła babcia.

- Powie nam w końcu, o co chodzi? - zapytała szeptem Patinka Edytę.

- Powie. Jak Poirot, kiedy demaskował mordercę. Jej demon karmi się dramą.

- Ale ja bym już chciała wiedzieć! - pisnęła wydawczynie.

- A ja bym chciała się czegoś napić. - Przyszła matka wzruszyła ramionami, dając przyjaciółce do zrozumienia, że wyjaśnienie zagadki tajemniczego wujka musi poczekać.

Może i Henryk Grabski był kiedyś najprawdziwszym szpiegiem, ale to jego żona jest prawdziwą mistrzynią suspense.

Mężczyzna cierpliwie czekał, aż tłum zgęstnieje. Spokojnie palił kolejnego papierosa, przyglądając się ekipom dziennikarzy rozstawiających statywy kamer i przygotowujących mikrofony. Do tej pory wszystko szło po jego myśli. Wszystko poza morderstwem, które w pierwotnym planie nie było uwzględnione, ale niewielka errata nikomu nie szkodziła. Nie licząc, oczywiście, Patryka - jemu zaszkodziła ostatecznie. Takie życie.

Tuż przed dziewiątą na schodach prowadzących do komendy pojawił się prokurator Maciejewski ubrany w granatowy garnitur. Towarzyszyło mu dwóch mundurowych, których zadaniem było pilnowanie porządku wśród zgromadzonych. Nieco dalej, z dala od obiektywów, stał komisarz Lewczyński, na którego twarzy wyraźnie widać było zniechęcenie. W ostatniej chwili przed rozpoczęciem konferencji dołączył do niego zastępca komendanta, Sławomir Lubiewicz, który też wolał trzymać się z tyłu.

Mężczyzna zgasił niedopałek butem i przeszedł przez ulicę. Wmieszał się w grupę gapiów i uważnie słuchał oświadczenia wydawanego właśnie przez prokuratora. Z zadowoleniem

skonstatował, że organy śledcze wciąż niewiele wiedzą i liczą na pomoc społeczeństwa. A społeczeństwo nie ma bladego pojęcia, że nóż, który rozorał krtań Patryka, spoczywa w kieszeni jego spodni zakupionych w demobilu. Rozejrzał się ostrożnie, sprawdzając, czy wśród gapiów nie widać Suryma albo jego żony, po czym wolnym krokiem ruszył w stronę rynku. Jeszcze tylko jeden przystanek i może wracać do domu.

O wpół do dziesiątej Maciejewski pożegnał się z dziennikarzami i ruszył prosto do gabinetu Lubiewicza. Czuł, jak pot płynie mu po plecach bezwstydną strugą, i marzył tylko o tym, żeby zdjąć marynarkę.

- Co za blamaż - wysapał, kiedy Lewczyński zamknął drzwi.
- Tylko czekać, aż nas obsmarują za niekompetencję. Co z tym twoim świadkiem? Przyjdzie tu?

- Przyjdzie, ma być na dziesiątą. Czekam jeszcze na jego żonę, ale nie mogłem jej złapać telefonicznie. Jak zwykle gdzieś się włóczy.

- To niech się nie włóczy, tylko ją tu doprowadź! - wrzasnął prokurator, siłując się z krawatem, który nie chciał dać się rozwiązać.

- Opanuj emocje, Ludwik. - Lubiewicz podszedł do niego i zaczął gmerać przy zaciśniętym węźle. - Doprowadzenie tej dziewczyny nie byłoby właściwym posunięciem.

- A co ona jest? Królowa angielska?

- Obawiam się, że królowa angielska byłaby mniejszym problemem - odparł zastępca komendanta, zdejmując krawat z szyi kolegi. - To wnuczka Grabskiego. Henryka Grabskiego.

Prokurator spojrział na Lubiewicza z przerażeniem, po czym przeniósł wzrok na Lewczyńskiego.

- To prawda? Nasz Bioderko jest znajomym wnuczki Henryka?

- Tak twierdzi Surym, świadek znaczy. Jej osobisty mąż. - Andrzej wzruszył ramionami, czym spowodował nagle pulsowanie żyły na szyi prokuratora.

- To dlaczego wy mi o tym nie mówicie od razu?! - wydarł się Maciejewski. - Ja tu z wami chyba oszaleję! Jak się Popławski o tym dowie, to nam wszystkim nogi z dupy powyrywa, w mordę kopany! - Usiadł na chwilę, łapiąc oddech. - Gdzie ona jest? Pod obserwację ją natychmiast, niech mi się Grabski po sprawie nie pałęta! - wyrzucił z siebie, dysząc ciężko.

- Łatwo powiedzieć - odparł cicho Lewczyński. - Od rana jej szukam, ale równie dobrze możemy tu sobie posiedzieć i poczekać.

Jak na zamówienie drzwi do gabinetu się otworzyły i do środka wsunęła się głowa Edyty Prusko.

- Puk, puk. Można? - zapytała cichutko.

- Można, proszę bardzo, zapraszamy. - Maciejewski wykonał zachęcający gest ręką.

- Na dole powiedzieli, że cię tu znajdę, Andrzeju - usprawiedliwiała się dziewczyna, spoglądając Lewczyńskiemu prosto w oczy z nadzwyczajną intensywnością.

Na szczęście Andrzej w ciemnię bity nie był i w mig zrozumiał podprogowy przekaz.

- Tak, tak, już skończyliśmy. Chodźmy do mnie. - Kiwnął głową kolegom i wyprowadził Edytę z pokoju. - Gdzieś ty się znowu podziewała? Od rana cię szukam!

- Chyba ja ciebie, byliśmy tu skoro świt.

- Co? Jakie byliśmy? Kim są my?

- Dzień dobry panu komisarzowi - odezwała się nagle Patinka zza pleców policjanta. - Jak ja się cieszę, że znów pana widzę.

- Ja trochę mniej, ale jak mus, to mus - dodała pani Krystyna.

Przerażenie na twarzy Andrzeja z pewnością nie było udawane, ale bardzo ubawiło Edytę. Dwie harpie, Patinka i szanowna babcia, obie w wyjątkowo dobrych humorach - nieźle się zapowiadało.

- Dobrze, że przyszłaś. Że wszystkie przyszłyście! - poprawił się natychmiast. - Pojawiły się okoliczności, o których muszę z tobą porozmawiać, Edyta.

- Personalnej natury okoliczności, co? - Patinka puściła do niego oko.

- Nie słuchaj jej - zaśmiała się ciężarna i zgromiła przyjaciółkę wzrokiem. - Nie piła drugiej kawy, to i plecie trzy po trzy.

Lewczyński wpuścił Edytę do swojego gabinetu, jednocześnie prosząc jej towarzyszkę o zaczekanie na korytarzu. Po minucie przyniósł Patince kubek kawy, czym zaskarbił sobie jej miłość do końca życia.

- Słuchaj, bo ja przyszłam do ciebie w sprawie... - zaczęła Edyta, kiedy drzwi gabinetu się zamknęły, ale nie udało jej skończyć, bo w Andrzeja nagle wstąpiło złe.

- Czy ty naprawdę nie możesz być normalna?! Czy wszędzie, gdzie się nie obrócę, musisz występować w roli głównej? Dlaczego zawsze, kiedy coś się dzieje, to musi się pojawiać Edyta Prusko?! W coś ty się znowu wpakowała?! - krzyczał, wyrывая sobie włosy z głowy.

Dziewczyna zamilkła zdumiona, odruchowo zasłaniając brzuch rękami. Podobno ludzie słyszą już w życiu płodowym, a ona zamierzała wychowywać dzieci bezstresowo. Zaczekała chwilę, aż Andrzej się uspokoi, wyduła usta w wyrazie niezadowolenia i cedząc każde słowo, odparła:

- Nie odpowiadam za swoje geny, nie zawsze występuję w roli głównej, sama się nad tym zastanawiam i nie mam pojęcia,

w co miałabym się tym razem wpakować - odpowiedziała jednym tchem. - Czy możesz doprecyzować swoje wyjątkowo nieprofesjonalne pytania?

- Kim jest Patryk?

- Prawdopodobnie trupem.

- Skąd wiesz?

- Z prasy. I od ciebie.

- Ode mnie nie możesz, bo ja dopiero się dowiedziałem, że Patryk to Patryk.

- Aha. Wobec tego tylko z prasy. Wyjątkowo niefortunne zdjęcie, ale trochę makijażu pomogło w jego identyfikacji.

- Jakiego makijażu?

- No, rzęsy, źrenice, tęczyówki wyszły czarne, niemniej podobieństwo i tak zachował.

- Mam nadzieję, że wciąż mówisz o zdjęciu. - Andrzej spojrzął z niepokojem.

- A o czym innym miałabym mówić? W gazecie napisaliście, że nie znacie jego tożsamości. Nie wiedziałam, że policja kłamie.

- Wcale nie kłamie, jeszcze dwie godziny temu nie mieliśmy pojęcia, kim on jest. Na szczęście znalazł się świadek.

- No widzisz? Czyli jednak i beze mnie się da - zażartowała dziewczyna.

Lewczyński spiorunował ją wzrokiem, zgrzytnął głośno zębami i syknął:

- Ciekawe, czy będzie ci do śmiechu za pięć minut. Kawy?

- Poproszę, ale słabej. Co będzie za pięć minut?

- Dowiesz się za pięć minut. A tymczasem opowiedz mi o Patryku. Skąd się znacie, co o nim wiesz, zaczynając od jego opisu. Oszczędź sobie opowieści o wachlarzu rzęs, chyba że na co dzień robił za *drag queen*.

Edyta westchnęła głęboko, poprawiła niesforny kosmyk włosów, który nieustannie wchodził jej do oczu, postukała paznokciami o biurko i zacisnęła usta. Lewczyński w tym czasie parzył kawę, zastanawiając się, czy to hormony ciążowe, czy może jej nowa fryzura sprawiły, że wydawała mu się zjawiskiem nadprzyrodzonym. Najchętniej złapałby ją w ramiona i już nigdy nie wypuścił. Próbował studzić emocje, wyobrażając sobie, że to ona zamordowała chłopaka zwanego roboczko Bioderkiem w ataku jakiegoś babskiego amoku, ale nawet i to nie potrafiło obrzydzić mu jej twarzy. Morderczyni czy nie, była najpiękniejszą kobietą na świecie i zrobiłby wszystko, żeby całować jej słodkie usta do utraty tchu.

Policzył do dziesięciu, oddychając głęboko i przywołując w myślach widok zapamiętany z sali sekcyjnej, po czym odwrócił się do dziewczyny i utkwiał wzrok w ścianie gdzieś nad ramieniem Edyty.

- No to skąd się znaliście?

Nie zdążyła powiedzieć ani słowa, ponieważ w tym momencie rozległo się nieśmiałe pukanie do drzwi. Lewczyński zmarszczył lekko czoło i spojrzał na zegarek - do dziesiątej zostawały jeszcze dwie minuty. Postanowił zignorować nadgorliwego gościa i ruchem głowy zachęcił Edytę do odpowiedzi na jego pytanie.

- Kto to? - Najwyraźniej ciekawość uniemożliwiła jej prowadzenie rozmowy.

- Zaraz się dowiesz, przyszedł za wcześnie.

- Świadek?

- Miałaś odpowiadać na pytania, a nie je zadawać - zirytował się Andrzej, choć w zasadzie nie za bardzo. - No dobra, i tak się dowiesz. Tak, za drzwiami jest świadek, jedyna osoba, która była widziana w towarzystwie denata i przyznaje się do znajomości z nim.

- No to świetnie! - ucieszyła się szczerze. - Mogę tu zostać? Nie będę się odzywać, słowo honoru! Wypiję kawkę i nawet nie zauważycie, że tu jestem - dodała słodkim głosikiem, którego używała tylko wtedy, kiedy na czymś bardzo jej zależało.

- Pamiętaj tylko, że sama o to prosiłaś - odparł Andrzej, wstając nieśpiesznie. Podeszedł do drzwi, zerknął jeszcze raz na zadowoloną z siebie Edytę i nacisnął klamkę. - Proszę wejść, panie Surym, czekamy na pana.

Edyta zakrztusiła się kawą i rozkaszała tak mocno, że stojąca za Rafałem pani Prusko poczuła się w obowiązku ratowania wnuczki. Wpadła więc do środka i zaczęła oklepywać plecy dziewczyny, świdrując pełnym nienawiści wzrokiem Lewczyńskiego.

- Pięknie cię matka wychowała, Andrzej - syknęła, nie zwracając w ogóle uwagi na Rafała, który stał z rozdziawioną paszczą na środku pokoju. - Nie masz ani krztyny szacunku dla ciężarnej kobiety i narażasz ją na całkowicie zbędny stres.

- Sama chciała tu zostać - bronił się policjant, unosząc ręce w geście kapitulacji. - Ja do niczego jej absolutnie nie namawiałem.

- Zmieniłam zdanie - odezwała się lodowatym głosem dziewczyna, kiedy udało jej się odzyskać oddech. - Nie zamierzam spędzić ani jednej chwili w towarzystwie tego pana.

- I *vice versa* - bąknął Surym, krzyżując ręce na piersiach. - Nie odpowiem na żadne pytanie, dopóki ta pani tu będzie.

- Doskonale! - parsknęła Edyta, po czym wstała z krzesła i ostentacyjnie wymaszerowała z pokoju.

Tuż za nią wymaszerowała pani Krystyna i ostentacyjnie trzasnęła drzwiami.

- No, panie Surym, proszę siadać i mówić. Nikt nam już nie będzie przeszkadzać - zakomenderował z niejaką ulgą Lewczyński.

W tej samej chwili drzwi uchyliły się delikatnie i ukazała się głowa Edyty.

- Babcia zaprasza na obiad na osiemnąstą - powiedziała głowa, nie patrząc na żadnego z mężczyzn.

- Kogo? - zapytali równocześnie.

- Was obu, geniusze! - odkrzyknęła z korytarza pani Prusko.
- I radziłabym się zachowywać.

Po wyjściu Suryma Lewczyński zamyślił się głęboko, przysiadając na parapecie okna. Wyglądało na to, że mąż Edyty znów przypadkiem znalazł się w niewłaściwym miejscu w bardzo złym czasie i po raz kolejny stał się ofiarą złośliwego losu, choć prawdopodobieństwo tego zdawało się mniejsze niż na przykład wygranej przez niego w *Jednym z dziesięciu*. Przesłuchanie niewiele wniosło do sprawy. Surym rzeczywiście spotkał chłopaka w hotelu, zjedli razem obiad, a wieczorem wybrali się na piwo - normalna rzecz. Pili prawdopodobnie sporo, ale tego Rafał nie był w stanie na sto procent potwierdzić, bo głowy do picia nigdy nie miał i wystarczały mu zwykle dwa piwa, żeby gadać od rzeczy. Czy ktokolwiek mógł się do nich przyłączyć? No jasne, że mógł. Nawet cały tabun, ale on, Rafał, wcale tego nie pamięta. Jak wrócił do hotelu? Pewnie taksówką, bo znalazł paragon w kieszeni spodni. Możliwe, że gdzieś po drodze się wywrócił, bo wszystkie ubrania obsługa hotelu od razu zabrała do pralni razem z pościelą. Bez pytania! No i niezupełnie potrafił wytłumaczyć siniaki i podrapania, które zdobiły mu lico, więc faktycznie jakiś wypadek mógł być na rzeczy.

Andrzejowi żal się zrobiło tego zagubionego chłopaka, któremu w trybie pilnym przydałby się dobry terapeuta. Nic dziwnego, że małżeństwo z Edytą się nie układało, skoro Surym nigdy nie uporał się ze zniknięciem ojca, dorastaniem w cieniu

przemądrzałego brata i pod skrzydłami kompletnie zwichrowanej matki. Edyta też nie była najłatwiejszą partnerką: w czepku urodzona, wychowana pod kloszem, utalentowana, urodziwa i rozpieszczana przez całe życie, chwilami dziecinna, kapryśna jak księżniczka, wybuchowa i zupełnie nieracjonalna. A przy tym mądra, inteligentna, ocytana i dobra. A ten Surym, cymbał i imbecyl, jakby tak go popchnąć we właściwym kierunku, pewnie wyszedłby w końcu na ludzi. Bez wątpienia wydaje mu się, że kocha Edytę i żałuje popełnionych przez siebie błędów. Sam nie mając ojca, chciałby swoim dzieciom zapewnić luksus pełnej rodziny.

- Dlaczego go wypuściłeś? - Maciejewski wparował do gabinetu Lewczyńskiego, nie zważając na dobre obyczaje nakazujące choćby zapukanie. - Czyżbyś miał innego podejrzanego?

- O czym ty mówisz, Ludwik? Jakiego podejrzanego? Nie myślisz chyba, że to Surym?

- Może i nie Surym, ale jak na razie nikogo innego nie mamy. Natychmiast go zamknijcie.

- Za co? - upierał się Andrzej. - Przecież on nic nie zrobił poza upiciem się do nieprzytomności, a z tego, co wiem, to niewiele musiał wypić, głowę ma wyjątkowo słabą.

- A te siniaki? Podrapania? Zamknij go za wszczynanie awantur, zaraz znajdziemy jakiegoś świadka, który to potwierdzi.

- Dajże spokój. Przecież to naciągane jak nie wiem. On nie ma z tym morderstwem nic wspólnego.

Gdyby nie nagłe wtargnięcie prokuratora do jego pokoju, Andrzej mógłby zauważyć wyjście Rafała Suryma z komendy, a zaraz po tym dostrzegłby czerwony samochód, który ruszył w ślad za chłopakiem. Być może zainteresowałby się jadącym z patrolową prędkością pojazdem, który dwieście metrów dalej niespodziewanie wjechał na chodnik i potracił usiłującego uciec

Suryma. Niestety jednak stało się inaczej i jedyny świadek w sprawie zamordowania Patryka *vel* Boderka został wyeliminowany z dalszej gry.

Inspektor Kazimierz Wilczyński zaczął ulegać psychologii tłumu, w tym wypadku tłumu dwuosobowego składającego się z podkomisarza Bączka i własnej siostry, Danuty. Zaszczepiona w jego sercu wątpliwość wykiełkowała już całkiem obficie, dając asumpt do odczuwania narastającego niepokoju. Choć wciąż nie całkiem przekonany, zaczął przygotowywać się do rozpoczęcia procedury poszukiwania osoby zaginionej, w tej roli obsadzając swojego siostrzeńca. Bączkowa metoda obdzwaniania polskich granic nie dała absolutnie żadnych rezultatów, należało zatem podjąć dodatkowe działania.

- Co robisz? - zapytał podkomisarz, zaglądając szefowi przez ramię.

Zwykle o tej porze Wilczyński oddawał się układaniu pasjansów, tymczasem teraz na jego monitorze świeciło się okno logowania do wewnątrzpolicyjnej bazy osób zaginionych.

- A na co ci to wygląda, Michaś? Waham się jak ta dziewica.

- Pasjansa postaw albo tarota. Pomoże ci w podjęciu decyzji.

- Żebym ja tobie tarota nie postawił, mądrało. Może od razu jakiegoś wróżbitę sprowadzimy i zapytamy, gdzie tego osła szukać?

- Jak podniesiesz larum, to pewnie kilku i tak się zgłosi. Musisz być na to gotowy.

- A ten, no, jak mu tam... Ten od Pruskich. Leszczyński!

- Lewczyński - poprawił go Bączek. - Co z nim?

- Pytałeś go, czy na Ukrainę albo do Kaliningradu nikt taki tam od nich nie przełaził? To wcale aż takie niemożliwe by nie było...

- Wysłałem mu zdjęcie, ale jeszcze się nie odezwał. Oni tam jakiś cyrk teraz mają. A w dodatku mają i Prusko, i Suryma na miejscu. Wyobrażasz sobie? - zaśmiał się szczerze.

- Wyobrażam sobie aż za dobrze. - Wilczyński się skrzywił. - Wolałbym sobie jednak nie wyobrażać. Zadzwoń do niego, Michałek, bo mam jakieś złe przeczucia. Ta Prusko to jakaś nasza nemezis jest. Wykluczmy chociaż to jedno.

- Dobra, dzwonię. - Podkomisarz sięgnął po komórkę i wybrał numer Andrzeja.

Lewczyński odebrał natychmiast, jakby czekał na ten telefon. Akurat szykował się do zakończenia pracy i miał jeszcze chwilę na ogarnięcie służbowych maili, bo zalegały mu z co najmniej dwóch dni. Nietrudno sobie wyobrazić, jak palił się do tej czynności, telefon od lubianego kolegi ucieszył go zatem ogromnie.

- Cześć, chłopie! - przywitał Bączka radośnie. - Co dobrego?

- No, cześć. Dobrego niewiele, ale i złego też nic się nie wydarzyło. Miałeś możliwość zajrzeć do maila ode mnie?

- Bez bicia się przyznaję, że jeszcze nie. Właściwie teraz miałem się za to zabrać.

- Byłbym ci bardzo wdzięczny - powiedział Bączek zgodnie z prawdą, a następnie ściszył głos i dodał: - Inspektor zaczyna świrować.

- Uważaj na słowa, smarkaczu - upomniał go ostrzegawczym tonem Wilczyński, który słuch miał wyjątkowo dobry. - A, Michaś! I powiedz komisarzowi Lewczyńskiemu, że zapomnieliśmy o znakach szczególnych.

- Słyszałeś? - zapytał Bączek Lewczyńskiego i włączył tryb głośnomówiący w telefonie.

- Jasno i wyraźnie. Co to za znaki, panie inspektorze?

- Mój siostrzeniec jest trochę inwalidą.

- W jakim sensie? - zapytał Andrzej.

- Kilka lat temu przeszedł operację wszczepienia endoprotezy biodra i teraz mu to pipczy na każdym lotnisku. Musi wozić ze sobą specjalny paszport.

W głośniku telefonu zapanowała cisza. Bączek sprawdził, czy nie przerwało połączenia, ale sekundy leciały dalej.

- Halo, Andrzej? Jesteś tam? - upewnił się.

- Michał? - odezwał się grobowym głosem Lewczyński. - Czy ja mogę do ciebie oddzwonić za chwilę?

Mężczyzna cierpliwie czekał, aż wszyscy pracownicy muzeum wyjdą ze środka, co zwykle zajmowało im około dziesięciu minut. Nie inaczej było i tym razem. Kwadrans po szesnastej wszystkie światła zgasły i ostatni naukowiec odjechał z parkingu.

Począł jeszcze chwilę, dopalając papierosa, ukryty między budynkami. Rozejrzał się uważnie i ruszył ku wejściu od ulicy Hożej. Sunąc korytarzem, czuł na karku przyjemne podekscytowanie, jak wtedy gdy był tu po raz pierwszy. Naprawdę minęło już dziesięć lat? Nie miał czasu, żeby sprawdzić, czy gabinet kustosa znajduje się w tym samym miejscu, musiał zaryzykować. Bezszelestnie zbliżył się do drzwi, na których wisiała ta sama co przed dekadą tabliczka o treści „Marek Bednarz - kustosz”. Wziął głęboki oddech, nacisnął klamkę i wszedł do środka. Drzwi zamknęły się za nim bezszelestnie.

Ustawione pod oknem potężne biurko uginało się pod stertami dokumentów, zza których ledwo wystawał czubek ludzkiej głowy. Głowa musiała być bardzo zajęta, nie zauważyła bowiem, kiedy mężczyzna wszedł do środka i jak polujący kot zbliżył się do niej. Popołudniowe słońce schowało się już po drugiej stronie budynku, w pokoju panował więc przyjemny

półmrok. Mężczyzna podszedł do biurka niemal na wyciągnięcie ręki, po czym zatrzymał się i chrząknął.

- Kto? ... Ach, to ty. - Sześćdziesięcioletni mężczyzna podniósł się zza biurka i zdjął okulary w szylkretowych oprawkach. Przetarł oczy, w których widać było przemęczenie, a następnie ruszył ku mężczyźnie. - Co tu robisz?

- Odwiedzam stare śmieci. Potrzebuję czegoś od ciebie.

- Przyjdź jutro, mam coś pilnego do napisania.

- Jutro już mnie tu nie będzie. Nie zajmę ci dużo czasu, dasz mi to, po co przyjechałem, i możesz wracać do swojej pracy.

- Dlaczego nie przyszedłeś w godzinach urzędowania? Nie wiem, czy mam klucze.

- Nie będą ci potrzebne. - Mężczyzna sięgnął po zakurzoną teczkę leżącą na szczycie niedbale ułożonej sterty.

- O co chodzi? Czego ode mnie potrzebujesz? - Kustosz wyglądał na wystraszonego, ręce usiane plamami wątrobowymi zaczęły mu lekko drżeć.

Nie uszło to uwagi mężczyzny, na którego twarzy wykwitł nieładny uśmiech.

- Nie bój się, nic ci nie grozi. O ile będziesz współpracował, rzecz jasna.

- Czego chcesz?! - Bednarz podniósł głos.

- Ciii, nie krzycz, przecież i tak nikt cię nie usłyszy. List od Rabskiego.

- Jaki list?

- Nie bądź głupi. Daj mi ten list i więcej mnie nie zobaczysz. Słowo harcerza - zaśmiał się paskudnie mężczyzna, ale w jego oczach nie było ani krztyny wesołości.

- Profesor Rabski nie żyje. Zmarli nie mają w zwyczaju pisać i wysyłać listów.

- Nie mają także w zwyczaju prowadzić wykładów, więc jeśli zależy ci na skończeniu tego referatu, daj mi list, który przed

śmiercią wysłał do ciebie Rabski.

- To była prywatna korespondencja między przyjaciółmi, nic ci do tego. - Kustosz próbował stawić opór.

Mężczyzna zniecierpliwiał się i podszedł do Bednarza na odległość kilku centymetrów. Kustosz odruchowo zgarbił się i skulił, co tylko podkreśliło dysproporcje między nimi. Przybyły był wyższy od niego co najmniej o głowę, a teraz wydawał się niemal olbrzymem.

- Nie mam go przy sobie, jest w domu - wyszeptał muzealnik z przerażeniem.

- Nie mówisz prawdy - syknął tamten i rzucił teczkę na podłogę. - Niestety, ja także nie mam tego w zwyczaju, to bardzo nieopłacalne. List!

Strach okazał się silniejszy. Bednarz wstał i trzęsącymi się rękami wyjął z kieszeni spodni pęk kluczy, jednym z nich otworzył szufladę biurka i podał kopertę mężczyźnie. Był pewien, że tę bitwę już przegrał. Możliwe, że przegrał też wojnę, ale nadzieja umiera ostatnia.

- Doskonale, dziękuję ci bardzo. A teraz bądź grzeczny i usiądź na krześle. Tak jak obiecałem, więcej mnie już nie zobaczysz.

- Nie ujdzie ci to płazem - wyszeptał Bednarz, a w jego oczach błyszczały łzy. - Rabski cię przejrzał, przejrzą cię i inni. To tylko kwestia czasu.

- Tak myślisz? - zaszydził mężczyzna, patrząc na starca lodowatym wzrokiem. - No cóż, zaryzykuję. Jak dotąd całkiem nieźle mi idzie, nie sądzisz? Dobrze, to ja będę się już żegnał.

Niespiesznie skierował się do drzwi, pogwizdując. Nagle się zatrzymał, podrapał po głowie i odwrócił do kustosza. Jego twarz przypominała teraz wizerunki słowiańskich upiórów, których podobizny Bednarz widział niezliczoną ilość razy w studiowanych przez dekady monografiach.

- Wiesz co... - odezwał się cicho niechciany gość. - Chyba masz rację. Nie mogę ryzykować. A ty chyba i tak mi nie uwierzyłeś, mądry z ciebie gość.

Obrócił się na pięcie i z zaskakującą szybkością znalazł się przy kustosz. Bednarz zdążył jeszcze wydać z siebie okrzyk przerażenia, zanim wielkie dłonie zacisnęły się na jego gardle.

Andrzej odłożył telefon i zastygł w bezruchu. Czuł, że atak histerycznego śmiechu czai się już w okolicach lewego ucha, ale ostatkiem silnej woli powstrzymał go i zmusił się do spojrzenia na ekran komputera. Nie wierzył w zbiegi okoliczności, choć ostatnie tygodnie obfitowały w te niewytłumaczalne zjawiska. On jednak - wykształcony inżynier - uparcie starał się je racjonalizować. Wiadomość od Bączka mogła szybko to zmienić.

Patryk Mączka, syn Danuty i Zdzisława, trzydziestoletni magister etnologii. Bez najmniejszej nadziei na pomyłkę Lewczyński otworzył załącznik zawierający portretową fotografię, na której uwieczniono nieśmiały uśmiech mężczyzny spoczywającego w łodówce Zakładu Medycyny Sądowej Uniwersytetu Medycznego w Białymstoku. Maciejewski i doktor Kuncewicz mogli dać sobie spokój z poszukiwaniem producentów endoprotezy, nawet bez tego Bioderko odzyskał tożsamość. Co gorsza - wraz z nią odzyskał rodzinę w postaci inspektora Kazimierza Wilczyńskiego i sprawa nabrała nowego wymiaru.

- Niech to wszystko drzwi ścisną! - krzyknął Andrzej i zaczął się śmiać. Śmiał się tak długo, aż zachrypl i wesołość zaczęła go opuszczać.

- Krzyczałeś? - Sławomir Lubiewicz wetknął głowę przez uchylone drzwi do gabinetu Andrzeja. - Wszystko w porządku?

- A gdzie tam w porządku. - Komisarz wykonał zapraszający gest ręką. - Wiem już, kim jest nasz denat.

- To chyba dobra wiadomość? Trzeba poinformować rodzinę, wezwać do identyfikacji i zebrać informacje wiktymologiczne.

- Usiądź sobie, Sławuś, usiądź - poprosił Andrzej, wskazując kuzynowi fotel. - To, co mam ci do powiedzenia, lepiej przyjmować na siedząco.

- Nie strasz mnie, Jędrzek, bez takich. Mów szybko, kto to jest, bo muszę lecieć. Mamy potrąconego i potrzebują mnie na miejscu.

- Jak potrącony, to raczej nie ucieknie, skup się. Pamiętasz moich kolegów z Wrocławia? Bączka i Wilczyńskiego? To oni pracowali nad sprawą Wierszyckiej.

- Sklerozy jeszcze nie mam, bracie, bądź łaskaw płynąć do brzegu - zniecierpliwił się zastępca komendanta.

- Poprosili mnie o pomoc w ustaleniu, czy siostrzeniec Wilczyńskiego przypadkiem gdzieś u nas nie wypłynął. Podobno ma tendencję do znikania i pojawiania się w różnych miejscach kraju.

- Przemyt?

- Gorzej. Badania etnograficzne, robi doktorat z kultury ludowej.

- Tak jak ta twoja Edyta? - zainteresował się Lubiewicz.

- Dokładnie tak samo. A w zasadzie powinienem powiedzieć: identycznie. Razem studiowali, tylko ona w porę zmądrzała i została tłumaczem.

- Czekaj... - Kuzyn Andrzeja spojrział na niego z uwagą. - Ty chcesz mi powiedzieć, że ten Bioderko to nie tylko zna Edytę Prusko, ale jest krewnym inspektora wrocławskiej policji kryminalnej, która w dodatku rozwiązała sprawę morderstwa w kręgu teźże Edyty Prusko?

- Dwie sprawy, Sławciu, dwie kryminalne sprawy, w których pojawiła się Edyta Prusko. I właśnie pojawiła się w trzeciej. Na naszym podwórku, w Augustowie.

- Ożeż, kura przez „wu”! - wrzasnął Lubiewicz i usiadł raptownie na fotelu, z którego chwilę wcześniej użytku nie zrobił. Kilka miesięcy temu obiecał synowi, że przestanie przeklinać, i zasada ta weszła mu już w krew. - No to się Maciejewski ucieszy...

Komisarz Lewczyński w zupełności podzielał opinię swojego kuzyna i już skręcało go w żołądku na myśl o radości, jaką okaże prokurator Maciejewski, gdy się dowie, że przypadkowy denat nagle stał się nie tak bardzo przypadkowy, a właściwie wcale. Jeszcze bardziej skręcało go na myśl o tym, że musi tę smutną nowinę przekazać inspektorowi Wilczyńskiemu. Najbardziej jednak obawiał się tego, co powiedzą wszyscy zainteresowani, gdy się dowiedzą, że Edyta Prusko po raz trzeci występuje w roli gwiazdy.

Emil Mirosławski, zaskoczony informacją o walnym zgromadzeniu zwołanym przez panią Krystynę, ani myślał ukrywać swojego na ten temat zdania. Machając rękami, w których trzymał błyszczące insygnia kucharza, wykrzykiwał liczne klątwy pod adresem swojej pracodawczynie, lecz ta zdawała się w ogóle tym nie przejmować. Z godnym podziwu spokojem, niczym kwiat lotosu, popijała herbatę z ulubionej filiżanki, radośnie kiwając prawą nogą.

- Skończyłeś, nerwusie? - zapytała uprzejmie, kiedy Emil zrobił pauzę na zaczerpnięcie tchu. - I po co się tak unosisz? Zawału jeszcze dostaniesz albo udaru jakiego. Co tobie za różnica, czy gotujesz dla trzech czy dla siedmiu osób?

- Siedmiu?! Jakich siedmiu? Henryka nie ma, skąd ty nagle siedem osób wytrzasnęłaś?!

- Basia z Tadeuszem i Edytą to trzy. Patinka i nowy brat Tadeusza to pięć. Ja, Andrzej i Rafał, mąż Edyty... Masz rację, w sumie osiem.

- Ty mnie do grobu wpędzisz, Krystyna! Masz szczęście, że ja nigdy wymierzyć nie potrafię i zawsze mi górka wychodzi!

- To prawda, Emilu, jestem prawdziwą szczęściarą - odparła z uśmiechem pani Prusko i dla odmiany pokiwała lewą nogą. - No to leć, mój skarbeńku, bo czasu nam zostało nie za wiele, na osiemnastą ich zaprosiłam.

- Zobaczysz, kiedyś stąd odejdę! - syknął czerwony ze złości kucharz i ruszył w stronę kuchni. Parskał przy tym jak wściekły koń, brakowało tylko, żeby zarżał.

- Obiecanki cacanki, a naiwnej Krysi zgrzytanie zębami - pożegnała go pracodawczyni, ani na chwilę nie przestając radośnie machać nóżką.

Emil wrócił do kuchni, a babcia Prusko zrobiła czwarte już podejście do nagrodzonej książki. Niestety i tym razem była to próba nieudana. Błogą ciszę panującą w saloniku wypełnił bowiem nagle potężny ryk Patinki, która niczym furia zbiegła ze schodów. Zatrzymała się dopiero na fotelu, w którym siedziała pani Krystyna. Zaalarmowana niecodziennym hałasem Edyta wyłoniła się z drugiej strony pokoju z telefonem przy uchu.

- Otwierajcie szampana! Dwa szampany! Nie, trzy szampany dla każdego! - krzyczała właścicielka wydawnictwa, podskakując radośnie w dzikich płasach.

- Dobrze się czujesz? - zapytała zaniepokojona Edyta, na wszelki wypadek zachowując bezpieczną odległość.

- Doskonale, wspaniale, chce mi się tańczyć! - śpiewała Patinka, wywijając piruety wokół stolika.

- Nie wkładałaś paluchów do kontaktu? - upewniła się pani Krystyna, z zaciekawieniem przyglądając się wygibasom swojego gościa. - Na górze napięcie mamy niskie, to pewnie by

jej nie zabiło, ale trochę popieścić mogło - wyjaśniła wnuczce, która wciąż tkwiła w progu z otwartymi ustami.

- Nie mam tylu butelek szampana! - gorączkował się Emil, wbiegając do pokoju z naręczem trunków ze szczepu chardonnay. - Muszę jechać do Białegostoku!

- Na głowę upadłeś? - syknęła pani Krystyna. - Nigdzie nie będziesz jechał, kieliszek, góra dwa, każdemu wystarczy. W totolotka nikt nie wygrał.

- Ja się czuję, jakbym wygrała, pani Krysiuniu kochana! - szczebiotała Patinka. - Nie będę egipską teściową! Islam pokonany!

- Muszę jednak zakleić te kontakty... - skwitowała z niesmakiem pani Prusko, spoglądając na przyjaciółkę Edyty spod przymkniętych powiek.

- Waćpanna się ocknęła?! - Edyta natomiast w mig pojęła źródło radości swojej pracodawczyni i zaczęła machać rękami, jakby chciała odlecieć. - Zerwała zaręczyny z egipskim Arabem?!

- No!!! Zerwała! Puściła go do diabła czy gdzie tam tych Arabów islamskich się puszcza!

- O Jezu, o Jezu, to wspaniale! - Teraz już obie skakały po pokoju, ściskając się co chwilę. - Widzisz? Mówiłam ci, że to tylko kwestia czasu.

Emil wycofał się do kuchni, ze smutkiem konstatując, że przyszło mu żyć wśród szaleńców, pani Krystyna ostentacyjnie otworzyła książkę w miejscu, do którego na pewno nie zdążyła jeszcze dotrzeć, cierpliwie czekając, aż dwie wariatki przestaną odstawiać cyrk. Przyszło jej czekać kilka długich minut.

- Ufff, jaka ja jestem szczęśliwa - sapała Patinka, kiedy wreszcie opadła ciężko na kanapę. - Ty sobie wyobrażasz?

- Trochę sobie wyobrażam, chociaż ani przez chwilę w to nie wątpiłam. Mówiłam ci, że masz mądre dziecko. - Edyta usiadła

obok przyjaciółki i położyła głowę na jej ramieniu. – Poza tym jakoś nie wierzę, że mogłaby w hidżabie latać.

– Teraz to się znowu nazywa „apaszka”, wiesz? I śmierdzącej baraniny nie musi jeść, oesu, ale ulga!

– Teraz może schabowe wsuwać bez ograniczeń i nie mieć z tego tytułu żadnych wyrzutów sumienia, nie? – rozmarzyła się Edyta i poczuła, że chyba już jest głodna. – Powinna była w trakcie rozmowy wideo zreć parówki.

– Wpierdzieliła całą michę pierogów ze skwarkami i mlaskała nieustannie – pochwaliła dziecię Patinka. – Moja krew. Nawet z tego szczęścia odechciało mi się rozwodzić z Jankiem. To w zasadzie jego zasługa.

– Jak to? – zaciekała się Edyta.

– Od początku miał obmyśloną strategię: okazywał wsparcie, chociaż tyłek mu nieźle ścisnęło. Nie mówił o Arabie niczego złego, kochać i szanować kazał. Miszcz.

– Musisz mieć bardzo zdrową na umyśle córkę, Patinka – wtrąciła się pani Krystyna. – Ja tę strategię stosowałam na mojej wnuczce i niestety sukcesów nie odniosłam.

– Oj tam, babciu – Edyta machnęła ręką – lepiej późno niż wcale. Na wszystko przychodzi właściwa pora.

– Bosz, jak dobrze, że na moje dziecię przyszła szybciej, bo jakby tak miała się rozwodzić, będąc w ciąży z arabskimi bliźniętami, to ja bym chyba oszalała.

Do wyznaczonej godziny obiadu pozostawało jeszcze trochę czasu, który pani Krystyna wykorzystała na czytanie, Edyta na drzemkę, a Patinka postanowiła pomóc Emilowi, co spowodowało się do umilania mu pracy plotkami ze świata celebrytów. Tuż przed osiemną do Stanicy przybyli państwo Pruskowie, zaraz po nich zjawił się Mateusz Roszkowski. Punktualnie o osiemnastej Edyta spróbowała dodzwonić się do Andrzeja, ale ten nie odbierał, telefon Rafała zaś był wyłączony.

- *Déjà vu* mam - bąknął Emil do Patinki, spojrzawszy na zegar, który pokazywał kwadrans po szóstej. - Ostatnio tak czekaliśmy na Martynę.

- Tę od Ulki? Wierszycką? - upewniła się wydawczyni.

- Yhy. Krystyna mówiła, że ma być, a w końcu jej nie było, bo ją we Wrocławiu zatrzymali.

- I co, myśli pan, że Rafałek do Wrocławia pojechał?

- Albo to, albo coś innego.

- No tak, logiczne. - Pokiwała głową. - Może mu się coś stało? Wiecznie ktoś go po łbie wali, to może i teraz gdzieś się napatoczył.

- Mnie już by nic nie zdziwiło - podsumował z powagą mistrz kuchni i wyłączył gaz pod garnkiem z zupą cebulową. - Ale czekać na nich na pewno nie będziemy, osiemnasta to osiemnasta, studencki kwadrans minął.

- I bardzo słusznie, głodna jestem jak nie wiem co i dłużej nie wytrzymam.

Dokładnie w chwili, w której brzuch Patinki głośnym bulgotaniem potwierdził prawdziwość jej słów, drzwi do Stanicy się otworzyły i do środka wszedł Andrzej wyglądający jak siedem nieszczęść.

- Dzień dobry państwu - odezwał się cicho. - Przepraszam za spóźnienie, nieoczekiwanie musiałem odwiedzić szpital.

- Co się stało?! - Edyta zatrzymała się w pół kroku w trakcie rozstawiania kieliszków do szampana, o których wcześniej zapomnieli.

- A stało się, stało. - Pokiwał głową ze smutkiem. - Czy mogę dostać wody? W gardle mi zaschło.

- Proszę, pij i siadaj. - Mama Edyty podała mu szklanekę i wskazała ręką dwa wolne krzesła. - Rafała wciąż nie ma, więc możesz sobie miejsce wybrać.

- Dziękuję, pani Basiu. - Andrzej uśmiechnął się blado. - Rafała nie będzie. Jest w szpitalu. Potrącił go samochód.

Po tej informacji wszyscy zaczęli mówić w jednym momencie i w zasadzie to samo:

- Gdzie?! Kiedy?! Jak?!

Tylko Emil, stojący z boku z chochłą w dłoni, niczemu się nie dziwił. Za to Patinka spojrzała na niego z przestrawieniem.

- Skąd pan wiedział? - wyszeptała.

Kucharz tylko uniósł brwi, co oznaczać miało: „A nie mówiłem?”, po czym cmoknął głośno.

- Co z nim? - zapytała pani Krystyna rzeczowym tonem.

- Nieprzytomny. - Andrzej przełknął kolejny spory haust wody. - Prawdopodobnie ma połamane nogi, wstrząśnienie mózgu i pęknięte żebra, więcej dowiemy się jutro rano. Trzymają go na OIOM-ie, prokurator już tam jedzie.

- Dlaczego prokurator? - zainteresował się siedzący dotąd cicho Mateusz Roszkowski. - To standardowa procedura?

- O, nie zauważyłem pana. Bardzo przepraszam, komisarz Andrzej Lewczyński - przedstawił się, wyciągając rękę.

- Mateusz Roszkowski, major lotnictwa. - Nieznajomy odwzajemnił uścisk.

- I nowy krewny Tadzika - dodała pani Krystyna, żeby wszystko już było jasne. - No to dlaczego ten prokurator?

- Usiłowanie zabójstwa - powiedział Lewczyński. - Ktoś celowo potrącił Suryma, nie ma co do tego żadnych wątpliwości.

- Co? Dlaczego ktoś miałby go celowo potrącać? - oburzyła się Edyta. - Poza mną? Ale ja tego nie zrobiłam!

- Mamy zeznanie świadka, który widział, jak samochód przez chwilę jechał wolno za Rafałem, a następnie wjechał gwałtownie na chodnik i uderzył prosto w niego. I oczywiście natychmiast odjechał.

- Skoro to nie byłeś ty, Edytka, ani ja - zastanawiała się na głos Patinka - to może to był jakiś psychopatyczny socjopata, który wybrał sobie na oślepię ofiarę i akurat trafiło na Rafała. Co pan na to, panie komisarzu? - zwróciła się do przystojnego policjanta.

- To możliwe, choć mało prawdopodobne. Na pewno nie w top trzy.

- Bo co? - Krystyna Prusko zmrużyła oczy, trafnie się domyślając, że policja ma już swoją teorię, która jest zarazem prawdopodobna i możliwa.

- Dajcie mi może coś mocniejszego: whisky, bourbon, ostatecznie może być wódka - poprosił komisarz, poluzowując kołnierzyk koszuli. - Nie wiem, od czego zacząć w ogóle... Pana Henryka nie ma?

- Nie ma, nie ma, włóczy się po tajnych misjach. - Pani Krystyna wyraźnie się ożywiła i z zainteresowaniem czekała na ciąg dalszy.

- To niedobrze... A może przypadkiem jest we Wrocławiu? - zapytał z nadzieją w głosie policjant. Z wdzięcznością przyjął od Edyty szklanekę z całkiem sporą ilością whisky i wypił jej zawartość jednym łykiem.

- Nie wiem, gdzie jest, mówiłam przecież, że to tajna misja. A co ty z tym Wrocławiem znowu? Kompleksy jakieś masz czy co?

- Babciu, daj mu powiedzieć - wstawiła się za Andrzejem Edyta, rozumiejąc, że sprawa jest co najmniej skomplikowana. Aż dziw, że Lewczyński nie turlał się po podłodze ze śmiechu.

- Sprawa jest, delikatnie mówiąc, zamotana jak korale mojej babci. Sam właściwie nie wiem, od czego zacząć, bo nie mam pojęcia, gdzie jest początek.

- To może chronologicznie opowie pan zdarzenia, tak jak je odkrywał, co pan na to? - odpowiedział Mateusz Roszkowski,

któremu coraz bardziej podobały się panujące w rodzinie Prusków obyczaje.

- Dobry pomysł, szampana mu dać! - podchwyciła Patinka, na co Emil zareagował niezwłocznie, przynosząc dwie butelki musującego napoju.

- Chronologicznie? No więc dobrze. To chronologicznie było tak: znaleźliśmy nieznane zwłoki na bulwarach, zaczęliśmy poszukiwania świadków, zgłosił się do nas Nowakowski, że gość z jego hotelu zaginął, zadzwonił do mnie Bączek, że siostrzeniec Wilczyńskiego zaginął, w trakcie sekcji odkryli implant biodra, Surym powiedział, że Edyta zna denata, Bączek wysłał zdjęcie siostrzeńca Wilczyńskiego, Suryma ktoś przejechał, denat to siostrzeniec Wilczyńskiego i kolega Edyty ze studiów.

W pokoju zapadła idealna cisza i wszystkie oczy spoczęły na dziewczynie.

- Patryk jest siostrzeńcem inspektora Wilczyńskiego? - wybąkała po chwili, wciąż nie mogąc pojąć, co tak właściwie się wydarzyło.

- Teraz rozumiem, dlaczego pytałeś o Henryka - stwierdziła gorzko pani Krystyna. - W takim bajzlu to ty nigdy niczego nie rozwiążesz. Nic nie rozumiem. A pan, panie Mateuszu? Pan zrozumiał, co tam się wydarzyło?

- Właściwie tak... Ale, panie Andrzeju, mam jedno pytanie do pana. - Roszkowski mówił tonem, który doskonale pasował do jego profesji, a równocześnie budził zaufanie. - Ten Surym, o którym pan mówi, to przypadkiem nie jest Rafał Surym?

- No jest - potwierdził zaskoczony Lewczyński. - A pan skąd go zna?

- Dziwny zbieg okoliczności, poznałem go w drodze do państwa, kilka dni temu. Nie mam w zwyczaju zabierać autostopowiczów, ale jakoś tak żał mi się go zrobiło i z oczu tak dobrze mu patrzyło, że zrobiłem wyjątek.

- Rafałowi dobrze z oczu patrzyło? Niemożliwe - odezwała się Edyta. - Jest pan pewien, że to o Rafała Suryma chodziło, mojego męża?

- A, pani męża, a to bardzo mi przykro, nie wiedziałem... W każdym razie dokładnie tak się przedstawił: Rafał Surym z Wrocławia.

- Trochę to dziwne, bo przecież przyjechał do nas własnym samochodem - dodała w zamyśleniu pani Basia. - Pamiętacie?

- Faktycznie! - podchwyciła Patinka. - Wozem był przecież wtedy u was. To dlaczego pan go zgarniał na stopa? - zwróciła się do Roszkowskiego.

- Trudno mi powiedzieć. - Mężczyzna wzruszył ramionami i popatrzył na zgromadzonych smutnym wzrokiem. - Odniosłem wrażenie, jakby się ukrywał przed kimś, jakby starał się zmylić trop. No, ale chyba jednak mu się nie udało, skoro ktoś go rozjechał...

- Zaraz, momencik, dlaczego odniósł pan wrażenie, że ktoś go śledził? Widział pan kogoś? Albo słyszał? - Myśli Lewczyńskiego wróciły już na właściwe tory.

- Hmm - zaczął z namysłem Roszkowski - raczej wywnioskowałem to z jego opowieści. Jechaliśmy razem przez ponad dwie godziny i przez cały ten czas pan Surym opowiadał o jakiejś sprawie kryminalnej czy też może o dziennikarskim śledztwie? Szczerze mówiąc, nie przywiązywałem wtedy do tego wagi. A potem zameldowaliśmy się w tym samym hotelu, ale później już więcej go nie widziałem. Byłem pewien, że wyjechał.

- To pan! - Andrzej pacnął się w głowę. - To pan mi został do przesłuchania, a nie było pana w hotelu.

- Faktycznie, nie było mnie. Wybrałem się na zwiedzanie za radą pani Krysi.

- I co dokładnie on panu opowiadał, ten Surym, o śledztwie? Zdradził jakieś szczegóły? Nazwiska? Okoliczności? -

dopytywał Andrzej, starając się zrozumieć, co tu się wydarzyło.

- Muszę się chwilę zastanowić - rzucił Roszkowski, spoglądając na pustą szklanekę Lewczyńskiego, a po niedługim czasie podjął wątek: - Opowiedział mi historię jakiegoś wypadku, który w rzeczywistości nie był wypadkiem. Zdaje mi się, że chodziło o jakiegoś naukowca, profesora bodaj, który niedawno zginął, a ten młodzieniec, pan Surym, wziął sobie za punkt honoru, żeby znaleźć dowody na popełnienie zbrodni.

- I ta zbrodnia czy też wypadek miała miejsce w Augustowie? - Lewczyński wysilał umysł, żeby przypomnieć sobie ostatnio dokonane w jego rejonie przestępstwa. - Ten profesor był nasz, lokalny?

- Tego, niestety, nie wiem. W zasadzie to ja nie przywiązywałem wagi do tej opowieści, zdawało mi się, że pan Surym nieco konfabuluje albo zbiera materiał do jakiegoś kryminału.

- Ale mówił pan, że się bał kogoś albo czegoś - zauważyła Edyta.

- No tak, takie odniosłem wrażenie. Był niespokojny, cały czas zerkał w lusterka.

- Trudno mi w to wszystko uwierzyć - zawyrokowała dziewczyna, marszcząc nos.

- Ależ, pani Edyto, ja niczego nie zmyślam! Naprawdę tak było!

- Nie twierdzę, że to, co pan mówi, nie jest prawdą. Chodzi o to, że w żaden sposób nie pasuje do mojego męża. Ciężko mi uwierzyć, że zajęłby się rozwiązaniem sprawy kryminalnej, wie pan, to zupełnie niezgodne z jego charakterem. Jakby tak minister skarbu podał nieprawdziwe liczby, o, to wtedy Rafał Surym osobiście pofatygowałby się na Wiejską i nie zawahał przykuć do balustrady. Ale morderstwo? Profesora? To naprawdę niemożliwe.

- Niemożliwe, niemożliwe, a jednak leży teraz pogruchotany jak ten pacholek z placu manewrowego. Czyli jednak słusznie się bał - zaproponowała pani Krystyna.

- Tylko kogo? I dlaczego w Augustowie?! Przecież on tu był dwa razy w życiu, nikogo nie znał.

- Kogoś chyba znał... - odezwał się Andrzej. - Znał Patryka.

- Patryk nie jest augustowianinem - odburknęła Edyta. - To jest kolejne pytanie, które domaga się odpowiedzi. Co on tu robił?

Pytanie zostało zawieszona, tak zresztą jak dalsza rozmowa na tematy nieliczące z kolacją w kulturalnym gronie, o co postarał się Emil. Bez pardonu wjechał do jadalni z wózkiem pełnym delikatesów, których zapach obudziłyby zmarłego. Wkrótce też pani Basia poczuła się zmęczona, postanowiono więc przenieść spotkanie na następny dzień, co w zasadzie wszystkim obecnym odpowiadało. Tylko Andrzej z przykrością musiał odmówić uczestnictwa, z samego rana bowiem zaczynał służbę.

Pod wpływem emocjonujących rewelacji i tajemnic śledztwa pani Krystyna zupełnie zapomniała, że zależało jej na rozmówieniu się z Mateuszem Roszkowskim, którego życiorys nie znajdował potwierdzenia w przejrzanych dokumentach. Gwoli ścisłości, nie udało jej się znaleźć żadnego dokumentu potwierdzającego istnienie jakiegokolwiek doktor Roszkowskiej, która mogłaby romansować z Januszem Dąbrowskim. Poza plotkami zdobytymi na targu nie istniał żaden ślad po pięknej Janince.

Wiadomość o odnalezieniu Patryka dotarła do Wrocławia drogą oficjalną, poprzez zastępcę komendanta Komendy Miejskiej w Augustowie w osobie Sławomira Lubiewicza. Lubiewicz nie znosił przekazywać tego typu informacji rodzinom ofiar, tym

razem jednak postanowił wziąć na siebie ten przykry obowiązek, wiedząc, że Lewczyński mógłby zadaniu nie podołać. Zadzwoił więc do inspektora Kazimierza Wilczyńskiego i w żołnierskich słowach przekazał mu informację o zidentyfikowaniu ofiary morderstwa jako Patryka Mączki. Kazimierz Wilczyński wiadomość przyjął lepiej, niż można było się tego spodziewać, w czym zapewne pomogło wieloletnie doświadczenie w pracy w policji kryminalnej. Prawdopodobnie jednak należało założyć, że znalazł się pod wpływem szoku.

- Jest pan pewien, komendancie? - zapytał po chwili milczenia Wilczyński tonem zarezerwowanym dla spraw służbowych. - Macie jego dokumenty? Rzeczy osobiste?

- Niestety nie. Nigdzie nie udało się odnaleźć jego portfela, dokumentów ani kluczy. Miał jakieś klucze w ogóle?

- Może to zatem nie Patryk - odparł z nutką nadziei w głosie wrocławski policjant, zupełnie ignorując idiotyczne pytanie o klucze. - Skoro nie macie jego rzeczy, jest szansa.

- Panie inspektorze - westchnął Lubiewicz - nasz denat posiada implant stawu biodrowego i został rozpoznany przez dwóch świadków.

- Co?! - zdziwił się Wilczyński. - Jakich świadków? Przecież on nie stamtąd!

- Yyy... No, wie pan, ludzie się znają. W dobie globalizacji w zasadzie wszyscy się znamy, prawda?

- Co mi tu pan pierdusi o jakichś globalizacjach?! - Nerwy Wilczyńskiego zdawały się puszczać. Oddech mu niebezpiecznie przyśpieszył, głos stał się niemal piskliwy.

Lubiewicz nagle poczuł się niepewnie. Nikt go nigdy nie nauczył radzenia sobie w takich sytuacjach.

- Panie inspektorze, proszę się uspokoić. Bardzo pana proszę, przecież ja nie jestem pana wrogiem. Oczywiście

identyfikacja rodziny jest niezbędna, ale mamy niemal sto procent pewności, że nasz denat to pański siostrzeniec.

- Kim są ci świadkowie? To wiarygodni ludzie? Znaście ich? Kto to jest?! Skąd znali Patryka?

- Właściwie to pan również ich zna i w zasadzie może nawet panu łatwiej będzie ocenić, czy są wiarygodni. Ja znam ich tylko z opowieści.

- No, wyduś to wreszcie z siebie, człowieku, bo mnie tu zaraz szlag trafi na miejscu, a chciałbym jeszcze pożyć - syknął Wilczyński i zamknął oczy, doskonale już wiedząc, co usłyszy w słuchawce.

- Ostatnią osobą, która widziała Patryka żywą, był niejaki Rafał Surym, mieszkaniec Wrocławia.

- Mówił pan o świadkach. W liczbie mnogiej - przypomniał mu inspektor pełnym jadu głosem.

- Rozpoznała go także Edyta Prusko, żona Suryma. Powiedziano mi, że pan ich zna.

- Dobrze panu powiedziano. Znam, niestety, znam.

- Niestety? - zdziwił się Lubiewicz. - Sądzi pan, że mogą mieć jakiś związek ze sprawą?

- A pan ma co do tego jakiegokolwiek wątpliwości? - Oddech Wilczyńskiego się uspokoił, a głos na powrót przybrał zwykły ton.

Przez chwilę obaj policjanci milczeli, zatopieni we własnych myślach. W końcu Wilczyński odezwał się cicho:

- Wie pan, w ogóle nie czuję się zaskoczony. Powiem panu więcej: to była wyłącznie kwestia czasu, kiedy tych dwoje znowu w coś się wpakuje.

- Sądzi pan, że powinienem uwzględnić ich w sprawie?

- Byłby pan idiotą, nie robiąc tego. Odkąd Edyta Prusko i jej małżonek pojawili się w moim świecie, spodziewam się naprawdę wszystkiego.

- Z Surymem będzie łatwo - rzucił Lubiewicz. - Gorzej z tą Prusko. Wiecznie gdzieś się pałęta.

- A Surym to co? Korzenie zapuścił?

- Można tak powiedzieć... - zachichotał Lubiewicz. - W szpitalu leży, ktoś go rozjechał. Wyobraża pan sobie?

- Doskonale to sobie wyobrażam - westchnął Wilczyński. - I w ogóle nie jestem zdziwiony. Proszę dać mi czas na dotarcie do was. Wolałbym, żeby moja siostra nie musiała fatygować się do Białegostoku, sam zajmę się formalnościami. - Wilczyński się rozłączył, uprzednio podawszy Lubiewiczowi numer swojego telefonu komórkowego, i natychmiast wezwał do siebie Bączka. - Pakuj się, Michaś. Mahomet jedzie do góry.

- Co? Do jakiej góry i dlaczego to ja jestem Mahomet? - Bączek skrzywił się nieładnie, wyraźnie niezadowolony.

- Jedziemy na Podlasie. Ten twój Lewczyński znalazł Patryka.

Podkomisarz zamrugał oczami i potrząsnął głową, jakby usiłował odgonić natarczywego owada. Widząc minę przełożonego, zrezygnował z zadawania kolejnych pytań, trafnie dedukując, że nie na wczasy na Mazury jadą. Odmaszerował natychmiast, czując nieprzyjemny ucisk w żołądku.

Komisarz Lewczyński zjawił się w szpitalu Uniwersytetu Medycznego w Białymstoku tuż po godzinie siódmej rano. Poprzedniego wieczora, w trakcie obiadu w Stanicy, otrzymał wiadomość, że Surym odzyskał przytomność, i miał nadzieje, że będzie w stanie cokolwiek mu powiedzieć. Przy okazji przypomniał sobie rozmowę z Bączkiem, która okazała się niemal profetyczna. Co za klątwa ciąży nad tą rodziną, do diabła?! Przechodząc szpitalnymi korytarzami, modlił się, żeby nie spotkać...

- Andrzej? - Usłyszał zza pleców i zatrzymał się natychmiast.

- Dzień dobry, tato.

Profesor Roman Lewczyński spoglądał na syna z ciepłym uśmiechem. Jego smagła przystojna twarz nie zdradzała wieku, który kwalifikował go do odejścia na emeryturę. Białe włosy wciąż były gęste i jak zawsze starannie ostrzyżone. Szylkretowe oprawki okularów dodawały mu uroku i powagi kojarzącej się z intelektualistami. Ojciec komisarza Andrzeja Lewczyńskiego należał do kategorii mężczyzn, których kobiety bez zastanowienia określały mianem pięknych.

- Wspaniała niespodzianka, synku. Postanowiłeś wreszcie znaleźć czas na kawę z ojcem? - zapytał z uśmiechem profesor, przytulając wyższego od siebie o kilka centymetrów syna.

- Bardzo bym chciał, tato, ale niestety dzisiaj wezwwała mnie służba.

- No cóż, nadzieja zawsze umiera ostatnia. Szukasz Iwony?

- Tym razem akurat odwiedzam żywych - zażartował Andrzej, ruszając w kierunku sali, w której leżał Surym. - I wolałbym, żeby tak zostało. Profesor Kuncewicz zostawiam Maciejewskiemu. Nie widziałeś go przypadkiem?

- Dzisiaj, na szczęście, nie. Chodź, odprowadzę cię do twojego żywego, ale potem musisz koniecznie wpaść do mnie na kawę. Pierwszą operację mam zaplanowaną na dziesiątą, może zdążysz? - Lekarz objął syna ramieniem. - Dostałem nowy ekspres, grzech nie skorzystać.

- Postaram się, tato. Niczego nie obiecuję, bo wiesz, jak jest, w każdej chwili mogą mnie wezwać. To tu. - Wskazał na drzwi prowadzące do pokoju, w którym leżał Surym.

- Postaraj się, synku. Zbyt rzadko cię widzę. - Uścisnął go mocno i zmierzwił blond czuprynę jak wtedy, gdy Andrzej był pięcioletnim urwisem. - A w sobotę przyjdź do nas na obiad, Karolina też już wróci znad morza. Mama się ucieszy.

- Jasne, tato. Dzięki. Ucałuj mamę, gdybyśmy się już dziś nie zobaczyli.

W pokoju panował przyjemny półmrok, rolety w oknach były spuszczone, wszyscy pacjenci, łącznie czterech, wydawali się pogrążeni we śnie. Łóżko, na którym leżał Surym, znajdowało się przy oknie. Andrzej starał się nie robić hałasu, błogosławiąc gumowane podeszwy butów pozwalające na niemal bezdźwięczne poruszanie się po szpitalnej posadzce.

Widok poobijanego i obandażowanego Rafała ścisnął serce policjantowi. Wyglądał bezbrinnie i budził iście matczyne uczucia nawet w twardym facecie.

- Pssst - szepnął Lewczyński, pochylając się nad łóżkiem. - Śpi pan?

- Śpię - odparł zachrypnięty Surym.

- A może pan na chwilę przestać?

- Mogę, ale nie chcę.

Lewczyński podrapał się po skalpie i spojrzał na Suryma z niechęcią. W zasadzie on w jego, nomen omen, położeniu, pewnie też by nie chciał. Przez chwilę się zastanawiał, co zrobić, przysunął sobie krzesło i zasiadł u wezglowia łóżka. Oparł się wygodnie, na ile pozwalało oparcie, założył nogę na nogę, skrzyżował ręce na piersiach i postanowił wziąć dziada na przeczekanie. W końcu i tak będzie musiał się obudzić, w najgorszym razie jemu, Andrzejowi, tyłek zdrętwieje, ale był gotów się poświęcić.

Po dwóch minutach Surym skapitulował.

- No i co pan tak siedzi jak kat nad dobrą duszą? Zero litości dla ofiary wypadku - burknął.

- Z tego, co słyszałem, to nie był wypadek.

- Dobrze pan słyszał. To był zamach. Ktoś chciał mnie zabić.

- Tylko dlaczego, panie Rafale? Co takiego pan wie, a o czym nam nie powiedział, że ktoś postanowił zamknąć panu

usta?

- Jakbym tak miał obstawiać, to powiedziałbym, że moja żona.

- Edyta?! - Lewczyński podniósł głos, budząc pacjentów leżących na sąsiednich łózkach. - Edyta miałaby pana rozjeżdżać? Co pan?!

- Nie mówię, że to była ona, tylko że jeśli ktokolwiek mógłby mieć powód, żeby to zrobić, to najprędzej ona. Widocznie rozwód to dla niej za mało. Wściekła się, że tu przyjechałem.

- Zadowolona nie była, to fakt. - Lewczyński za późno ugryzł się w język. - Ale to nie ona, na pewno nie, w tym czasie przecież była gdzie indziej.

- Wiem, że to nie ona. Cokolwiek by o niej nie mówić, to w życiu nie jeździłaby czerwonym samochodem. I to jeszcze takim. Zdążyłem zauważyć, że to był taki kabrioletowaty, wie pan, ze spuszczanym dachem.

- A marka i model?

- Niestety nie widziałem. W każdym razie obły, typowo babski. Ale nie dla Edyty.

- A pani Prusko? Ta starsza pani Prusko, Krystyna? Mogłaby prowadzić?

- Zasadniczo to pewnie by mogła, ale jakoś też mi nie pasuje do czerwonego. Czarny albo metalik. I na pewno większy. One w tej rodzinie jakąś manię mają i jeżdżą wielkimi samochodami. Zauważył pan?

Andrzej się zastanawiał, na ile powinien zdradzić Rafałowi swoją wiedzę na temat upodobań rodziny Prusków. Był niemal przekonany, że Szymon niewiele wie o relacjach łączących go z Edytą, o ich wieloletniej przyjaźni. I o tym, że wszystkich Prusków od lat traktował jak bliskich krewnych. Z wzajemnością.

- Czyli wszystkie panie Prusko odpadają? - wybrnął jakoś, licząc, że temat się nie rozwinie. To nie był czas na wyznawanie uczuć i mieszanie chłopakowi w głowie. Wystarczająco dużo na tej głowie obecnie miał i bynajmniej nie o same szwy na czole chodziło.

- Raczej odpadają.

- Kto w takim razie, poza pana mściwą żoną, mógłby chcieć pozbawić pana życia? Może ma pan wrogów? - Andrzej celowo unikał tematu zabójstwa Patryka Mączki. Nie chciał naprowadzać Suryma na trop, który, choć najbardziej prawdopodobny, mógł okazać się nieprawdziwy.

- Czy ja wiem? - Surym podjął próbę podsunięcia się nieco wyżej, żeby przyjąć pozycję półsiedzącą, jednak szybko z tego pomysłu zrezygnował. Pęknięte żebra wystarczająco bolały, żeby jeszcze je nadwyreżać. - Może jakiś koleżka tego zbrodniarza, Orszylika? Słyszał pan o Orszyliku?

Andrzej o Orszyliku słyszał, nawet całkiem sporo, z historią tragicznej śmierci pani Surym był dobrze zaznajomiony. Jednak ta wersja w ogóle mu nie odpowiadała.

- To raczej mało prawdopodobne - odparł z lekkim oporem. - Nie można tego oczywiście zupełnie wykluczyć, ale intuicja mi podpowiada, że to nie to. Niemniej weźmiemy ten scenariusz pod uwagę. Coś jeszcze przychodzi panu do głowy?

Surym zamknął oczy i zamyślił się głęboko. Nie mógł pozbyć się wrażenia, że to wszystko nierozzerwalnie wiąże się z Edytą. Był na siebie zły, że w ogóle przyjechał do Augustowa, że kusił los i prosił się o kłopoty. Odkąd lawina dziwnych wydarzeń ruszyła, na każdym kroku czekało na niego nieszczęście. Ale przecież przyjechał tu walczyć. O Edytę, o dzieci, o normalną rodzinę. Myśl o rosnących pod sercem żony istotach rozczuliła go, wywołując niecodzienny przyływ emocji.

- Wie pan, skrewilem. Dałem dupy po całości - wyszeptał Rafał, pozwalając łzom płynąć nieskrępowanymi strugami. -

Jeden wieczór, jeden beznadziejnie głupi błąd i wszystko straciłem.

- A o czym pan teraz mówi? - zapytał Andrzej, starannie ukrywając zaskoczenie. - Chyba nie o tym wypadku?

- Nie o tym, o innym. Nieustannie myślę tylko o tym, jaki ze mnie kretyn. Po co mi ta cała Ula była? Znalazł się casanova od siedmiu boleści! Miałem wszystko, wie pan, piękną i mądrą żonę, dobrą pracę, kochająca matkę...

- Na losy matki nie miał pan wpływu - zauważył rozsądnie Lewczyński.

- A może właśnie miałem? Może gdybym to wszystko poukładał, jak należy, to moja mama nie zadałaby się z tym degeneratem zawszonym? I dalej by żyła, czekając na wymarzone wnuki?

- Nie przesadzajmy, panie Rafale - pocieszał go Andrzej, choć z marnym skutkiem.

Surym już odpłynął, niesiony nieoczekiwanymi wyrzutami sumienia.

- Edyta by się nie wyprowadziła, zbudowalibyśmy ten dom, o którym zawsze mówiła. Mogłaby wreszcie zacząć pisać książki i spełniać się zawodowo. No i mielibyśmy rodzinę. A tak? Zostałem sam, w dodatku nie wiem, co powinienem teraz zrobić - załkał głośno, wywołując konsternację nie tylko u policjanta, ale także wśród pozostałych pacjentów przysłuchujących się tej niecodziennej rozmowie. - Bo, wie pan, ja ją ciągle Kocham! Wiem, że to wszystko moja wina, głupi byłem jak ten cymbał od Jankiela. Może i dobrze, że ktoś mnie przejechał, należało mi się. Może to właśnie jest moja szansa od losu, żeby wszystko naprawić.

Komisarz Lewczyński poczuł ucisk w mostku. Ucisk tak silny, że z trudem powstrzymywał wzbierające w oczach łzy. Nie znał Suryma poza kilkoma opowieściami Edyty albo swojej siostry, w których zawsze przedstawiała go jako bezdusznego

emocjonalnego kastrata, który nigdy nie zdołał odciąć pępownicy łączącej go z toksyczną matką. Również Bączek mówił o Rafale raczej niespecjalnie ciepło, Andrzej nigdy jednak nie miał okazji sam wyrobić sobie na jego temat opinii. Tymczasem ten Rafał Surym, leżący na oddziale intensywnej terapii szpitala w Białymstoku, zdawał się zupełnie inną osobą niż ta, którą wyobraził sobie na podstawie opowieści. Andrzej poczuł wyrzuty sumienia, a zaraz potem zalała go fala współczucia.

Tymczasem Surym płakał. Chlipał i zawodził, jakby nagle postanowił dokonać całkowitego oczyszczenia. Być może właśnie tak się stało, w końcu każdy człowiek potrzebuje od czasu do czasu znaleźć ujście dla kłębiących się w nim uczuć. A Rafał najwyraźniej miał z czego się oczyszczać.

Nie bardzo wiedząc, co począć, Lewczyński przeprosił Suryma na chwilę, wymawiając się pilnym telefonem, który koniecznie właśnie teraz musiał wykonać. Pacjent pokiwał głową, choć wyszło mu to dość niezgrabnie, ani na chwilę nie przerywając żałosnego zawodzenia. Zamknąwszy drzwi do szpitalnej sali, Andrzej odetchnął głęboko i oparł się o ścianę. No tak, tego się nie spodziewał.

Nagle kieszeń jego marynarki rozdzwoniła się hałaśliwie.

- Lewczyński.

- Wracaj do Augustowa! - krzyczał Lubiewicz z głośnika telefonu. - Mamy kolejną ofiarę.

- Jezus Maria, gdzie? Kto?

- Nie jezusuj, tylko zawijaj siedzenie do samochodu i kieruj się do muzeum. Jak Boga kocham, chyba nigdy nie uda mi się przestać przeklinać.

Mężczyzna siedział przy barze, obserwując wewnątrz pubu w zajmującym całą szerokość ściany lustrze. O tej porze dnia ruch

był niewielki, studenci wciąż znajdowali się w salach wykładowych albo na konwersatoriach. Rozwodnione piwo serwowane z beczki smakowało zupełnie niczym, nie pić jednak tu przyszedł. Osoba, na którą czekał, wyraźnie się spóźniła. Nie znosił spóźniałstwa, uważał je za wielki grzech i wyraz braku szacunku. Nerwowo zerkał na zegarek, czując, jak kielkuje w nim złość. Pomyślał o zapaleniu papierosa, ale nie chciał opuszczać umówionego miejsca. Cholerny zakaz palenia w miejscach publicznych.

Drzwi do lokalu się otworzyły i do środka weszły dwie rozchichotane dziewczyny. Nie zwróciły na niego uwagi, zresztą o to mu właśnie chodziło. Chciał zlać się z tłumem, ubrany w nijakie szare szmaty, niewyróżniający się urodą, pochłonięty własnymi sprawami. Drzwi skrzypnęły cicho kolejny raz i w lustrze dostrzegł spóźnioną osobę.

Wysoki, na oko dwudziestoletni chłopak podszedł wprost do baru i zajął miejsce obok mężczyzny. Zamówił colę i wprawnym ruchem przesunął po blacie przedmiot wyglądający jak breloczek. Mężczyzna podał mu kopertę, dopił piwo i opuścił lokal. Chłopak odetchnął głęboko, opróżnił szklanekę i wyszedł bez słowa.

Mężczyzna stał z boku, schowany w bramie wewnątrz gmachu głównego Uniwersytetu Wrocławskiego, obserwując chłopaka. Kiedy ten ruszył ulicą Kuźniczą, poszedł za nim, utrzymując dziesięciometrowy dystans. Ukryty pod kapturem drelichowej kurtki nie spuszczał wzroku z młodzieńca. W pewnej chwili chłopak skręcił, ginąc wśród budynków. Mężczyzna przyspieszył i skręcił w Kotlarską. Pomiędzy blokami dostrzegł jasną bluzę.

Brudne podwórko, drzewa i krzewy żywopłotu dawały całkiem niezłe schronienie przed niepożądanym wzrokiem postronnych obserwatorów. Chwycił kamień stanowiący niedługo element chodnika, podbiegł do chłopaka i zadał mu

silny cios w głowę. Chłopak upadł twarzą do przodu, nie zdążywszy nawet wyciągnąć rąk przed siebie. Z prawego ucha wypadła mu słuchawka, z której brzmiała głośna muzyka. *Lato Vivaldiego*, skonstatował mężczyzna z uznaniem. Odrzucił kamień na trawnik i odszedł w kierunku ulicy Szewskiej. Dookoła nie było żywej duszy.

Dojeżdżanie do Stacji okazało się zbyt wyczerpujące dla pani Basi, a koniecznie chciała brać udział w rodzinnych obradach. Tym sposobem do śniadania w augustowskim domu państwa Prusków zasiadło sześć osób i jedynym poszkodowanym był Emil, którego obowiązki zawodowe przykuły w kuchni białobrzeskiego zajazdu. Na szczęście telefony wymyślono dawno temu.

- Jakieś wieści o Rafale? - zapytała pani Krystyna, wyciągając sztucze z szuflady. - Edytka, wiesz coś?

- Nic nie wiem. I odmawiam wiedzenia.

- Ale ja żądam wiedzenia, wszystkowiedzenia! - Patinka popatrzyła na nią wzrokiem pełnym oburzenia. - Ty się teraz przeproś ze wszystkimi policjantami i medykami z tego szpitala, bo my musimy mieć wiadomości z pierwszej ręki.

- Karolina wraca niedługo, będziemy na bieżąco - odparła spokojnie Edyta, przeżuając bułkę przywiezioną przez babcię.

- Jezu, jakie to dobre!

- I ciebie w ogóle nie ciekawi, kto i dlaczego czyha na życie twojego męża? - Pani Krystyna też z trudem pojmowała, jak to możliwe.

- W ogóle. Najważniejsze, że żyje. A reszta się okaże, już Andrzej się o to postara.

- Chciałbym mieć taką wiarę w polską policję - odezwał się Mateusz Roszkowski, który już oficjalnie został dopuszczony do

kręgu najbliższej rodziny. – Niestety moje doświadczenia każą mi podchodzić do sprawy z dużym dystansem.

– Widocznie nie znasz właściwych policjantów – odparowała pani Krystyna. – My możemy osobiście zaświadczyć, że istnieją w tej grupie społecznej jednostki wybitne.

– Tak jak w każdej. – Tadeusz Prusko postanowił zabrać głos. – Słyszałem już o farmaceutach, którzy truli pacjentów celowo albo niezamierzenie, ale ja na przykład służę ludzkiemu życiu.

– Oczywiście – zgodziła się Patinka. – Ja też znam kiepskich wydawców szukających tylko okazji, żeby orznąć autora albo wręcz okraść go z należnych mu praw, ale ja takimi się brzydzę. I właśnie jednemu takiemu pokazuję, gdzie raki zimują.

– Zuch dziewczyna – pochwaliła pani Basia, uśmiechając się promiennie. – A wracając do początku tej rozmowy: może jednak pojedziesz do szpitala, Edytko? Zobaczysz, co z Rafałem, czy mu czegoś nie trzeba?

– Nie.

– Nie? – zdziwił się pan Tadeusz.

– Nie. Nie pojedę i nie zobaczę, wołami mnie tam nie zaciągniecie. Szpital to wylęgarnia zarazków, a ja jestem w ciąży.

– Trochę racji w tym jest. Choć prawdziwa z ciebie żoła – stwierdziła Patinka. – A mnie zastanawia, dlaczego ktoś go rozjechał. Jak nie chcesz, Edzia, to nie słuchaj i się nie odzywaj, ale ja bym chciała jednak podywagować.

Edyta wzruszyła ramionami i sięgnęła po drugą bułeczkę.

– A dywagujcie sobie do woli. Przyszła kryska na Matyska, widocznie sobie zasłużył.

– Edytko! – obsztorcowała ją pani Basia. – Co za złe w ciebie wstąpiło? Okropnie jesteś mściwa. Pamiętaj, że mówisz o ojcu swoich dzieci.

- Nie strzęp sobie języka, Basiu - odezwała się pani Krystyna. - Przecież widzisz, że na rozum jej padło, to hormony mówią, nie ona. Emilu?! - Podniosła głos w kierunku telefonu ustawionego na tryb głośnomówiący. - Jesteś tam?

- Jestem - rozległo się ze słuchawki. - Słucham was uważnie i czekam na swoją kolej. Moja kolej?

- Twoja, możesz mówić. Tylko na temat.

- Ja myślę, że wiem, kto go rozjechał.

Wokół stołu zapadła cisza. Nawet Edyta podniosła wzrok znad gazety, którą właśnie przeglądała.

- Halo? Jesteście?

- Jesteśmy, niech pan mówi! - krzyknęła Patinka, z trudem opanowując emocje.

- No więc ja myślę, że to zrobiła Martyna.

- Martyna nie ma prawa jazdy - przypomniała mu pani Krystyna.

- Nie nasza Martyna, Martyna Wierszycka.

- No wiesz co! - oburzyła się pani Basia. - Że też ci nie wstydz tak mówić w ogóle!

- A ja się z nim zgadzam - wtrąciła Edyta. - W tamtej rodzinie pojęcie moralności nie istnieje. Wcale bym się nie zdziwiła.

- Przestań pleść, dziecko - upomniała ją babcia. - Twoje prywatne żale nie powinny wpływać na jasny osąd sytuacji. Łatwo jest rzucić na kogoś oskarżenie, ale trzeba je jakoś podeprzeć.

- Zemściła się za córkę - wyjaśnił Emil. - Moim zdaniem ludzie miewają słabsze motywy.

- A co ma wspólnego matka Uli z morderstwem Patryka? - wyraziła wątpliwość Patinka. - Przecież Andrzej wyraźnie mówił, że Rafał był jedynym świadkiem, który mógł widzieć mordercę. Jeśli więc ta ciotka Martyna nie wzięła sobie za cel

wyłączenia wszystkich mających jakikolwiek związek z Edytą, to raczej musimy tę teorię uznać za chybioną.

- W przeciwnym razie miejcie się wszyscy na baczności - zachichotała Edyta, wyraźnie ubawiona własnym żartem. - No, co tak na mnie patrzycie? Skoro wszystkich, to wszystkich. Przypominam wam, że w tamtej linii rodzinnej choroby psychiczne występują nagminnie.

- Najwyraźniej w tej też - mruknęła babcia Krysia. - Przestańcie już pleść trzy po trzy, duby smalone takie. Lepiej się zastanówmy, kto tego Patryka ukatrupił i przed kim uciekał Rafał. Mateuszu, może opowiesz nam jeszcze raz o waszej wspólnej podróży?

- Mogę opowiedzieć - odparł cicho Roszkowski. - Niewiele to raczej da, ale skoro chcecie, proszę bardzo. Na wysokości Zambrowa musiałem się zatrzymać za potrzebą. Akurat nadarzył się parking z toaletą, przy okazji można było rozprostować nogi i zjeść coś w zajeździe.

Podkomisarz Michał Bączek zdawał się pogodzony z losem, który rzucał go ostatnio na wszystkie strony świata, więc pokornie spakował walizkę, szykując się do wyjazdu na Podlasie. Akurat tam jeszcze go nie było, nie licząc jednej kolonii, na którą wysłali go rodzice trzydzieści lat temu. Zapamiętał z niej niewiele, głównie przeraźliwie długą podróż pociągiem do Warszawy, wieczorek filmowy, kiedy po raz pierwszy zobaczył film z Patrickiem Swayzem, oraz wszawicą, którą przywiózł z powrotem w ramach pamiątki z Suwalszczyzny. Nigdy później nie pozwolił ogolić sobie głowy.

Spakowany i nastawiony na wyczerpującą podróż postanowił uciąć sobie drzemkę w ciągu dnia, korzystając z tej rzadkiej możliwości. Niestety, i tym razem plany musiał zrewidować.

- Halo? - odebrał telefon z wyraźną nutą niechęci w głosie.

- Cześć - odezwał się młodszy aspirant Baliński po drugiej stronie słuchawki. - Głupia sprawa, ale chyba nie pojedziesz do Augustowa.

- Bo co?

- Bo morderstwo.

- O.

Przez chwilę żaden z nich nic nie mówił. Słuchali ciszy, jeden w mieszkaniu na Popowicach, drugi w budynku Komendy Wojewódzkiej Policji przy Podwalu. Żaden nie wiedział, co powiedzieć. Bączek ułożył się wygodnie na dwuosobowej sofie i zapatrzył w sufit. Baliński wyglądał przez okno, obserwując park przy Narodowym Forum Muzyki. Całkiem przyjemnie im się milczało.

- Z kim rozmawiasz? - Głos, który usłyszał Bączek w słuchawce, z całą pewnością należał do Wilczyńskiego. - Z Michałem? Dawaj go na głośny!

Baliński przycisnął odpowiedni guzik i położył telefon na biurku.

- Michałek? Słyszysz mnie? - wydarł się inspektor wprost do telefonu. - Mamy morderstwo, w rynku, musisz zostać.

- Przecież jest Krzysiek, on nie może się tym zająć? - zapytał spokojnie Bączek, choć był przekonany, że odpowiedź może być tylko jedna.

- Może, ale nie sam. Procedury mówią, że musi być jakiś wyższy stopniem do nadzoru, a ja jadę do Białegostoku, więc zostajesz ty. Mundurowi i technicy już pracują na miejscu, musicie tam jechać, żeby raport podpisać dla prokuratora.

- Na władzę nie poradzę... - bąknął podkomisarz, wyraźnie zrezygnowany. - Dajcie mi chwilę, zaraz się zjawię. Kto prowadzi?

- Jagielski. No dobra, to ugadani. Komu w drogę, temu kawę w dłoń. Trzymaj się, Michaś.

- Ty też się trzymaj - odparł Bączek, zastanawiając się nad stanem psychiki swojego szefa. Ewidentnie Wilczyński był w fazie wyparcia, oby tylko nie trachnęło go w najmniej odpowiedniej chwili.

Do centrum dojechał w dwadzieścia dwie minuty. Drugie tyle zajęło mu znalezienie miejsca do zaparkowania samochodu, poruszał się bowiem prywatną toyotą odziedziczoną po ojcu, w związku z czym żadne przywileje mu nie przysługiwały. Ostatecznie zostawił ją na parkingu pod Nowym Targiem, skąd od miejsca znalezienia zwłok dzieliła go odległość zabiegu skoku.

Niebieskie koguty widać było z daleka, a taśma policyjna ogradzała całą przestrzeń między ulicami Szewską, Kotlewską i Kuźniczą. Ogródek letni w barze Chopper okazał się bardzo elastyczny i pomieścił całkiem spory tłum usiłujący dojrzeć coś między blokami po przeciwnej stronie ulicy. No, to tyle z zachowania maksimum dyskrecji.

W powietrzu unosił się silny smród śmietników komunalnych, których od dawna nie opróżniano. Bączek dostrzegł Balińskiego i przeszedł pod taśmą, zakrywając nos dłonią. Spróbował wstrzymać oddech i rozejrzał się rozpaczliwie w poszukiwaniu techników, którzy z pewnością mieli zapas maseczek chirurgicznych z filtrem. Dwóch kucalo nad ciałem młodego mężczyzny, jeden robił zdjęcia, kolejni dwaj przeszukiwali krzaki. Prokurator Marek Jagielski rozmawiał ze starszą panią, która co chwilę zachłannie zerkała w kierunku parawanu rozstawionego wokół ciała ofiary. Bączek podszedł do Balińskiego przeglądającego coś w telefonie komórkowym.

- Podziwiam cię, Krzysiu - zagaił.

- Tak, a za co konkretnie? Bo generalnie to zalet mi nie brakuje.

- Za brak wężu. Jak ty możesz wytrzymać w tym odorze?! Wolałbym stać nad ekshumowanym ciałem, serio.

- A wiesz co... - Baliński zastanowił się przez chwilę. - Ja faktycznie nic nie czuję. Śmierdzi? Naprawdę?

- Fiołkami nie pachnie, to na pewno - odezwał się prokurator Jagielski, podchodząc do policjantów. Podał Balińskiemu rękę, a Bączkowi maseczkę. - Załóż to, Michał, koledze, jak widać, niepotrzebna.

- Uszkodziłem sobie węch, jak sztachnąłem się wybielaczem przy sprzątaniu łazienki. No co mam na to poradzić? - żalił się młodszy aspirant, ruszając nozdrzami jak królik. - Od tamtej pory smaki mi też przytępiło, ale można z tym żyć.

- Jasne, i na perfumach oszczędzisz. Dobra, chodźcie za mną, panowie, technicy już kończą. - Jagielski ruszył w kierunku parawanu. - Mężczyzna, lat dwadzieścia dwa, zameldowany w Żaganiu. Znaleźliśmy przy nim portfel, a w nim dokumenty, trochę gotówki w bilonie i kartę do bankomatu. Legitymacja studencka Politechniki Wrocławskiej. Denat nazywał się Jerzy Markiewicz.

- Jak?! - zapytał Baliński, blednąc przy tym jak kreda.

- No wyraźnie mówię chyba: Jerzy Markiewicz. A co, znasz?

Baliński podszedł do ciała, niemal tratując technika kucającego przy głowie martwego chłopaka. Pochylił się nad denatem i trzymanym wciąż w rękę telefonem odgarnął jasne włosy z jego czoła. Zawisł na chwilę w tej ekwilibrystycznej pozycji, po czym syknął i zaklął soczyście.

- Tak, sprawa się rypla. No to nieźła chryja.

- Mówże jak człowiek, Krzysiek. Kto to dla ciebie jest? - zniecierpliwił się Bączek.

- Był. To był jeden z moich informatorów. Jak pracowałem w pegie.

- A co student informatyki ma wspólnego z przestępczością gospodarczą? - zapytał prokurator, wyraźnie zaintrygowany.

- Jurek był geniuszem. Takim prawdziwym geniuszem, w stylu Hawkinga albo Billa Gatesa. Potrafił z każdej czarnej dziury Internetu wydobyć absolutnie wszystko. Pomagał nam infiltrować darknet.

- Fiuuu! - zagwizdał Bączek. - No to grubo. Myślicie, że to jakieś porachunki?

- Jakieś na pewno. Ale wygląda na amatorszczyznę. Bandziory nie waliłyby go kamieniem po łbie.

- Racja. Prędzej odrąbaliby mu giczały maczetą, jak na Łące Mazurskiej, nie? - Baliński wyglądał na szczerze zmartwionego. - Biedny Jurek. Dobry był z niego chłopak. Może nie do końca czysty, przymknęliśmy go kiedyś za włamanie na serwery Politechniki tuż przed sesją egzaminacyjną. W ten sposób w ogóle na niego trafiliśmy. A on był wtedy na pierwszym roku! Wyobrażacie to sobie? Strach pomyśleć, co mógłby zrobić, gdybyśmy go nie złapali.

- No, teraz już niewiele robi, za to my musimy - bąknął z niezadowoleniem Jagielski. - Dobra, panowie, zwijajcie się, karetka już jest. Proszę dostarczyć wszystkie raporty do Baczymańskiego - wydał rozkaz technikom.

Sanitariusze z noszami właśnie mijali policyjne taśmy.

- Michał, ty tu dowodzisz. Widzimy się w jaskini zła za godzinę. A ty, Krzysiek, skontaktuj się z dawnymi kolegami, trzeba szybko ustalić, nad czym ostatnio twój geniusz pracował - zakomenderował przed odejściem prokurator.

- Czyli spotkałeś Rafała Suryma w wychodku na parkingu przy autostradzie? - podsumowała pani Krystyna, gdy Mateusz Roszkowski zrobił sobie przerwę na zwilżenie zaschniętego gardła. - Podszedł do ciebie jak gdyby nigdy nic i akurat trafił

na osobę jadącą do Augustowa? Z takim szczęściem w totolotka powinien grać. Zawodowo.

- No, niezupełnie trafił... - Roszkowski był wyraźnie zmieszany. - Możliwe, że usłyszał, jak mówiłem przez telefon, że zostały mi jeszcze dwie godziny drogi do Augustowa. Po wyjściu z ustępu dzwoniłem do... ekhm, znajomej, żeby się nie martwiła.

- No to już brzmi bardziej wiarygodnie. - Patinka pokiwała głową. - I co, zapytał pana, czy może się dosiąść?

- Tak, w zasadzie dokładnie tak było. Zapytał, czy jadę do Augustowa, bo on właśnie musi się tam dostać, i czy nie miałbym nic przeciwko zabraniu go ze sobą. Przy okazji ze cztery razy zapewnił mnie, że nie jest bandziorem i nie czyha na moje życie, a także gotów był mi zapłacić za paliwo. Bylebym go z tego parkingu zabrał.

- Rozumiem, że uwierzył pan w te zapewnienia i dobrodusznie zaoferował mu transport? I wtedy on opowiedział tę historię o zamordowanym profesorsze, tak? - dociekała Edyta, już wyraźnie zaintrygowana.

- Zgadza się. Jak tylko ruszyliśmy, zapytał mnie, czy jadę na Mazury w celach rekreacyjnych. Ja mu oczywiście prawdy nie powiedziałem, coś tam tylko napomknąłem, że jadę do rodziny, i z grzeczności zapytałem o cel jego podróży. I on mi wtedy odpowiedział, że jedzie odszukać kogoś, kto pomoże mu udowodnić, że wypadek, w którym zginął ten jakiś profesor, tak naprawdę był zaplanowanym z zimną krwią morderstwem. I że w tym celu koniecznie musi się też skontaktować z jakąś „oną”.

- O, o tym pan wczoraj nie wspomniał - zauważyła z nutą przygany Patinka. - Co to za ona?

- Nie byłem zainteresowany, mówiąc między nami. Teraz tego żałuję, bo ten pan Surym wyjątkowo palił się do wyznań. No i nieustannie patrzył w lusterka. Siedział też jakoś dziwnie,

oparcie odchylił do tyłu, jakby nie chciał, żeby ktokolwiek go za nim dostrzegł.

- I nie zastanowiło cię to? - Pani Krystyna zmrużyła oczy jak zwykle, kiedy coś jej się nie zgadzało. - Nie wzbudziło podejrzeń?

- No jak nie?! Oczywiście, że wzbudziło - bronił się Roszkowski. - Ale ja wtedy byłem przekonany, że ten młodzieniec to wariat. Taki, wiedzą państwo, od teorii spiskowych.

- W zasadzie bardzo pan się nie pomylił - odparła zimno Edyta. - Tyle że i on miał rację. Co tu się wyprawia? Kogo ten Rafał mógł się bać?

- Na pewno nie tego kolegi, którego spotkał w hotelu - odpowiedział spokojnie Roszkowski, przeżuając chrupiącą bułeczkę. - Bo z nim przywitał się bardzo familiarnie.

Pięć par oczu, dziesięć sztuk, spojrzało na niego, jakby widzieli go po raz pierwszy. Emil spojrzeć nie mógł, użył więc głosu.

- Cooo pan powiedział?! Jakiego kolegi?! *Mamma mia!*

- O kurczę... - Nowy członek rodziny Prusków spojrzał na zebranych, oblewając się rumieńcem. - To ja nie wspomniałem, że w hotelu pan Surym spotkał kolegę? I bardzo się z tego ucieszył? I że ten właśnie kolega wiedział o owej „onej”?

- Chyba ci to umknęło - skwitowała pani Krystyna, wyraźnie zniesmaczona. - Miejmy nadzieję, że Andrzej o koledze wie.

- Na pewno wie. Tym kolegą był Patryk - powiedziała Edyta.

- Patryk to ten zamordowany, tak? - upewnił się Roszkowski, wciąż czując delikatne zażenowanie. - Trochę to podejrzane, że pan Surym i ten pan Patryk spotkali się nieoczekiwanie w jednym hotelu, a teraz jeden nie żyje, a drugi leży w szpitalu.

- Nawet bardzo - zgodziła się Patinka. - Ale co z tego wynika? Nawzajem się chyba nie załatwili, musiał być ktoś

jeszcze. Ktoś, kto znał ich obu.

- To nie byłam ja - Edyta uprzedziła nasuwającą się wszystkim odpowiedź. - Nie miałam pojęcia o przyjeździe żadnego z nich, zanim nie zobaczyłam Rafała w fotelu w naszym salonie, a Patryka na zdjęciu w gazecie. Poza tym - dodała już w ramach rozwiązywania zagadki - nie mam żadnego interesu w tym, żeby pozbyć się któregokolwiek z nich. Patryka nie widziałam od czasu studiów, sporadycznie wymienialiśmy wiadomości mailowe. I na tym koniec.

- A może... - zastanawiał się Roszkowski, czując palącą potrzebę rehabilitacji - a może powinniśmy poszukać tego profesora?

- Świetny pomysł - sarknęła pani Krystyna. - Tylko przydałaby nam się szklana kula, żeby wywróżyć, gdzie go w ogóle szukać.

- A może wcale nie? - odezwała się Edyta, głaszcząc się w zamyśleniu po okrągłym brzuchu. - Może jest inny sposób. Dajcie mi chwilę. - Podniosła się nagle i różnym krokiem ruszyła do pokoju.

Do uszu śniadających w salonie doleciał przytłumiony odgłos rozmowy i domyślili się, że Edyta do kogoś dzwoniła.

- Załatwione - poinformowała ich, wracając do stołu. - Dobrze mieć dziadka agenta.

- Henrykowi tyłek zawracasz takimi pierdamentami?! - oburzyła się babcia Prusko, choć nie wyglądała na szczególnie złą.

- Oj, daj spokój, babciu. - Edyta machnęła ręką i chwyciła kolejną bułeczkę. - Henryczek już wraca i mówi, że dla niego to żaden problem. Popyta tu i ówdzie, jak się uda, to się uda, a jak nie, to i tak nic nie tracimy.

- W sumie racja - poparła przyjaciółkę Patinka. - No bo niby co możemy stracić? Mniej niż teraz wiedzieć nie będziemy, a jest szansa na jakiś progres. To pewnie tylko kwestia czasu.

- Dziwne - odezwał się w zamyśleniu Roszkowski. - Pan Surym, zdaje mi się, też użył tego określenia. Co prawda w innym kontekście, ale właśnie mi się przypomniało.

- Naprawdę, panie Mateuszu, pan chyba poznał innego Rafała Suryma niż my wszyscy. W życiu nie słyszałam, żeby użył takiego sformułowania. - Edyta przyglądała się nowemu wujkowi z zaciekawieniem. - Rafał mówiący, że coś jest kwestią czasu? W dodatku dobrze mu z oczu patrzy? - Jakieś przebłyski intuicji zaczęły podsuwać jej fantastyczne scenariusze, ale nie zdążyła tematu rozwinąć, bo babcia weszła jej w słowo:

- Skoro już przy przypominaniu sobie jesteśmy, to mnie też się coś przypomniało - zaczęła słodko, zwracając się wprost do Roszkowskiego. - Zupełnym przypadkiem spotkałam swoje znajome, które mają dosyć szeroką wiedzę o mieszkańcach naszego miasta. I wyobraź sobie, Mateuszu, że o twojej matce wiedzy szczególnej nie miały.

Roszkowski zbladł odrobinę, zamrugał oczami i drżącą ręką odstawił kubek z herbatą na stół.

- N...nie bardzo rozumiem - wydukał, zupełnie już wytracony z równowagi. - Co pani chce przez to powiedzieć?

- Zasadniczo to dokładnie tyle, ile przed chwilą powiedziałam: po Janinie Roszkowskiej nie ma śladu w dokumentach miejskich. W szpitalu w Knyszynie też nikt taki nie pracował - zakończyła pani Krystyna z triumfem i głośno siorbnęła herbatę.

- Widzę, że nic się przed panią nie ukryje... - odpowiedział po chwili przyparty do muru Roszkowski. - Dobrze więc, wyznam państwu prawdę...

- No wreszcie! - krzyknęli równocześnie Patinka z Emilem.

Doktor Remigiusz Baczmański, najlepszy medyk sądowy, jakiego miała zaszczyt nosić wrocławska ziemia, szykował się

właśnie do przeprowadzenia kolejnej operacji. Od początku swojej olśniewającej kariery stanowczo odmawiał nazywania rzeczy po imieniu, twierdząc, że „sekcja na denacie” dehumanizuje całkowicie sztukę obdukcji i pozbawia ją wymiaru medycznego. On, znamienity anatomopatolog, utytułowany doktor nauk medycznych, przeprowadza operacje na pacjentach, koniec kropka. I biada temu, kto odważyłby się to zakwestionować – no, może z jednym wyjątkiem. Wyjątek ów właśnie pojawił się w jaskini zła, którą to nazwą studenci medycyny pieszczotliwie określali salę prosektoryjną, królestwo absolutnego władcy Baczmańskiego w Zakładzie Medycyny Sądowej przy ulicy Mikulicza-Radeckiego.

- Michaś! - ucieszył się patolog na widok zakładającego fartuch Bączka. - Myślałem, że wyjechałeś na Mazury. Aż ci, bracie, pozazdrościłem!

- To następnym razem nie zazdrość. Jak widzisz, to przynosi pecha - burknął podkomisarz, walcząc ze zbyt wykrochmalonym rękawem białego kitla. - Wilczyński pojechał sam, bo pojawił się twój nowy pacjent.

- Twoja strata, mój zysk. - Baczmański cmoknął z zadowoleniem. - No, gdzie ten prokurator? Zabronił mi zaczynać bez niego, a teraz niegrzecznie się spóźnia - powiedział, zakładając rękawiczki. - *Tarde venientibus ossa*¹ - rzucił pod nosem i włączył dyktafon, rozpoczynając procedurę.

Bączek trzymał się w odległości pozwalającej słyszeć wszystko, co mówił medyk, równocześnie nie widząc zbyt wiele. Asystujący patologowi przy obdukcji młody lekarz krzątał się wokół stołu sekcyjnego, nie wydając przy tym ani jednego dźwięku i unikając wzroku Baczmańskiego, jakby się go bał. Co w zasadzie mogło być prawdą, Baczmański bowiem od lat cieszył się sławą największej kosa wydziału lekarskiego.

Po wstępnych oględzinach i potwierdzeniu informacji z raportu otrzymanego z miejsca znalezienia zwłok nastąpić

miała część, w której Bączek absolutnie nie chciał uczestniczyć. Wystarczyły mu ustalenia Baczmańskiego, że zgon nastąpił na skutek urazu głowy, dokładnie potylicy, i powstania krwiaka podskórnego oraz krwiaka podtwardówkowego prawej półkuli mózgu. Na pytanie Bączka o to, czy można wykluczyć wypadek, patolog odpowiedział:

- Taki uraz nie mógł być spowodowany upadkiem ani uderzeniem o twarde podłoże. Kości uległy nie tylko złamaniu, ale i wgnieceniu do wnętrza czaszki.

Bączek przestał go słuchać, gdy padły słowa o oddziaływaniu „bardzo dużej energii kinetycznej na niewielkiej powierzchni czaszki powodującym penetrację typową dla ran postrzałowych”. Nerwowo zerkał na zegarek, przeklinając w myślach niepunktualność prokuratora. W końcu, spóźniony ledwo czterdzieści minut, Marek Jagielski wpadł zdyszany do sali prosektoryjnej, z poczuciem winy wypisanym na twarzy.

- Bardzo, bardzo przepraszam - sapał, pospiesznie wciągając fartuch i rękawice. - Miałem awarię w domu i nijak nie udało mi się wcześniej wyjść. Mam nadzieję, że nie czekaliście zbyt długo.

- Absolutnie - odparł Baczmański tonem zimnym jak pacjent leżący na jego stole, ani na chwilę nie podnosząc wzroku znad zwłok. - Pana absencja w niczym nam nie przeszkodziła, wręcz przeciwnie.

Jagielski nie dosłyszał, a może nie zrozumiał sarkastycznej aluzji, przyzwyczał się bowiem przez lata do niezbyt wylewnego usposobienia patologa. Wszyscy wiedzą, że Baczmański przedkłada martwych nad żywych, i nikt już się temu nie dziwi.

- Michaś - zwrócił się medyk aż nadto ciepło do Bączka - możesz już iść, pan prokurator zostanie przy operacji i wszystko ci przekaże. Nie ma potrzeby, żebyś się narażał na nieprzyjemności ze strony swojego *systema digestorium*.

Lata owocnej współpracy podkomisarza Bączka i doktora Baczmańskiego wytworzyły między nimi przedziwną i całkowicie niezrozumiałą dla nikogo relację, którą można by nawet określić przyjaźnią. Medyk wysoko cenił bystry umysł i psychologiczne wykształcenie policjanta, który traktował patologa z szacunkiem niemal nadludzkim. Różnica wieku między nimi sprawiła też, że Baczmański często traktował Bączka jak syna i cierpliwie, w miarę swoich możliwości, uczył go trudnej sztuki czytania przebiegu zbrodni ze zwłok.

Ucieszony policjant rzucił coś niewyraźnie na pożegnanie i wybiegł z prosektorium, jakby go gonili. Odetchnął dopiero po wyjściu na ulicę. Zmierzchało już powoli, co odkrył ze zdziwieniem i pośpieszył do komendy, żeby zostawić raport. Z niesmakiem pomyślał, że musi jeszcze rozpakować walizki.

- Kiedy postanowiłem przyjechać do Augustowa, do głowy mi nie przyszło, że trafię na tak bystrych i uważnych detektywów - powiedział już spokojnie Roszkowski, uśmiechając się nieśmiało.

- Wybaczymy ci to niedopatrzenie - odparła wspaniałomyślnie pani Krystyna. - Takich jak my to ze świecą nie znajdziesz.

- A nawet z reflektorem - wymruczał pod nosem pan Tadeusz, chowając się natychmiast za kubkiem z kawą.

- I chwała za to Panu - ryknął z telefonu Emil. - Jakby cię było więcej niż jedna, Krystyna, to piekło by chyba zamarzyło ze strachu, że tam do nich trafiacie.

- Uznam to za komplement - odezwała się z dumą pani Prusko, ani trochę nie czując się urażona. - No to jak to było z tą twoją rodzicielką, po której nigdzie śladu nie ma?

Opowiedzenie historii, prawdziwej historii, matki okazało się dla Mateusza Roszkowskiego tyleż oczyszczające, co bolesne.

Nie bez powodu zataił wcześniej posiadaną wiedzę, co dość szybko zrozumieli wszyscy uczestnicy śniadania.

- Moja mama naprawdę nazywała się Janina Roszkowska i naprawdę była lekarką w Knyszynie. Prawdą jest także, że moim ojcem był Janusz Dąbrowski, co do tego, zdaje się, nie macie już państwo wątpliwości?

Wszyscy zgromadzeni pokręcili głowami na znak, że rzeczywiście nie mają, Emil prawdopodobnie też pokręcił, choć tego już Roszkowski nie mógł zobaczyć. Pani Krystyna, mimo że od początku była przekonana o pokrewieństwie swojego zięcia z niespodziewanym gościem, zleciła wykonanie stosownego badania, którego wynik niepodważalnie wskazywał na wspólny genotyp obu mężczyzn.

- Nie powiedziałem państwu jedynie - kontynuował Mateusz - że Janina była moją matką adopcyjną, a nazwisko Roszkowska przybrała tuż po moich narodzinach, kiedy wyjechała do Warszawy.

- To kim w takim razie była pana biologiczna matka? - wykrzyknęła Patinka uwielbiająca tego typu historie.

- No bo to chyba nie moja mama! - ryknął z oburzeniem Tadeusz Prusko, zupełnie już nie panując nad emocjami.

- Nie, nie pańska mama - uspokoił go Roszkowski. - Według tego, co przekazała mi Janina Roszkowska, urodziła mnie młodziutka dziewczyna, która miała nieszczęście szkolić się w niewłaściwej aptece.

Oprócz pani Krystyny nikt z obecnych nie znał historii romansów Janusza Dąbrowskiego, wobec czego dla nich wszystkich informacja, którą właśnie usłyszeli, była nie lada zaskoczeniem. Emil milczał, prawdopodobnie niecierpliwie oczekując dalszego ciągu.

- Janina Roszkowska, a w zasadzie Adamska, pracowała w Knyszynie jako lekarz chorób ogólnych, ale zawsze marzyła o zostaniu ginekologiem. W tamtych czasach była to specjalizacja

zarezerwowana głównie dla mężczyzn i nie inaczej było w knyszyńskim szpitalu. Mama jednak żywo interesowała się tą dziedziną medycyny, dokształcała się po nocach i udało jej się z czasem występować w charakterze lekarza asystującego przy porodach albo trudnych ginekologicznych operacjach. – Roszkowski przerwał nagle, zamyślając się głęboko. Milczał przez dłuższą chwilę, po czym na jednym tchu wyrzucił z siebie historię, która musiała mocno nim wstrząsnąć i wciąż budziła wiele emocji.

Pewnej spokojnej nocy w szpitalu w Knyszynie zjawiała się przerażona dziewczyna, skarżąc się na przejmujący, odbierający świadomość ból brzucha. Przyproceedziła ją matka, sama odchodząca od zmysłów. Janina Roszkowska, wówczas nazywająca się Adamska, tej nocy pełniła dyżur i zainteresowała się cierpiącą nastolatką. Natychmiast się zorientowała, że dziewczyna jest w trakcie porodu, i wysłała ją na blok. Poród przyjęła położna, obyło się bez asysty lekarza. Urodził się zdrowy chłopczyk, a świeżo upieczona matka odmówiła nawet spojrzenia na niego.

W czasie kiedy rodził się Mateusz, Janina postanowiła rozmówić się z matką dziewczyny, kategorycznie zaprzeczającą, jakoby wiedziała o ciąży swojej córki. Usiłowała wręcz wmówić lekarce, iż ta się myli, gdyż jedyną dziewicą matką jest Maryja. Janina w ciemną bita nie była i szybko zrozumiała, że dziecko do domu z babką nie wróci, udała się więc prędko do położnicy, żeby się dowiedzieć, w czym rzecz. Roztrzęsiona dziewczyna gotowa była natychmiast opuścić szpital, byleby jak najszybciej o całej sprawie, w tym o maleńkim chłopczyku, zapomnieć. Mądra lekarka już wiedziała, że poczęcie niepokalane nie było i prawdopodobnie miało miejsce bez zgody dziewczyny. Początkowo młoda matka nie chciała wyznać prawdy na temat ojca dziecka, poskutkowało dopiero zapewnienie Janiny, że informacja ta objęta będzie ścisłą tajemnicą lekarską, którą

porównać można jedynie do sekretu spowiedzi. Lekarka zapewniła roztrzęsioną nastolatkę, że dziecko może zostać w szpitalu pod warunkiem, że ona zrzeknie się do niego praw rodzicielskich, umożliwiając chłopcu znalezienie rodziny.

- Zaraz, zaraz - odezwał się Tadeusz Prusko - chce pan powiedzieć, że mój ojciec, Janusz Dąbrowski, miał dziecko z nieletnią dziewczynką?

- A niby co w tym takiego dziwnego? - odparowała pani Krystyna. - Skoro była pomocą w aptece, znaczy, że piętnaście lat skończyła. O ile dobrze pamiętam, Janusz niewiele był starszy, kiedy spłodził ciebie.

- No wiesz, Krysiu! - oburzył się nie na żarty tata Edyty. - Chyba cię trochę poniosło, dziecko to jest dziecko!

- To prawda - zgodził się Mateusz Roszkowski. - Niestety, to dziecko, ta nastoletnia dziewczynka, została matką wbrew swojej woli. Tym sposobem na świecie pojawiłem się ja.

- A twój ojciec o tym wiedział? - drążyła dalej pani Krystyna. - Bo jeśli wiedział, to...

- Jeśli wiedział, to znaczy, że wcale go to nie interesowało, więc w zasadzie on mnie także nie powinien.

- A interesuje? - zagadnęła Patinka, nie kryjąc ciekawości. - Przyjechał pan, żeby się o nim czegoś dowiedzieć?

Wszyscy w pokoju czekali na jego odpowiedź. Pani Krystyna ze zjadliwą satysfakcją wyobrażała sobie, jak Emil Mirosławski właśnie gryzie ze złości słuchawkę telefonu, nie mogąc wziąć udziału w przedstawieniu na żywo.

- No? Jesteście tam? - wydarł się kucharz z głośnika. - Interesuje pana ten pański tatuś czy nie interesuje?!

- I tak, i nie - odpowiedział po chwili Mateusz. - O wiele bardziej interesuje mnie młoda kobieta, która uciekła ze szpitala w Knyszynie, zostawiając w nim swoje nowo narodzone dziecko.

- Przyjechał pan tutaj, żeby odnaleźć swoją matkę? I poznać całą historię? - upewniła się Edyta, jednocześnie usiłując zrozumieć nową wersję zdarzeń, które doprowadziły do pojawienia się na świecie jej, bądź co bądź, stryja.

Roszkowski skinął głową.

- Mówi, że tak - powiedziała Patinka w stronę telefonu. - Słyszysz pan, panie Emilu?

- Słyszę. Przynajmniej w pani jednej mam sprzymierzeńca - burknął kucharz.

- A teraz kręci głową, jakby sprawdzał, czy go szyja boli - dodała korpulentna wydawczyni. - Szyja pana boli, panie Mateuszu?

Roszkowski tym razem nie zareagował. Widać było, że sam nie do końca uporał się z ciężarem, który musiał zagościć w jego sercu, kiedy matka wyjawiała mu prawdę. Pruskowie, a nawet Patinka milczeli, wpatrując się w wysłużony dywan.

Siedzieli tak w ciszy, przerywanej od czasu do czasu stuknięciem kubka o blat stołu, każdy pogrążony we własnych myślach, aż niezręczność stała się niemal wyczuwalna. Mateusz Roszkowski wymówił się jakimś pilnym obowiązkiem i pożegnał pośpiesznie. Nie lubił, kiedy okazywano mu litość.

- Co tu się wydarzyło? - zapytał komisarz Lewczyński, zakładając kombinezon na parkingu przed Muzeum Ziemi Augustowskiej.

Przed budynkiem pracowało kilku mundurowych, w tym młody znajomy Andrzeja z bulwarów.

- To kustosz. Nie żyje - odpowiedział chłopak bezbarwnym głosem. - Prawdopodobnie uduszony, prokurator już tam jest.

- A was, jak rozumiem, posterunkowy, wciąż odrzuca?

- Wolę dmuchać na zimne, chociaż chłopaki mówią, że krwi nie ma, więc może tym razem nie byłoby tak źle.

Andrzej pokiwał głową i założył na głowę kaptur kombinezonu. Prokurator Maciejewski wyraźnie zażądał, aby każdy na miejscu zbrodni był stosownie ubrany. Wchodząc do budynku, Lewczyński przypomniał sobie dzień, w którym był tu ostatnio. Panowało wówczas lato, Edyta miała praktyki muzealne i przyjechała na Podlasie. Odwiedził ją raz, poszli na spacer nad Nettę, pogadali, posiedzieli na moło. Było miło. Żadne z nich nie miało wtedy problemów i niewiele wiedzieli o życiu. A teraz?

- Czołem - odezwał się Maciejewski, wytrącając go z zamyślenia. - Spójrz na to. Co prawda nie jestem ekspertem, ale wygląda tak, jakby ktoś go udusił gołymi rękami.

Bezwładne ciało leciwego muzealnika utrzymywało się w pozycji siedzącej wyłącznie dzięki odchyłonemu oparciu fotela. Trupioblada skóra reszty ciała ostro kontrastowała z purpurowym kolorem twarzy powyżej wyraźnych zasinień na wysokości krtani. Przekrwione oczy nieboszczyka patrzyły pustym wzrokiem na framugę nad drzwiami gabinetu.

- Nie starczyło mu nawet przyzwoitości, żeby zamknąć ofierze oczy - powiedział niemal szeptem Andrzej. - Co to za bydlę musi być, Ludwik?

- Najgorszego sortu - odparł równie cicho prokurator. - Rozejrzyj się tu trochę, Jędrrek, ja pojedę do Białegostoku i załatwię przyspieszenie sekcji z Iwo... doktor Kuncewicz. Kto chciałby zabić sześćdziesięcioletniego etnografa? I co to za goliat musiał być, żeby to zrobić gołymi rękami?

- Ty też myślisz, że te sprawy, pana Boderko i kustosza, coś łączy? - zapytał Lewczyński, choć doskonale znał odpowiedź na to pytanie.

- Raczej ktoś niż coś, Andrzejku. I ten ktoś zaczyna mnie bardzo irytować.

- Porozmawiam z nią - szepnął Lewczyński, błędząc wzrokiem po rozrzuconych na biurku papierach.

- Im szybciej, tym lepiej. I tego jej męża też trzeba wziąć w obroty. Zanim zginie ktoś jeszcze.

W drodze do Augustowa inspektor Kazimierz Wilczyński miał mnóstwo czasu na myślenie. Prawdopodobnie w całym swoim życiu nie miał okazji pobyć sam ze sobą przez tyle godzin, by myśli swobodnie mogły orbitować, łącząc się w zaskakujące struktury. Kilka razy musiał sam siebie przywołać do porządku, łapiąc się na groźeniu niefrasobliwemu siostrzeńcowi karami cielesnymi. Jemu, powtarzał sobie przy tych okazjach, już raczej nikt tyłka nie spierze.

Po kilku godzinach monotonnej i dłużącej się podróży zaczął odczuwać coraz bardziej wyraźne oznaki kryzysu. Zjechał na pierwszy możliwy parking, wyłączył silnik i zamknął oczy. Siedział tak przez kilka minut, nie ruszając nawet palcem. Nagle rozpląkał się jak małe dziecko, wydając przy tym dźwięk przywodzący na myśl ryk zranionego tura. Para nobliwych emerytów konsumująca kanapki w zaparkowanym obok fordzie w panice zamknęła wszystkie okna i natychmiast odjechała na drugą stronę parkingu. Wilczyński tymczasem wył i zawodził, jakby dawał ujście całemu złu, z którym przyszło mu się zmierzyć w sześćdziesięcioletnim życiu.

Do Augustowa pozostawało jeszcze ponad dwieście kilometrów, słońce powoli chowało się za horyzont. Inspektor wytarł mokrą od łez twarz serwetką, którą znalazł w schowku, wziął kilka głębokich wdechów i ruszył w dalszą drogę. Starał się nie myśleć o Dance, swojej młodszej siostrze, dla której zawsze był bardziej jak rodzic. Życie jej nie oszczędzało: najpierw koszmarnie dzieciństwo w domu socjopaty, dla którego dzieci były wyłącznie skutkiem ubocznym niekontrolowanej

chuci - na szczęście matka zmarła wcześniej i skończyło się ledwie na sześciorgu. Później małżeństwo z pijakiem i dziwkarzem, w dodatku damskim bokserem, od którego uciekła po niespełna roku, ratując siebie i kilkutygodniowego Patryka. Miała wtedy tylko osiemnaście lat. Każdy kolejny potencjalny narzeczony zawijał się natychmiast po usłyszeniu, że Danka występuje w pakiecie z dzieciakiem. Gdyby nie on, Kazik, nie dałaby sobie rady. Starszy od niej o dwanaście lat, zaciekle wróg wszelkich przejawów przemocy, dał jej dach nad głową, załatwił pracę, pomógł stanąć na nogi. Patryk był jej oczkiem w głowie, jedyną i największą miłością, jej sensem życia. Jak teraz będzie żyć, straciwszy go na zawsze?

Rozmyślając nad losem siostry, Wilczyński dotarł do Augustowa. Było już całkiem ciemno, na wschodzie wieczory przychodzą znacznie szybciej. Dojechał do hotelu, w którym Bączek zarezerwował mu pokój, i wysiadł z samochodu, czując, jak kości skurczyły mu się po całym dniu siedzenia za kierownicą. Wykonał kilka skłonów, parę przysiadów, rozciągnął się, po czym wyjął z bagażnika walizkę i ruszył do recepcji.

W pierwszym odruchu chciał zaprezentować legitymację służbową, w porę jednak uprzytomnił sobie, że przyjechał tu w celach prywatnych, choć morderstwo zdawało się do tej pory nie mieć wstępu do jego osobistej przestrzeni. Morderstwo. Patryk zamordowany. Za-mor-do-wa-ny. Zaszlachtowany jak zwierzę. Wilczyński poczuł, jak gardło mu się ścisza, a w oczach znów wzbierają łzy. Zaciśnął zęby, wziął głęboki oddech i udał się do pokoju, w którym zasnął natychmiast po rozłożeniu się na wygodnym jednoosobowym łóżku.

Podkomisarz Bączek przyjechał do komendy w najbardziej odpowiedniej chwili. Starszy aspirant Baliński kończył właśnie

zaparzanie trzeciego tego dnia termosu kawy. Prawa strona jego twarzy była odrobinę opuchnięta, ale Bączek nie pytał o powód.

- Kocham cię, bracie - sapnął podkomisarz z wdzięcznością, odbierając kubek parującej kawy, i usiadł ciężko w fotelu. - Nie kocham za to trupów.

- No, tego jeszcze brakowało. Jeden Baczmański w zupełności nam wystarczy. Aż dziw, że nie słyszy głosów.

- He? - Podkomisarz nie rozumiał. - Jakich głosów?

- No wiesz: „*I see dead people*”. Jak Bruce Willis.

- A kto go tam wie, Krzysiu. Może, jak zostaje sam, to tańczy z tymi swoimi pacjentami - zamyślił się Bączek. - Kiedyś mi się wydawało, że śpiewał. Jak się nad tym zastanowić, to właściwie nawet by było prawdopodobne.

- Weź przestań! - Baliński otrząsnął się i skrzywił. - Dreszczy od tego dostałem, o patrz! - Wyciągnął przed siebie rękę, na której wszystkie włosy stały dęba. - Nekrofilia to najobrzydliwsze zbroczenie na świecie!

- Masz rację, aż strach pomyśleć - zgodził się Bączek. - Ale dobra, nie psujmy sobie smaku, dolej mi trochę kawy i mów, co udało ci się ustalić.

Metodycznie, jak go uczono w Szczytnie, Baliński zreferował wszystko, co zapamiętał, od czasu do czasu zaglądając do odręcznych notatek sporządzonych starannym pismem. Bączek wiele razy mu zazdrościł tych okrągłych literek, sam szcząc się charakterem pisma typowym dla lekarzy. Mandatów raczej nie mógłby wypisywać. Za to Baliński, a i owszem, ale... Zaraz, zaraz, co on tam mówi?

- Powtórz, Krzysiu!

- Co?

- No, powtórz.

- Ale co mam powtórzyć? Które?

- Jakbym wiedział, co powiedziałaś, to nie musiałbyś powtarzać, nie?

- Aż tak bełkoczę? - zafrasował się Baliński. - Ósemka mnie boli, muszę do dentysty, a strasznie się boję.

- Nie, skąd! Znaczą, trochę, jakbyś kluch do paszczy napchał, ale da się zrozumieć. Tylko ja nie słuchałem, więc powiedz od początku.

Baliński westchnął ciężko, dotknął opuchniętego policzka, syknął, upił łyk kawy, syknął jeszcze głośniejsze i powtórzył niemal słowo w słowo swoją wcześniejszą wypowiedź:

- Skontaktowałem się z Politechniką, tam potwierdzili, że Jurek był jednym z najlepszych studentów, nie miał żadnych problemów, otrzymywał stypendium naukowe i w ogóle po tym jego wyczynie, za który go kiedyś przyskrzyniliśmy, zatrudnili go do ochrony serwerów polibudy. W akademiku też złego słowa o nim nie mówili, wszystkim pomagał, dla wszystkich był uprzejmy, pani Gieni rączki całował. Złoty chłopak.

- Pani Gienia to portierka? - domyślił się Bączek.

- Teraz to się nazywa „gospodyni”. A jak pani Gieni czajnik się spalił albo gniazdko ze ściany wyskoczyło, to Jurek pierwszy był do pomocy. I ani grosza od pani Gieni za te przysługi nie brał, „anioł, nie student”. Cytat!

- Rodzice?

- Matka tylko, mieszka w Żaganiu. Musi przyjechać na identyfikację, ale nie wiem, czy da radę. Ojciec zmarł na raka kilka lat temu. Wojskowym był. Ona, ta matka, tam jakies jeszcze wnuki pod opieką ma, bo Jurek najmłodszy z rodzeństwa, ma dwóch starszych braci, obaj w służbie.

- To co on taki wyrodny ten Jurek? - zaciekał się Bączek. - Cała rodzina mundurowych, a jemu się informatyki zachciało.

- Co poradzisz? Geniusz. Późne dzieci tak mają.

- A ty skąd tyle wiesz o późnych dzieciach? - Podkomisarz przyjrzał się uważnie koledze, który nigdy wcześniej nie przejawiał zainteresowania badaniami nad związkiem wieku matki z ewentualną inteligencją dziecka. - Ty znowu ojcem będziesz! - Oświeciło go w końcu. - I nic się nie chwalisz! Gratuluję, stary!

- Yhy, dzięki - burknął tamten, usiłując wypalić wzrokiem dziurę w gumoleum. - Jeszcze nie całkiem się z tym pogodziłem, możemy więc zmienić temat i wrócić do Jurka? Wolę chyba myśleć o czymś innym.

- Jasne, jasne, rozumiem - zapewnił podkomisarz pośpiesznie. - Mów, Krzysiu, co ten nasz geniusz mógł jeszcze nawywijać. Na razie ustaliliśmy tylko, że pani Gienia go nie zamordowała, bo teraz musi sama sobie gniazdka przykręcać do ściany. Może poszło o dziewczynę?

- Jego koledzy z akademika mówią, że żadnej dziewczyny nie miał.

- Chłopaka?

- Też nie.

- To co on robił, kiedy nie był na uczelni albo nie naprawiał czajników w akademiku?

- I tu jest, Michał, pies pogrzebany, gdyż albowiem, zważ to sobie dobrze, on w tym akademiku siedział całymi dniami i nocami, wołami go stamtąd nie mogli wyciągnąć. Ciągle tylko komputer i komputer. Wiecznie coś na nim dłubał.

- A co w tym takiego dziwnego? Grobu psa dalej nie widzę, chłopak kochał to, co robił. Chwali mu się.

- No niby tak... - Baliński zawiesił głos i pomasaował zmarszczone czoło. - Tylko jak wielu znasz dwudziestodwulatków, którzy nie szlajają się z kumplami po knajpach?

- Zbyt wielu dwudziestodwulatków to ja zasadniczo nie znam, nie moje pokolenie.

- Wyobraźni, widzę, też ci brak... - burknął rozdrażniony Baliński. - To sobie przypomnij, co robiłeś wieczorami, kiedy byłeś w jego wieku. Chyba że jesteś już takim starym ramolem, że nawet pamięć cię zawodzi.

Bączek zamyślił się głęboko i wygrzebał z zakamarków pamięci wspomnienia sprzed dwóch dekad. Przypomniał sobie sobotnie wieczory spędzone w nieistniejącym już kinie studyjnym Oskar, które zamknięto w lecie dwa tysiące trzeciego roku. Ze zdziwieniem uświadomił sobie, że przecież mija ten budynek każdego dnia, w końcu dziś mieści się tam Dom Klubowy Policji. Wrócił myślami do studenckich czwartków organizowanych w lokalach skupionych wokół placu Grunwaldzkiego i Wybrzeża Wyspiańskiego, w których niejednokrotnie przepił całe stypendium w trakcie jednego wieczoru.

- No dobra, coś w tym jest - przyznał po chwili. - Masz jakieś wnioski?

- Domysły raczej, ale wszystkie da się zweryfikować. Zaryzykuję hipotezę, że chłopak pracował nad czymś ważnym, co pochłaniało cały jego czas.

- A jego koledzy nie wiedzą, nad czym tak intensywnie mógł pracować?

- Ani jeden. I to jest właśnie dziwne. Podobno trzymał to w tak głębokiej tajemnicy, że nigdy nie włączał komputera, kiedy jego współlokator był w pokoju.

- A co ten współlokator robił w czasie, kiedy Jurek komputer włączał? - zapytał podkomisarz wyraźnie zaintrygowany. - Jeśli się tak codziennie włóczył po spelunach, to chyba na pieniądzach musiał spać, piwo w knajpie parę złotych kosztuje. W akademikach raczej dzieci krezusów nie mieszkają.

- Ha! - wykrzyknął z satysfakcją Baliński i zerwał się na baczność. - Widzisz, ja też potrafię rozwiązywać zagadki. Otóż, mój drogi, niezasłużenie odznaczony przyjacielu, tenże współlokator, niejaki Damian Michnowski, był sownie wynagradzany za spędzanie wieczorów poza swoim formalnym miejscem pobytu tymczasowego. Wynagradzany przez nikogo innego, jak przez naszego szanownego sztywnego pacjenta. Jurka znaczy.

- A ty dalej swoje? - zachnął się Bączek.

- Co?

- Nigdy mi nie wybaczysz tej sprawy Pruskich bab, prawda?

- A co ja mam ci wybaczać... - odparł młodszy aspirant, ale w jego tonie wyraźnie zabrzmiała nuta żalu. - Rozwiązałeś, to rozwiązałeś, Baczmański trochę ci pomógł, wielkie mecyje.

- Po prostu miałem szczęście i posłuchałem intuicji. Bez ciebie i twojej wycieczki do Lubięża pewnie nie dałbym rady.

- Dobra już, dobra. - Baliński wyraźnie nie miał ochoty drażnić tego tematu bez końca. Wyprostował niewidoczne zagięcia na spodniach i usiadł w fotelu, patrząc przez okno wychodzące na fosę. - Wróćmy do naszej otwartej sprawy, może tym razem to ja będę miał szczęście. O ile, oczywiście, z za rogu nie wyskoczy nam Prusko ani jej mężulek.

Bączek poczuł dreszcz biegnący mu wzdłuż kręgosłupa. Jego szósty zmysł podchwycił słowa Balińskiego i trzymał jak imadło. Niemożliwe. Wykluczone. Absolutnie absurdalne i mowy nie ma! Cholera jasna, a jednak.

- Mówisz zatem, że nasz denat sypał hojnie groszem - odezwał się spokojnie, usiłując nie zdradzić niepokojącej myśli. - A skąd on te skarby króla Midasa posiadał? Mamusia zamożna?

- Coś ty! Bieda piszczy, aż miło, rentę rodzinną po mężu ma, mieszkanie do wojska należy. Na Hawajach raczej też wakacji nie spędza.

- Jakim więc cudem Jurek został mecenasem nocnego życia współlokatora? Kradł?

- No tego właśnie jeszcze nie wiem - przyznał ze skruchą Baliński. - Koledzy z obyczajówki i cyberprzestępczości mają go dokładnie prześwietlić, ale wygląda na to, że zarabiał w gotówce.

- No to nic tu po nas, Krzysiu, pora odgwizdać fajrant. Idź do domu, pogłaszcz żonę po brzuchu i odpocznij. Ja tu zaraz wszystko pozamykam i widzimy się jutro, może coś nam znajdą ci twoi koledzy.

Baliński dopił kawę, opłukał kubek i udał się do domu, skinąwszy głową na pożegnanie. Po wyjściu kolegi Bączek rozłożył się w fotelu i zamyślił nad czarnym proroctwem, które zawisło w powietrzu. Tajemnicze morderstwo wrocławianina na Podlasiu - to brzmiało jak kalka tej przeklętej sprawy Pruskich bab, jak jej lustrzane odbicie. Nawet Surym w szpitalu zdawał się niczym *déjà vu*. Niech diabli wezmą te cholerne awanse i odznaczenia, co za licho postawiło na jego drodze tych wszystkich Prusków! Niespokojne myśli podkomisarza poszybowały do Augustowa i skupiły się wokół inspektora Wilczyńskiego. Ciekawe, czy wszystko u niego w porządku...

Inspektor Kazimierz Wilczyński stawiał się w augustowskiej komendzie punktualnie o godzinie ósmej rano, z miejsca zyskując sympatię tymczasowego komendanta Sławomira Lubiewicza, gdyż ten bardzo szanował ludzi, którzy szanowali czas innych.

- Witam serdecznie, panie inspektorze. - Wyciągnął rękę i uśmiechnął się do korpulentnego wrocławianina. - Przykro mi, że poznajemy się w takich okolicznościach.

- Wzajemnie i zaiste przykro. - Wilczyński odwzajemnił silny uścisk dłoni sympatycznego zastępcy komendanta.

- Mogę panu zaproponować kawę?

- Ze wszech miar! - ucieszył się Wilczyński. - Tylko mocną i w dużym kubku.

Lubiewicz wyjął z szafki sagan, którego nie powstydzilby się Kubuś Puchatek, a Wilczyński aż zatrzepotał z radości rżęsami na jego widok. Pół litra najmarniej w nim się zmieści, w sam raz na poranny rozruch.

- Panie inspektorze - zaczął augustowianin, stawiając po chwili kubek z kawą przed swoim gościem - zanim pojedziemy do Białegostoku, chciałbym z panem porozmawiać na temat Patryka. Nie ma pan nic przeciwko?

- Kazik jestem - odparł tamten, dmuchając na parujący płyn.
- Jasna sprawa, przecież inaczej w ogóle bym się tu nie fatygował.

- Sławek, miło mi. - Lubiewicz się uśmiechnął i spoczął na krześle. - No więc miejmy to już za sobą: czy masz jakiegokolwiek pojęcie, co twój siostrzeniec mógł robić w Augustowie?

- Zasadniczo to mogę się jedynie domyślać. Patryk był etnografem, takim od badań terenowych, zajmował się kulturą ludową i jeździł po całej Polsce, głównie po regionach rolniczych. Rustykałność go pasjonowała.

- Jak... Bronisław Malinowski? - zabłysnął Lubiewicz, wprawiając samego siebie w podziw.

- No tak jakby. Tylko tamten oszołom Polinezyjczyków badał, a mój, znaczy Danki, cudak wołał takich na przykład Hucułów. Albo Łemków. Albo Mazurów, jak wolisz.

- I tych Mazurów w Augustowie mógł badać?

- No mógł, dlaczego nie? - Zaskoczenie w głosie Wilczyńskiego wynikało nie tyle z niewiedzy Lubiewicza, ile z wiedzy samego inspektora na temat dziedziny nauki, którą parał się jego siostrzeniec. Kiedy on w ogóle słyszał o badaniu Hucułów albo polinezyjskich peregrynacjach Malinowskiego? -

Niemniej, jeśli już tak sobie szczerze rozmawiamy, moim zdaniem przyjechał tu z zupełnie innego powodu.

- O.

- Dokładnie tak: o. - Inspektor pokiwał głową i upił spory łyk gorącej kawy. - Dobra! - pochwalił trunek i ukontentowany kontynuował rozpoczętą myśl: - Otóż, Sławku, moim osobistym zdaniem Patryk przyjechał tu do swojej koleżanki, którą mamy nieszczęście znać obaj, czyli do niejkiej Edyty Prusko.

- To już kolejny raz, kiedy słyszę to nazwisko zestawione ze słowem „nieszczęście”. Czy ja o czymś nie wiem? Albo czy ona jest jakimś złym szelągim? Nie sądzisz chyba, że Edyta ma jakikolwiek związek z morderstwem?

- Z morderstwem nie. Ale jest wielce prawdopodobne, moim osobistym, rzecz jasna, zdaniem, że może mieć coś wspólnego z mordercą.

Lubiewicz spojrział na wrocławianina z uwagą i przez chwilę nic nie mówił. Zastanawiał się nad tą, bądź co bądź ryzykowną, teorią. Przeprowadził ekspresowy proces myślowy i ostatecznie doszedł do wniosku, że warto sprawdzić tę hipotezę. W końcu żadnej innej nie mają.

- Zakładając, że to prawda - zaczął cicho - to co według ciebie powinniśmy teraz zrobić?

- Teraz, zaraz po tym, jak wypijemy kawę, pojedziemy do zetemesu, a później odwiedzimy panie Prusko.

- Jak to: panie? - wystraszył się Lubiewicz, wyobrażając sobie radość, z jaką odwiedziny w domu Henryka Grabskiego przyjmie komendant Popławski po powrocie z urlopu.

- No przecież one zawsze występują w pakiecie. A czasami z dodatkami, nie wiem, czy słyszałeś o niejkiej pani Patrycji. Mówię ci, Sławek, jak ja się cieszę, że ona nie jest jedną z tych Pruskich bab.

W tym samym czasie kiedy Kazimierz Wilczyński rozprawiał w Augustowie o słynnych etnografach, w Komendzie Wojewódzkiej we Wrocławiu podkomisarz Bączek szykował się do rozpoczęcia służby. W planie miał sporo papierkowej roboty, a po południu chciał się spotkać z prokuratorem Jagielskim. Baliński natomiast się spóźniał.

Po dwudziestu minutach Bączek wybrał numer jego telefonu komórkowego, jednak połączyć mu się nie udało. Zadzwoił więc na numer domowy, czego starał się zwykle nie robić, ale w końcu miał prawo zaniepokoić się nieobecnością podwładnego.

- Halo? - Telefon odebrało dziecko. Jedno z trojga dzieci Balińskiego, Bączek nie miał pojęcia które.

- Dzień dobry, tata jest?

- Nie ma.

- A gdzie jest?

- U dentysty. Ząb go bolał i tłukł głową w ścianę, więc mama mu zawołała taksówkę i pojechał na ostry. Nie wiem, dlaczego ostry, ale mama tak mówiła.

W słuchawce nagle rozległ się wysoki damski głos:

- Co tam robisz, Michał?! Kto dzwoni?!

Wystraszone dziecko coś odpowiedziało, po czym telefon musiał zostać przejęty przez jego matkę, bo Bączek tym razem usłyszał skierowane wprost do jego ucha:

- Halo?! Kto mówi?!

- Dzień dobry pani, Michał Bączek, podkomisarz. Kolega Krzyśka.

- Aaaaa, pan Michał, dzień dobry. - Uspokojona pani Balińska brzmiała nawet przyjemnie. Już nie było słycać tych jadowitych tonów w jej głosie. - Pan do Krzyśka? Musiał pojechać do chirurga, wie pan, z tym zębem. Całą noc nie spaliśmy, tak go rwał.

- Przykro mi to słyszeć. Dziękuję za informację, proszę mi tylko przekazać, żeby dał znać, co z nim.

- Oczywiście, oczywiście. Przepraszam pana bardzo - dodała szybko - muszę się rozłączyć, bo mi się dziecko władowało do pralki i nie może wyjść. Do widzenia!

Bączek nie zdążył już nic powiedzieć, pomyślał jedynie, że nie zazdrości Balińskiemu tych jego trzech żywiołów. Nie ma się co dziwić, że chłopak się załamał na wieść o kolejnym, chyba teraz na poważnie pomyśli o wazektomii. A przynajmniej powinien.

- No, to, Bączek, znów zostałeś sam na placu boju. Nie masz ty szczęścia ostatnio, bez dwóch zdań - powiedział sam do siebie, po czym dopił kawę i ruszył do kolegów z cyberprzestępczości, żeby się dowiedzieć, co udało im się znaleźć na temat źródła dochodu Jerzego Markiewicza. O ile cokolwiek udało im się znaleźć.

Powrót Henryka, jak zawsze, był wielkim świętem. Za każdym razem, gdy Henio wybywał w tajnych celach, pani Krystyna drżała o jego bezpieczeństwo, a pozostali członkowie rodziny z trudem podtrzymywali ją na duchu, udając, że problemu nie widzą. Odkąd przeszedł na oficjalną emeryturę, zmieniło się jedynie to, że już w gazetach o nim nie pisali. Był szarą eminencją stojącą za każdym spektakularnym sukcesem polskiego wymiaru sprawiedliwości. I w dalszym ciągu nie był bezpieczny.

Po czułych powitaniach, kiedy już emocje ostygły, przyszła kolej na wymianę aktualności i uzupełnienie wiedzy Grabskiego o zdarzenia, które miały miejsce podczas jego nieobecności. Tym razem cała rodzina Prusków śniadała w Starej Stanicy, ku zadowoleniu Emila. Z tej okazji postarał się wyjątkowo i przygotował śniadanie kontynentalne z prawdziwego

zdarzenia. Z rozpędu takie same delikatesy przypadły w udziale letnikom, a niech tam mają!

- Mmmm - mrucał Henryk, żując z rozkoszą chrupiący plaster bekonu. - Okropnie mi ciebie brakowało, Emilu.

- No, weźże się uspokój, bo jeszcze ktoś sobie coś nieprzyzwoitego o mnie pomyśli! - zachnął się kucharz, choć widać było wyraźnie, że wielką radość sprawił mu ten komplement.

- A kto by coś miał myśleć, panie Emilu? - Patinka wycmokąła ubrudzone tłuszczem opuszki palców. - Jakbym mogła, tobym się tu na stałe przeniosła. Tylko gruba bym była niemilosierdzie od tej pana kuchni ekstraordinaryjnej. Jak pani to robi, pani Krysiu, że pani tak figurę trzyma?

- A bo ja wiem? - Babcia Prusko wzruszyła ramionami, przeżuwając wielki kęs chleba. - Chyba geny. My, Prusowie, raczej nigdy grubi nie byliśmy.

- No to ja krowie spod ogona musiałam wylecieć - burknęła Edyta, poluzowując gumkę w ciężowych spodniach, które zaczęły ją mocno uciskać. - Do porodu na taczkach mnie zawiezicie, bo sama chodzić nie będę mogła.

- A przestań ty pindolić, Edzia! - fuknęła przyjaciółka. - Tyłek suchy jak u mojej Waćpanny, czego ty się spodziewałaś? Że gdzie te dzieci wyhodujesz? Pod kręgosłupem?

- Bardzo dobrze, Patinka! - poparła ją pani Krystyna. - Edytka to chyba z konia zbyt wiele razy spadła i te tik-taki w mózgoznaczce jej się pogubiły, bo wcale się nie stykają.

- Oj, zjeźdźcie już ze mnie - obraziła się Edyta. - Wiecie, że ja ponad dziesięć kilo przytyłam? Pięknie się zapowiada, samotna matka z dwójgiem dzieci i dwudziestoma kilogramami nadwagi.

- Bardzo dobrze wyglądasz, moja duszko - odezwał się Henryk, który zdołał już pochłonąć całą zawartość swojego talerza, a sos z fasolki wytarł do sucha chlebem. - I wszystko

szybko zrzucisz, zobaczysz. Twoja mama też w ciąży z bliźniaczkami sporo przybrała, a patrz, jaka z niej smukła łania.

Przywołana pani Basia nie odzywała się słowem, uśmiechając się lekko. Podobną dyskusję odbyła z Edytą poprzedniego wieczora, ale ani ona, ani nikt inny nie potrafił przemówić upartej dziewczynie do rozsądku. Nikt poza Henrykiem.

- Serio tak myślisz? Teraz sobie przypominam, że mama faktycznie jak bałwanek się toczyła... No dobra - roz pogodziła się nagle. - To poproszę jeszcze trochę tej jajecznicy, Emilu. Niebo w gębie!

- Jedz na zdrowie, podlotku! - Mirosławski pogłaskał Edytę po głowie, jak wtedy gdy miała pięć lat i z zapalem pałaszowała jajecznicę na szynce, jej ulubione danie śniadaniowe. - A pana Mateusza to dlaczego nie zaprosiłaś, Krystyna? On też w końcu familia - zwrócił się do pani Prusko tonem niekoniecznie odpowiednim dla relacji z pracodawcą.

- Sprawy miał do załatwienia, więc grzecznie odmówił. A tobie co do tego? - zirytowała się pani Krystyna. - Strasznie się zrobiłeś ostatnio zainteresowany.

- Wiesz co - Emil dyszał już jak byczek Fernando, tylko buchających mu z uszu kłębow par brakowało - czepiasz się mnie o wszystko, jakbym ci naprawdę bardzo przeszkadzał. A ja do ciebie z sercem, z duszą na dłoni. Normalnie nóż mi w plecy wbijasz, Krystyna! - Kucharz wykonał dramatyczny gest mający prawdopodobnie symbolizować ból złamanego serca, wyszło mu jednak coś na wzór pacnięcia się w czoło przez osobę, której wyskoczył dysk w kręgosłupie.

- Dajże spokój, niecnoto. - Pani Krystyna, która przecież kochała Emila jak członka rodziny, próbowała załagodzić sytuację. - Wrażliwy się zrobiłeś okrutnie, jak stara baba, nikomu nie uwłaczając.

Mirosławski prychnął pogardliwie, przewrócił oczami i wyszedł do kuchni. Gdyby miał się przejmować każdą utarczką z Krystyną, niechybnie już dawno postradałby zmysły, a na pewno stracił wypielegnowany przez cztery dekady szacunek do siebie.

- No dobrze, moje kochane Prusaczki - odezwał się Henryk po wyjściu kucharza. - To co ciekawego się wydarzyło? Słyszałem, że nudno nie było - dodał z uśmiechem i puścił oko do Edyty.

- To słowo w naszej nomenklaturze przestało istnieć długi czas temu - odparła pani Krystyna, odnosząc się niewątpliwie do przysłowka „nudno”. - Wiecie, ja to się zaczęłam zastanawiać, czy to z nami coś jest nie tak, czy może świat zwariował. Chwilami myślę sobie, że jakaś klątwa nad nami ciąży.

- Ty już z klątwami to sobie daj spokój, babciu - rzuciła szybko Edyta, wyraźnie nawiązując do tak zwanej klątwy Prusków, która miała ich obligować do przekazywania swego nazwiska małżonkom bez względu na płeć w celu zachowania możliwości prokreacji. - Dobrze wiesz, że nic się nie dzieje bez przyczyny, choćby nie wiem, jak przypadkowe się wydawało.

- Zamordowanie Patryka z pewnością przypadkowe nie było - zgodził się z wnuczką Henryk. - Tak samo jak zabójstwo kustosza Muzeum Ziemi Augustowskiej.

Edyta krzyknęła tak głośno, że Emil ze strachu upuścił niesione właśnie talerzyki deserowe, przygotowane specjalnie na stygnącą w kuchni szarlotkę. Dźwięk tłuczonej porcelany rozległ się głuchym echem. Patinka dostała czkawki, a Krystyna Prusko oblała się herbatą. Pani Basia i pan Tadeusz zamarli ze wzrokiem wlepionym w Henryka. Sam zaś Henryk pojął skalę popełnionej niedelikatności odrobinę zbyt późno. Mleko, a w zasadzie herbata, się rozlało, talerze potłukły.

- Wnioskuje, że ta informacja jeszcze do was nie dotarła - stwierdził z miną skruszonego sztubaka, któremu przypadkiem udało się wybić szybę kamieniem wystrzelonym z procy. - Bardzo was przepraszam. Edytko, dobrze się czujesz?

Wszyscy nagle popatrzyli na dziewczynę, która wyglądała, jakby miała za chwilę zemdleć. Muśnięta słońcem twarz przybrała kolor kredy, policzki się zapadły, a klatka piersiowa niemal zastygła w bezruchu.

- Oddychaj, Edzia! - wrzasnęła Patinka, trafnie odgadując, co się święci. - To atak paniki. Emilu, niech no pan otworzy szybko wszystkie okna, musimy ją dowentylować. - Chwyliła przyjaciółkę pod rękę i zaprowadziła do okna wychodzącego na rzekę.

Edyta zamknęła oczy i powoli wdychała pachnące świeżą trawą powietrze.

Henryk z przerażenia zaniemówił i biczował się w myślach. Powinien był przewidzieć reakcję Edyty.

- Heniu? - odezwała się dziewczyna ledwo słyszalnym szeptem. - K...kiedy zamordowano pana Bednarza?

- Najprawdopodobniej przedwczoraj. Myślałem, że wiecie...

- A niby skąd mielibyśmy wiedzieć? - rzuciła ze złością pani Krystyna. - Żadnych wiadomości nie oglądaliśmy, a Popławski na urlopie. Piękne rzeczy! Augustów nową stolicą mordu. Ameryka nam się tu zrobiła.

- No i nie zapominajmy o pościgach samochodowych pod oknami komendy - dodała zjadliwie Patinka.

- Przepraszam, że tak niegrzecznie zapytam, ale... co takiego? - Henryk przeniósł na właścicielkę wydawnictwa wzrok wyrażający bezbrzeżne zdziwienie.

- Dokładnie to, co pani Patrycja powiedziała - burknął Emil, któremu udało się pozbierać wszystkie fragmenty potłuczonych talerzyków. - Sam przecież mówiłeś, że się nie nudziliśmy.

- Miałem na myśli zamordowanie kustosza - wyjaśnił Grabski przepaszającym tonem. - O żadnych innych zbrodniach nie wiedziałem.

- No to już wiesz - ucięła pani Krystyna, wciąż wściekła nie wiadomo na kogo.

- Ależ, Krysiu, ja właśnie nic nie wiem - powiedział Henryk najcieplej, jak potrafił, najwyraźniej niewiele rozumiejąc z całej sytuacji.

Edyta, uwieszona na jego ramieniu, pogłaskała go po policzku.

- Ktoś potrącił Rafała, bo podobno widział mordercę Patryka - wyjaśniła. - Wjechał na chodnik i uderzył w niego tuż pod samą komendą.

- Rany boskie! - Henryk złapał się za głowę. - I nikt nie widział, kto to był? Policja nie ma żadnych podejrzeń?

- Policja nie ma, ale ja wiem, kto to zrobił - odezwał się Emil, rozstawiając na stole spodki z zapasowego kompletu. - To było czerwone auto, a czerwonym autem jeździ Martyna. Martyna miała powód, żeby rozjechać Rafała, więc wszystko się zgadza, cześć pieśni.

- Ty się chyba naprawdę za dużo oparów w tej kuchni nawąchałeś - zrugła go natychmiast pani Krystyna. - Pół świata jeździ czerwonymi samochodami, a ty bezwstydnie rzucasz oszczercze oskarżenia na Bogu ducha winną kobietę.

- Imponujesz mi, Krystyna - odparł poważnie Emil, ani na chwilę nie tracąc rezonu.

- Podejrzewam. - Pani Prusko zdawała się nie słyszeć jadowitej nuty w głosie kucharza. - A czym tym razem?

- Myślałem, że poziom mistrzowski w byciu żołą osiągnęłaś już dawno, ale jak widać, zawsze może być lepiej.

Na kilka sekund powietrze zastygło, a obecni w saloniku uczestnicy śniadania wstrzymali oddech. Wszyscy poza Emilem,

który jeszcze nie postawił kropki nad „i”.

- To jest wyłącznie kwestia czasu, kiedy poznacie się na moim geniuszu. Ja wam to mówię: Mirosławski Emil. Honorowy obywatel miasta Kartuzy, stolicy Kaszub. - Ostatnie słowa wypowiedział tonem tak uroczystym, że można by pomyśleć, iż honorowe obywatelstwo Kartuz znaczyło co najmniej tyle, co tytuł profesora zwyczajnego.

Pierwsza zaczęła chichotać Edyta. Po chwili wszyscy do niej dołączyli, a pani Krystyna śmiała się najgłośniej. Śmiał się także Henryk, choć w jego wzroku nie było wesołości.

- Porządny z pana człowiek - powiedział Surym do Andrzeja Lewczyńskiego, kiedy ten poprawił mu poduszkę pod głowę. - Leżę tu sam jak palec, całymi dniami gapię się w sufit. Ani z kim pogadać, ani nawet książki żadnej nie mam, żeby na czymś wzrok zawiesić i myśli trochę zająć.

Andrzej pokiwał ze smutkiem głową, nie bardzo wiedząc, co powinien powiedzieć. Na szczęście Rafał tak bardzo potrzebował się wygadać, że prowadzenie monologu wcale mu nie przeszkadzało.

- Widzi pan, panie komisarzu, to wszystko jest jakieś ostatnio nienormalne. Przejechałem całą Polskę, dalej to byłoby chyba tylko ze Szczecina do Zakopanego, bo chciałem naprawić błędy z przeszłości. Rozumie pan?

Lewczyński skinął na znak, że rozumie.

- Nie dość, że straciłem matkę, że nawet puścić się jak człowiek nie umiałem porządnie, to w dodatku żony nie potrafię odzyskać. No, niech mi pan powie, panie komisarzu, Andrzeju, co jest ze mną, do diabła, nie tak?!

Andrzej poczuł oblewający go pot na myśl o tym, że znów będzie musiał znosić wybuch płaczu, zaczął więc gorączkowo

myśleć nad niezwłoczną zmianą tematu. Edyta z oczywistych względów odpadała. Dobra, niech będzie Patryk.

- Proszę się nie denerwować, panie Rafale, w pana stanie nerwy mogą tylko zaszkodzić. A może przypomniał pan sobie coś z tego wieczora, kiedy wyszedł pan z panem Patrykiem Mączką?

- To on się Mączka nazywa? No widzi pan, mówiłem, że Edyta będzie wiedziała. Ona zawsze miała jakiś dziwny talent do nazwisk i nazw. Mogłaby panu z pamięci wyrecytować niemieckie nazwy ulic Wrocławia z czasów, jak to było jeszcze Festung Breslau. Niech ją pan zapyta, wszystko pamięta. Pan ją dobrze zna? - zagaił zniechęca.

- Yyy... - zająknął się Andrzej. - Czy dobrze? Chyba bym nie powiedział, że znowu aż tak dobrze... - Dokładnie w tej chwili zrozumiał, co to jest „białe kłamstwo”. Choćby było bielsze niż śnieg, paliło w duszy tak samo jak każde inne. - No, a ten Mączka?

- Kto?

- Patryk Mączka, ten znajomy Edyty. I pana.

- Aaa, no sam pan widzi, ja w ogóle do nazwisk nie mam głowy, dobrze, że własne pamiętam - zarechotał Surym jak ropucha i po chwili zaczął kaszleć.

Andrzej przyglądał mu się w skupieniu, walcząc z narastającą irytacją. Na siebie się irytował, bo zaczynał tego gościa lubić.

- Mówimy o powierzchownej znajomości, bo tak bym właśnie określił tę moją z Patrykiem. Znałem go bardzo słabo, kilka razy spotkaliśmy się przy okazji jakiejś imprezy, na którą poszedłem razem z Edytą, i w zasadzie tyle.

- Właściciel hotelu mówił, że przywitali się panowie bardzo wylewnie - zablefował Andrzej i bacznie obserwował reakcję Rafała. Żadnej nie było.

- No fakt, ucieszył się na mój widok, jakbym mu co najmniej obwieścił, że w totolotka wygrał. W sumie to trochę mi głupio było, wie pan, jak on tak pisał ze szczęścia. Skojarzył mi się ze szczeniakiem, którego czeka spacer.

- A dlaczego tak się cieszył?

- Myślał, że skoro mnie spotkał, to zaraz zjawi się też Edyta - wyjaśnił ze smutkiem Surym. - Nie miał pojęcia o naszych problemach.

- Czyli on tu przyjechał zobaczyć się z Edytą, dobrze rozumiem? - Lewczyński puścił mimo uszu uwagę o kłopotach małżeńskich Rafała, z całych sił próbując zapomnieć, że ten gość jest mężem Edyty. Jego Edyty.

- Tak mówił. Z Edytą i z kimś jeszcze, z jakimś doktorem. Czy może profesorem? - Rafał się zamyślił. - A może chciał się zobaczyć z kimś, kto znał jakiegoś profesora z Wrocławia? Tak prawdę mówiąc, to ja go słuchałem raczej wybiórczo...

- No dobrze, zostawmy to na chwilę. A wieczorem, jak wyszliście razem? Opowie mi pan o tym jeszcze raz?

- Lepiej! - Surym się wyszczerzył. - Przypomniało mi się to, czego poprzednio nie pamiętałem!

Sprawy, które miał do załatwienia Mateusz Roszkowski, nazywały się Adrianna Górecka. Tak przynajmniej widniało w dokumentach, które udało się zdobyć dzięki Henrykowi. Nazwisko Grabskiego otwierało wiele drzwi, zwłaszcza w zbiurokratyzowanym świecie archiwów i rejestrów, więc z jego pomocą ustalenie personaliów praktykantki pomagającej w aptece Janusza Dąbrowskiego stało się dziecinnie proste.

W urzędzie miasta Roszkowski potwierdził, że Adrianna Górecka wciąż mieszka w rodzinnym domu na terenie Sajenka, dawnej wsi przyłączonej do Augustowa na początku lat siedemdziesiątych. Zdziwiło go trochę, że jego narodziny

odbyły się w odległym Knyszynie, ale liczył na to, że i tę zagadkę uda mu się rozwiązać.

Z duszą na ramieniu Mateusz wysiadł z samochodu, celowo zostawiając go na odległym parkingu. Potrzebował jeszcze kilku minut na poukładanie myśli i zebranie się w sobie, spacer doskonale temu celowi służył. Starał się zapanować nad rosnącym uczuciem, które na własny użytek określał mianem zwątpienia, a tak naprawdę było panicznym lękiem.

Zatrzymał się pod drzwiami wejściowymi, wziął trzy głębokie wdechy i nacisnął dzwonek. Przez chwilę nie słyszał nic poza własnym sercem walącym w piersi, jakby zaraz miało się z niej wyrwać. Tysiące wylatanych godzin nigdy nie dały mu takiej dawki adrenaliny.

Z głębi domu usłyszał regularny rytm kroków i zrozumiał, że już nie było odwrotu. Szczęknęła zasuwa zamka i drzwi uchyliły się nieznacznie.

- Dzień dobry. - Na progu stała wysoka, na oko trzydziestokilkuletnia kobieta o wielkich zielonych oczach. Jej długa szyja natychmiast przywodziła na myśl żyrafę. Przyglądała się Roszkowskiemu z zaciekawieniem. - Czy pan do nas?

- Dzień dobry... - No tak. Tyle sobie przygotował. Ale co mówić dalej?

- Kalinko, kto to? - Zza żyrafy wyłoniła się równie wysoka piękność, acz w wieku nieco bardziej zaawansowanym. Miała idealną fryzurę przywodzącą na myśl czasy, kiedy serial *Dynastia* gościł w niedzielne popołudnia na ekranach telewizorów polskich rodzin. Gdyby nie to, że jej koafiura ufarbowana była na miedziany kasztan, wyglądałaby jak sobowtór Krystle Carrington.

Roszkowski poczuł, jak oddech mu przyśpiesza, i wreszcie zrozumiał, skąd u niego „te piękne kości policzkowe”. Jego matka nawet teraz wyglądała jak miss świata.

- Pani Adrianna? - zaczął nieśmiało, kiedy wróciła mu mowa.
- Czy pani jest Adrianną Górecką?

- W rzeczy samej. - Piękność się uśmiechnęła, sprawiając, że w ułamku sekundy świat stał się nagle rajskim ogrodem. - Proszę wejść, nie będziemy przecież rozmawiać na progu. Czekałam na pana.

Z sercem walącym niczym młot kowalski zrobił krok przez drzwi, które żyrafa o skonsternowanym obliczu otworzyła szeroko. Adrianna Górecka poprowadziła Mateusza w głąb korytarza ze ścianami udekorowanymi fotografiami w białych ramach. Wszystko tu krzyczało, że to dom majątnych i szczęśliwych ludzi.

- Napije się pan czegoś, panie? ... - zaproponowała piękna gospodyni, kiedy Roszkowski i żyrafa o imieniu Kalina dołączyli do niej w gustownie urządzonej pokoju dziennym.

- Mateusz - odpowiedział, rozglądając się z uznaniem po jasnym pomieszczeniu. - Mateusz Roszkowski. Chętnie napiję się kawy, jeśli to nie będzie dla pani problem.

- Najmniejszy, panie Mateuszu - odparła z uśmiechem kobieta. - Proszę pozwolić, że przedstawię panu moją córkę. Kalina Górecka.

- Bardzo mi miło. - Roszkowski uścisnął dłoń dziewczyny, która patrzyła na niego z niegasnącym zainteresowaniem. - Mówiła pani, że na mnie czekała. Widziała pani, jak szedłem?

- Czekałam na pana czterdzieści cztery lata, panie Mateuszu - zaśmiała się Adrianna. - Wiedziałam, że nadejdzie ten dzień, kiedy mnie pan odszuka. I wreszcie się doczekałam.

- To... To pani wie, kim jestem? - wykrztusił.

- Jest pan tak podobny do swojego ojca, że raczej trudno o pomyłkę.

- A więc jest pan moim zaginionym bratem? - odezwała się wreszcie żyrafa, uśmiechając się promiennie. - Ależ

niespodzianka!

Oszołomiony Roszkowski patrzył to na jedną, to na drugą kobietę, nie potrafiąc zebrać myśli. Spodziewał się zaprzeczeń, zatrzaśniętych drzwi, w najlepszym wypadku suchej odprawy, w najśmielszych snach nie przypuszczał jednak, że mógł być oczekiwany! Zakręciło mu się w głowie od nadmiaru emocji i musiał się podeprzeć. Nieopatrznie wsadził łokieć w stojącą na kredensie misę z winogronem. Zorientował się dopiero, kiedy sok przesiąkł przez materiał koszuli.

- Przepraszam najmocniej! - wykrztusił w zawstydzeniu. - Zwykle nie jestem niezdarny, jestem zawodowym żołnierzem, pilotem, doskonale wiem, gdzie trzymać łokieć.

- Nic nie szkodzi, proszę się tym nie przejmować, usiądźmy.
- Adrianna wskazała na komplet wypoczynkowy ustawiony po drugiej stronie pokoju.

Kalina przyniosła tacę z trzema filiżankami kawy, które zgrabnie ustawiła na stoliku obok kanapy obitej skórą w kolorze écru. Po chwili postawiła na nim także spodeczek z korzennymi ciastkami w kształcie serca. Adrianna i Mateusz w jednym momencie sięgnęli po ciasteczko, a ich ręce się zetknęły.

- No, no - zaśmiała się Kalina. - Kto by pomyślał, że miłość do ciastek korzennych także może być dziedziczna. To ulubiony smakołyk mamy!

- Mój w zasadzie też. - Roszkowski spłonął rumieńcem i uśmiechnął się nieśmiało. - Kawa bez ciastka to nie kawa.

- Pełna zgoda! - Adrianna klasnęła w dłonie z radości. - Kawa musi być mocna, czarna i zagryziona imbirowym herbatnikiem!

Przypadkowe odkrycie wspólnego upodobania do korzennych wypieków rozluźniło atmosferę i pozwoliło Mateuszowi pokonać stres. Wciąż czuł się nieco skołowany, ale sympatia bijąca od obu kobiet coraz bardziej trafiała do jego

serca. Po kwadransie uprzejmych pogaduszek o niczym wreszcie poczuł w sobie siłę, żeby wyciągnąć na wierzch temat, który sprowadził go do tego domu.

- Ekhm... - odchrząknął i wytarł okruszki ciastka w spodnie. W skórzaną sofę raczej nie wypadało. - Pani Adrianno, przyznam szczerze, że odrobinę jestem zdziwiony tym ciepłym przyjęciem. Jadąc tutaj, nie spodziewałem się, że w ogóle wpuści mnie pani do domu.

- To całkowicie zrozumiałe, panie Mateuszu. - Górecka spojrzała na niego niemal z czułością w zielonych jak szmaragdy oczach, odrobinę ciemniejszych niż u jej córki. - Ja nigdy nie miałam pewności, czy w ogóle kiedykolwiek się spotkamy. Moje serce pragnęło tego ogromnie i nie porzucało nadziei, ale nie mogłam być tego pewna. W końcu nigdy tak naprawdę nie byłam pana matką.

- O tym, że kobieta, którą całe życie nazywałem matką, nie dała mi życia, dowiedziałem się bardzo niedawno - odwdzińczył się szczerością Roszkowski. - Wie pani, ona naprawdę była wspaniałą kobietą. Zresztą poznała ją pani. To lekarka, która pomogła pani zostawić mnie w szpitalu.

- Ona? - Adrianna otworzyła oczy ze zdumienia. - Ta miła pani doktor, Adamska?

- Janina. Nazywała się Janina Roszkowska, to znaczy wtedy, kiedy pani ją poznała, nazywała się Adamska, potem zmieniła nazwisko.

- Zapamiętałam ją jako bardzo dobrą i ciepłą osobę. - Dojrzała piękność kiwała głową.

- Taka właśnie była. Mądra, dobra i ciepła. I kochała mnie bardzo - zapewnił gorliwie.

- Kochała? To znaczy, że ona? ...

- Tak, niestety, nie żyje. Pokonał ją rak, na szczęście nie męczyła się długo. Tuż przed śmiercią opowiedziała mi o pani.

Nie pamiętała pani nazwiska, a tylko... - Urwał nagle, przypomniawszy sobie, jak w ogóle odkrył jej tożsamość.

- Znalazł mnie pan przez Prusków? - domyśliła się. - Proszę się nie martwić, ja doskonale wiem, jak wyglądają losy tej rodziny, znamy się z Krysią od wielu lat. Znam także jej zięcia, a pańskiego... brata. Na szczęście oni nie mają pojęcia o mojej historii.

- Pani Adrianno, czy ja mogę o coś zapytać? - Mateusz spuścił wzrok, jak gdyby wciąż ważył kłębiące mu się w głowie myśli.

- Śmiało. W końcu po to pan tu przyjechał - zachęciła go, uśmiechając się łagodnie.

- Czy... mogłaby pani opowiedzieć mi tę historię tak, jakbym nigdy jej nie słyszał? Tak jak opowiadała ją pani córce?

Przywołana Kalina podniosła wzrok na Roszkowskiego i poczuła ucisk w dołku. Geny czy nie, budził w niej siostrzane uczucia i miała ochotę go przytulić.

- Oczywiście. Szykowałam się na tę chwilę czterdzieści lat. Wszystko panu opowiem. Tobie opowiem, Mateuszu.

W oczach mężczyzny błysnęły łzy. Otarł je ukradkiem, przytomnie pamiętając, który rękaw ma czysty.

Po drodze do Zakładu Medycyny Sądowej w Białymstoku tymczasowy komendant Lubiewicz opowiadał Wilczyńskiemu historię regionu, z zapalem perorując na temat bogactwa kulturowego Suwalszczyzny i Prus Wschodnich w ogólności. Nie omieszkął wspomnieć o babach pruskich, których drożdżowe miniatury można było zamówić w zaprzyjaźnionej cukierni, na co Wilczyński zareagował głośnym stęknieniem. Najchętniej te wszystkie pruskie baby wymazałby z pamięci. Trochę mu jednak żal było awansu.

Na miejscu czekał już na nich prokurator Maciejewski, nie ukrywający swojego zniecierpliwienia. Przywitał Lubiewicza chłodnym „dobry”, podał rękę Wilczyńskiemu, mrużąc coś, co zapewne miało być jego nazwiskiem, i ruszył ku skrzydłu, w którym czuł się zadziwiająco dobrze. Policjanci podążyli za nim.

Pod zabezpieczonymi szyfrowym zamkiem drzwiami Wilczyński poczuł przypływ emocji. Nagle odkrył w sobie tę drugą, ludzką, naturę, jaką zwykle obserwował wyłącznie u krewnych ofiar, z którymi rozmawiał w trakcie swojej długiej kariery. Żołądek podszedł mu do gardła, ręce zaczęły drżeć, a w ustach poczuł suchość jak po zatruciu alkoholowym. Przynajmniej tak owo uczucie pamiętał, alkoholu bowiem od dawna nie pijał.

Maciejewski otworzył drzwi do sali sekcyjnej i podał obu mężczyznom jednorazowe flizelinowe ochraniacze, sam zaś przywdział biały fartuch. Założywszy rękawiczki, wszyscy trzej weszli do środka. Obok stołu sekcyjnego, na którym pod przykryciem leżały zwłoki, stała drobna kobieta, zaczytana w jakichś dokumentach. Wilczyński z zaciekawieniem się jej przyglądał, z miejsca rozpoznając damę o wzorowych manierach. Przypominała mu jego żonę.

- Dzień dobry, Iwonko, rączki całuję! - Maciejewski się wyszczerzył i już się brał za całowanie rączek. Jego zapał ostudził dopiero widok fioletowego lateksu owe rączki odziewającego.

- Dzień dobry, Ludwiku, witam, panie Sławomirze - przywitała się uśmiechnięta, elegancka patolożka. - A pan, jak rozumiem, jest krewnym naszego denata?

- Inspektor Kazimierz Wilczyński - przedstawił się, uznając, że służbowe dystynkcje zrobią na lekarce lepsze wrażenie niż „stryj umarlaka”. - Jestem bratem matki zmarłego.

- Proszę przyjąć moje najszczerze kondolencje. - Rozmówczyni spuściła wzrok w wyrazie szacunku. - Jeśli są

panowie gotowi, to zacznijmy, za chwilę czeka mnie sekcja kolejnej ofiary.

Wilczyński głośno przełknął ślinę i na wszelki wypadek założył ręce za plecami. Skinął głową na znak gotowości. Miał też wrażenie, że zaczęło mu się kręcić w głowie.

Po odkryciu twarzy rozpoznał go od razu. Wbrew dręczącej go od rana głębokiej obawie nic się nie wydarzyło. Nie krzyknął, nie zemdłał, nie rozbeczał się jak baba. A tego ostatniego bał się najbardziej. „Tyle wiemy o sobie, ile nas sprawdzono” – przyszło mu nagle do głowy, nie wiedzieć czemu. Najwidoczniej lata pracy z najcięższymi zbrodniami tego świata utwardziły go lepiej, niż mu się wydawało. A może, skonstatował po chwili, zdążył już się pogodzić z przedwczesną śmiercią swojego siostrzeńca i przeszedł właśnie w tryb profesjonalnego śledczego?

- Czy raport z autopsji zostanie mi udostępniony? - Przerwał panującą w pomieszczeniu ciszę, zaskakując samego siebie stanowczością w głosie. - I akta śledztwa?

- Wraz z aktem zgonu udostępniamy rodzinie wyniki obdukcji - odparła patolożka, zerkając niepewnie na prokuratora.

- Panie inspektorze - zaczął Maciejewski, usiłując przybrać jak najbardziej oficjalny ton - proszę mi wierzyć, że augustowska policja robi wszystko, żeby jak najszybciej sprawę pańskiego siostrzeńca rozwiązać i złapać winnego morderstwa.

- Nie wątpię - odparł Wilczyński. - Niemniej chciałbym włączyć się do śledztwa, o ile, oczywiście, to nie stanowi dla panów problemu.

- Naprawdę nie ma takiej potrzeby - naciskał prokurator. - Mamy świetnych fachowców i z pewnością na rezultaty nie będzie pan musiał długo czekać. Dla dobra sprawy, a przede wszystkim dla spokoju pańskiej rodziny, proszę wrócić do domu.

- Poza tym komendant jest na urlopie, a ja nie mam takich kompetencji - poparł z zapalem Lubiewicz.

- Nic nie szkodzi - rzucił pogodnie wrocławianin. - Znam kogoś, kto ma.

- Nie mam dla ciebie dobrych wieści, nasz ty celebryto - przywitał Bączka Darek z cyberprzestępczości. - Wygląda na to, że twój geniusz unikał jak ognia transakcji bezgotówkowych, za nic mając ustawę o AML. Wiesz, co to je?

...

- *Anti-Money Laundering* - wpadł mu w słowo Bączek, imponując koledze znajomością nie tylko prawa, ale i języków obcych. Celebryta, w dodatku wykształcony, o borze szumiący! - Tak, wiem, co to jest. A stypendium to gdzie wpływało? I jak płacił za akademik?

- A nie, to wszystko legalnie i po bożemu, mamusia na konto przelewała, uczelnia też. Ale to grosze jakieś, zapłacił za lokal, kupił urbankartę i po zawodach. A tymczasem Krzysiek mówił, że on jakieś grube finansowanie uprawiał, więc musiał płacić monetą. I zarabiać, skoro na koncie ruchów żadnych nie ma. Po jego PESEL-u żadnych innych ROR-ów nie znalazłem - ubiegł kolejne pytanie Bączka, zostawiając sobie na koniec prawdziwą petardę. - Znalazłem za to - werble poproszę! - lokatę na dwieście tysięcy polskich złotych. I co ty na to, Michałku?

Michałek na to nie powiedział kompletnie nic. Usiadł tylko na najbliższym krześle i wlepił niewidzący wzrok w migający ekran monitora. Jeden z trzech ekranów, dodajmy, jednostka do spraw cyberprzestępczości miała sprzęty co najmniej o dekadę młodsze niż kryminalni.

- Skąd u dwudziestodwulatka takie pieniądze? - zastanawiał się na głos Bączek.

- Gdybyś mnie pytał, to na pewno nie z legalnego źródła - zakomunikował Darek, jakby właśnie wynalazł lekarstwo na raka. - Nie wiem jeszcze, z jakiego konkretnie, sprytnie wszystko pozabezpieczał na tym swoim kosmicznym komputerze, który, *by the way*, też do najtańszych nie należy. Na moje niewprawne oko jakieś trzy dyszki lekko.

- Trzy dyszki czego? - Bączek wytrzeszczył oczy i spojrzął na kolegę z uwagą. - Trzydzieści tysięcy? Złotych?

- Polskich nowych. Trzydzieści tysięcy.

- Ja cię pozdrawiam... - wydusił podkomisarz. - Jego matka ma mniejszy dochód roczny. Skąd, u diabła, on wziął taki majątek?!

- Mam pewne podejrzenia, w końcu znam tego gagatka nie od dzisiaj. - Darek puścił oko do Bączka. - Nie martw się, celebryta, dokopiemy się. Udało mi się już znaleźć część pokasowanych maili. Wszystko jest do zrobienia, to tylko kwestia czasu.

Po zakończeniu śniadania obfitującego w tłuszcze i węglowodany, ale także w szokujące informacje na temat zbrodniczego oblicza sielskiego dotychczas Augustowa, rodzina Prusków wróciła do swoich codziennych zajęć. Pani Krysia miała coś do załatwienia, Tadeusz pojechał do apteki, po drodze podwożąc żonę do domu. Henryk zniknął równie nagle, co się pojawił, Patinkę też gdzieś wywiało. Edyta została sama, nie licząc Emila, który był zajęty sprzątaniem kuchni. Kontemplując ciszę, dziewczyna usiadła w kwiecistym uszaku i pograżyła się we własnych myślach. Poza twardej i nieugiętej nowoczesnej kobiety zaczynała ją przerastać. Ileż można udawać, że jest się kaczką, po której wszystko spływa? Jak długo da się przyjmować ciosy i nie krzywić się z bólu? A tak całkiem na marginesie - po co w ogóle to robić? Może jej

babcia, wyciosana ze skały pruska baba, potrafiła tak żyć, ale nie ona. Czując ogromny żal, Edyta głośno się rozpląkała. Im dłużej płakała, tym bardziej uświadamiała sobie, jak bardzo było jej to potrzebne.

- Wiedziałam! - krzyknęła Patinka, przyprawiając zasmarkaną od płaczu dziewczynę o mikrozawał. - Ja wiedziałam, że ty się męczysz! I że w końcu te twoje pseudotamy puszczą. Ty głupia dziewucho, tylko się umordowałaś!

- Nie krzycz na mnie! - pisnęła Edyta. - I tak czuję się podle, nie potrzeba mi jeszcze twoich wykładów.

- Wcale nie zamierzam cię pouczać, bardzo się cieszę, że wreszcie sobie pozwoliłaś na bycie człowiekiem. Normalnym człowiekiem, z emocjami, a nie idealną Edytką, wiecznie ze wszystkim sobie radzącą. Takich ludzi, Edzia, nie ma. Każdy ma swoje granice, a twoje musiały w końcu się przerwać. - Patinka objęła dygoczącą dziewczynę i przytuliła ją jak matka. - No mów, dziecinko, co tam w tym sercu siedzi.

Spośród wielu słów wyrzucanych przez Edytę pomiędzy kolejnymi falami szłochu udało się Patince zrozumieć zaledwie kilka, które ułożyły się w mniej więcej sensowną całość. Bała się przyszłości, bycia samotną matką, żal jej było Rafała i rozważała jednak rozmówienie się z nim. Bo może rzeczywiście on doznał cudownego objawienia i postanowił zostać ojcem dekady.

- No nie powiem ci, że to co mówisz zupełnie nie ma sensu, bo właściwie trochę sensu ma - odezwała się spokojnie przyjaciółka. - Zrozumiałe jest, że się boisz, każdy by się bał, w końcu sytuacja odbiega od wymarzonej. Może faktycznie powinnaś z nim porozmawiać.

- Myślisz?

- Tak myślę... Co wcale nie oznacza, że jestem teraz „team Rafał”, bo ja całym sercem kibicuję Jędrkowi! Ale wiesz, choćby

przez sam fakt, że ten twój mąż tu przyjechał, można go chociaż wysłuchać.

- I co mu powiem? „Wybaczam ci, mój ukochany, zbudujmy sobie dom, zasadźmy dwa drzewa i bądźmy szczęśliwą rodziną”?

- No, bez przesady, nie popadajmy w skrajności! - zaoponowała Patinka. - Najpierw dowiedz się, jak on to widzi. Pamiętaj, że teraz wszystko zależy od ciebie, to on musi przekonać ciebie, a nie ty jego.

- Pojedziesz ze mną? - poprosiła cicho Edyta, wycierając nos rękawem bluzki. - Nie chcę sama.

- Pojadę. Oczywiście, że pojadę. A jeśli cię wkurzy, to wkroczę do akcji. - Przyjaciółka cmoknęła dziewczynę w czoło.

- Nie martw się, mała, wszystko się ułoży. Czuję to w kościach.

- Jak Henio - zaśmiała się Edytka. - On zawsze wszystko czuje w kościach i niemal nigdy się nie myli.

Uściskały się serdecznie i zdecydowały, że wyruszą do Białegostoku natychmiast, a przy okazji załatwią ostatnie formalności związane z wydawnictwem, które kupiła Patinka. Emil, słyszący całą rozmowę przez niedomknięte drzwi kuchni, pokręcił głową ze smutkiem, litując się nad losem Edyty. Postanowił, że ugotuje dla niej najwspanialszy obiad pod słońcem. Niech no, podłotek kochany, ma trochę radości.

- Kaziu, może to jednak nie najlepszy pomysł, żebyś się angażował w to śledztwo - zasugerował Bączek Wilczyńskiemu, kiedy ten przez telefon zrelacjonował stan spraw na Podlasiu.

- Już podjąłem decyzję i zdania nie zmienię - odparł inspektor z granitową pewnością. - Oni tu się błąkają jak dzieci we mgle.

- Zastanów się jeszcze... - prosił podkomisarz.

- Michaś - zirytował się Wilczyński - choćbym miał tylko pić kawę, która swoją drogą jest całkiem niezła, to będę tu siedział, dopóki to bydlę nie zostanie postawione przed sądem.

- A twoja siostra? Zostawisz ją samą? - To był ostatni argument, który mógłby podziałać na upartego jak osioł inspektora. Niestety, nie tym razem.

- Moja żona z nią jest. I tak jest zdecydowanie lepiej, ja bym nie wiedział, jak się zachować, zbetoniałem całkiem przez tę pracę. A co u nas? Radzicie sobie z Krzyśkiem?

Bączek opisał szefowi stan spraw, usiłując ukryć złość spowodowaną kolejną nieobecnością Balińskiego, przybliżył mu nieco kierunek współpracy z cyberprzestępczością i zapewnił, że sobie radzi.

- Bardzo dobrze, Michałek, mądry z ciebie chłopak.

- Kazik?

- No?

- A jak ty w ogóle zamierzasz się do tego śledztwa włączyć? To chyba wymagałoby jakichś zgód na górze, od komendanta głównego?

- Komendant główny, synu, nawet nie zdąży czknać, jak mu minister sprawiedliwości wyda polecenie służbowe. Tyś zapomniał już, że ja jestem aktualnie kolegą Henryka Grabskiego?

- O, masz, babo, placek!

- Główka pracuje, nie? - zaśmiał się rubasznie Wilczyński. - A ty wiesz, tak à propos bab i placeków, że oni tutaj te baby pruskie sprzedają w wersji drożdżowej? Przywiozę na pamiątkę.

- Cudownie... - rzucił z przekąsem Bączek. - Powodzenia, Kaziu. I uważaj na siebie.

Wilczyński skończył rozmowę z Bączkiem i ruszył do samochodu, w którym czekał na niego Lubiewicz. Nie odezwali

się do siebie słowem od wyjścia z prosektorium. Tymczasowy augustowski komendant w zasadzie nie miał nic przeciwko włączeniu się inspektora do śledztwa, w końcu to dodatkowe ręce i głowa do pracy. Bardziej obawiał się tego, że teraz już nie uda się uniknąć stałego nadzoru Wielkiego Brata w osobie legendarnego Henryka Grabskiego.

- W porządku? - zagadnął Lubiewicz, kiedy Wilczyński zajął miejsce pasażera.

- W jak najlepszym. - Wrocławianin się uśmiechnął.

- To gdzie teraz?

- Do gniazda os. Ahoj, przygodo!

- Ja pierdziulę... - szepnął pod nosem Lubiewicz, dzielnie trzymając się postanowienia o nieprzeklinaniu. - No to będzie meksyk.

- Niech pan mówi, panie Rafale! Wszystko, co pan pamięta, jest niezwykle ważne! - rzucił Andrzej z błyszczącymi od emocji oczami. Może wreszcie ten cymbał brzmiący się przysłuży sprawie!

- Przypomniałem sobie, że wtedy, jak poszliśmy na ten spacer na molo, Patryk cały czas się oglądał za siebie. Nawet zacząłem podejrzewać, że on ma jakiś tik nerwowy, wie pan, coś jak zespół Tourette'a...

Sam masz zespół Tourette'a, pomyślał ze złością Andrzej. Na głos zaś powiedział:

- A zapytał go pan może o powód tego zachowania?

- No co pan! Przecież jeśli on miał ten zespół, toby się na mnie obraził!

Lewczyński zgrzytnął zębami, starając się to zrobić najciszej, jak potrafił. Wyszło średnio, prawie iskry poszły. Przez chwilę siedział ze wzrokiem wlepionym w okno, myśląc o

możliwościach zamordowania człowieka bez zostawienia śladów. Tylko co zrobić ze świadkami?

- No dobrze, skoro i tak nie wiemy, dlaczego zachowywał się tak dziwnie, to może idźmy dalej - odezwał się w końcu.

- Dobrze - zgodził się Surym kompletnie nieświadom, że właśnie stracił wszystkie punkty, które wcześniej udało mu się zdobyć. - Posiedzieliśmy sobie na molo, ale komary strasznie żarły i w końcu musieliśmy stamtąd uciekać. Poszliśmy wzdłuż bulwarów, ja w tym czasie opowiadałem Patrykowi o swoich ostatnich problemach. Bo, wie pan - podniecił się nagle Rafał - on w ogóle nie miał pojęcia o moim nieszczęściu!

- Wspominał pan, że nie wiedział nic o rozwodzie... - wymamrotał wciąż wściekły Lewczyński.

- A gdzie tam o rozwodzie! O mamusi mówię, że ją psychopata zamordował.

- A, racja, o mamusi... No i co było dalej? Spacerowaliście tymi bulwarami całą noc?

- Bynajmniej. Siku nam się zachciało, bo cały czas piliśmy pi... napoje, więc zboczyliśmy koło portu i poszukaliśmy lokalu. W tym lokalu spotkaliśmy jakiegoś gościa.

- Jakiego gościa? - ożywił się Andrzej. - Ktoś znajomy?

- Ja go pierwszy raz na oczy widziałem - zapewnił natychmiast Surym. - Ale on znał Patryka.

- No, ale kto to był? Cokolwiek pan zapamiętał? Przedstawił się?

Rafał popatrzył na Andrzeja wzrokiem wyrażającym nieme, za to ociekające sarkazmem pytanie: „Serio? Serio MNIE pytasz, człowieku, o NAZWISKO?”. Lewczyński zrozumiał bez pudła i pokiwał głową.

- No to może pamięta pan chociaż, jak wyglądał? - ciągnął policjant. - Stary, młody, chudy, gruby, wysoki, garbaty, z pypciem na nosie?

- A taki zwyczajny, zasadniczo... Ani gruby, ani bardzo chudy, wzrostu normalnego, krótkie włosy, z urody trochę jakby kobiety. W wieku dosyć nieokreślonym, między trzydzieści parę a sześćdziesiąt...

- O czym panowie rozmawiali? - przerwał mu obcesowo Andrzej, zastanawiając się, czy ktokolwiek mógłby jego wziąć za pięćdziesięciolatka.

- No i tu mnie pan ma... - westchnął Surym i utkwiał wzrok w suficie. - Bo jak oni zaczęli między sobą o jakichś pierdołach gadać, to ja poszedłem do baru, wypilem trzy pięćdziesiątki wódki, żeby o swoich smutkach nie myśleć, i potem to już nic nie pamiętam. Amba, panie komisarzu.

Zaiste. Amba i ameba, jeżu zapchlony, jego jednak nie da się lubić!

- Rozpoznałby pan tego człowieka, gdyby go pan zobaczył? - zapytał spokojnie Andrzej, wznosząc się na wyżyny filozofii kwiatu lotosu.

- Możliwe, choć wcale nie takie pewne.

- Nadzieja umiera ostatnia - mruknął Lewczyński i wstał z krzesła, szykując się do wyjścia. Nic tu po nim, cymbał co prawda brzmi, ale fałszywie.

- Ale ja jeszcze panu nie powiedziałem najważniejszego! - wykrzyknął Surym. - Nie zapytał mnie pan, skąd ten facet znał Patryka.

- Faktycznie. Nie zapytałem. Rozumiem, że powinienem?

- Ja nie jestem godzien, żeby panu mówić, jak pan ma swoją pracę wykonywać, panie komisarzu... Ale zasadniczo, gdyby mnie pan o to zapytał, to może by to panu jakoś pomogło.

- I?

- I by się pan dowiedział, że oni się znali jakoś tak służbowo, wie pan, naukowo, bym powiedział. No, w zasadzie tak samo jak Patryk z Edytą, tylko na innym poziomie. I ciągle gadali o

jakimś profesorze, który był najwyraźniej ich wspólnym znajomym.

Andrzej zagryzł dolną wargę, żeby nie wrzasnąć. Wszystkie komórki jego ciała zdawały się nagle iskrzyć. Zerwał się z krzesła i bez pożegnania wybiegł z sali, zostawiając Suryma w stanie osłupienia. Trudno, później mu wyjaśni, teraz trzeba szybko działać.

Historia Adrianny Góreckiej okazała się nie odbiegać znacząco od wersji, jaką znał już Roszkowski. Przynajmniej w tych fragmentach, które usłyszał od matki. Uzupełnianie białych plam sprawiło mu jednak wielką przyjemność, zwłaszcza że Adrianna miała prawdziwy dar snucia opowieści.

- Kiedy przyszło do wyboru szkoły średniej, moja mama zdecydowała, że farmacja będzie najlepszym kierunkiem. Dostałam się do technikum i rozpoczęłam kształcenie, mając nadzieję pewnego dnia zostać właścicielką apteki. Na praktyki trafiłam do Janusza Dąbrowskiego, po dziś dzień nie wiem dlaczego. Nie była to jedyna apteka w Augustowie i z pewnością nie wyróżniała się niczym szczególnym, co najwyżej jej właściciel owiany był złą sławą. Wszyscy w miasteczku wiedzieli, dlaczego przyjmuje pod swoje skrzydła wyłącznie dziewczęta. - Kobieta zrobiła wymowną pauzę i ugryzła kawałek korzennego serduszka.

Roszkowski słuchał w skupieniu, wyobrażając sobie, jak piękną dziewczyną musiała być wówczas jego matka. Po chwili kobieta podjęła opowieść:

- Początkowo były to tylko łechtające moje ego komplementy, z czasem Janusz zrobił się coraz bardziej natarczywy. Kilka razy, kiedy zostaliśmy sami po zamknięciu apteki, usiłował mnie pocałować, zawsze jednak udało mi się jakoś umknąć. Aż do pewnego zimowego wieczora, zdaje się, że

coś wtedy świętowaliśmy, wyciągnął z zaplecza butelkę wina, postawił przede mną kieliszek i zaczął czarować.

Kalina, która zapewne słyszała tę historię niejednokrotnie, przycupnęła na oparciu kanapy i przytuliła matkę mocno. Mimo upływu czasu blizny wciąż się nie zagoiły.

- Nie wiem, jak to się stało, że wypiliśmy niemal całą tę butelkę sama - kontynuowała Górecka. - Miałam wtedy piętnaście lat, po raz pierwszy w życiu piłam alkohol, nietrudno więc sobie wyobrazić finał tego wieczora. Dąbrowski odwiózł mnie do domu taryfą i odstawił pod drzwi. Moi rodzice niczego nie podejrzewali, bo zadzwonił do nich wcześniej i wyjaśnił, że mamy w aptece małe święto i on później wszystkich rozwiezie bezpiecznie do domu. Nie wspomniał tylko, że była to impreza dwuosobowa, a on miał wobec mnie jasno sprecyzowany plan.

- Chce pani powiedzieć, że on panią... ciebie wykorzystał? Jak jakieś bydłę? - Głos Roszkowskiego drżał z emocji i niechybnie zająłby się bydlakiem osobiście, gdyby nie to, że ten od dawna już leżał w rodzinnym grobowcu.

- Jeśli nie, to należałoby mnie poddać badaniom naukowym w kierunku wyjaśnienia niepokalanego poczęcia - zaśmiała się dźwięcznie piękna gospodyni. - Zorientowałam się po dwóch miesiącach, że coś ze mną nie tak, sądziłam, że umieram. Kiedy się dowiedziałam, że to ciąża, ojciec mojej koleżanki był ginekologiem - dodała tytułem wyjaśnienia - oczywiście natychmiast wiedziałam, kto i kiedy mógł się do tego przyczynić...

- Skonfrontowałaś się z nim? - gorączkował się Roszkowski, wyraźnie wzburzony.

- Wszystkiego się wyparł - odparła spokojnie Górecka. - I zagroził, że jeśli komukolwiek powiem, że on może być ojcem, to zniszczy moją karierę farmaceutki. To był zły człowiek...

- A twoja mama nic nie mogła zrobić?

- Moja mama? - Adrianna Górecka uśmiechnęła się smutno.
- Moja mama była wyjątkowo rygorystyczną kobietą. Nigdy, aż do dnia porodu, nie rozmawiałam z nią na ten temat. A później nie było już o czym...

- A jak udało ci się ukryć ten fakt w szkole, przed koleżankami? Moja mama, znaczy Janina, mówiła, że twoja matka nie podejrzewała nawet, że jesteś w ciąży.

- To prawda! Miałam to szczęście, że prawie w ogóle nie przybrałam na wadze, byłam przeraźliwie chuda i z łatwością ukrywałam brzuch w obszernych ubraniach. Oczywiście, gdyby moja mama interesowała się mną nieco bardziej, zauważyłaby zmiany zachodzące w moim ciele. Niestety, nigdy nie przejawiała szczególnego zainteresowania żadną ze swoich córek - skwitowała gorzko.

Jej młodsza wersja pogłaskała kasztanowe włosy z czułością i odezwała się do Roszkowskiego:

- Moja babcia była bardzo zgorzkniałą osobą. Do końca życia krytykowała mamę za wszystko i wiecznie usiłowała mówić nam, jak powinniśmy żyć. Na szczęście mama jest mądrą kobietą.

- Dziękuję ci, skarbie. - Adrianna pocałowała grzbiet dłoni Kaliny. - Niestety zbyt późno zdałam sobie sprawę z tego, że moja matka nie jest nieomylna, a ja wcale nie muszę jej we wszystkim słuchać. Niektórych błędów już nie dało się naprawić.

- A co było... potem? Po tym wszystkim? - zapytał cicho Roszkowski, bojąc się, żeby przypadkiem nie wybrzmiała w jego głosie pretensja. Nie miał żalu do nikogo, czuł się szczęściarzem.

- A potem było już całkiem inne życie. Skończyłam szkołę i poszłam na studia, nikomu nawet do głowy nie przyszło, że mogłam mieć dziecko.

- Zostałaś farmaceutką?

- Absolutnie nie! Nie skończyłam tych praktyk u Dąbrowskiego i udało mi się przekonać matkę, żeby przeniosła mnie do innej szkoły. Ostatecznie maturę zdałam w liceum plastycznym, a później studiowałam na ASP. Jestem malarką.

- I ja też - dorzuciła Kalina, uśmiechając się ciepło. - Wybrałam jednak inny kierunek niż mama i zostałam ilustratorem. Współpracuję głównie z wydawnictwami i niezależnymi autorami. Może nawet widziałeś moje prace na okładkach książek.

- Niewykluczone - odpowiedział pełen podziwu Mateusz - choć raczej żaden ze mnie bibliofil.

- A ty? Jak potoczyły się twoje losy, Mateuszu? - zapytała z prawdziwym zaciekawieniem nowo poznana siostra Roszkowskiego. - Opowiedz nam o sobie.

Odrobinę zawstydzony mężczyzna opowiedział o szczęśliwym dzieciństwie, dobrych szkołach i starannym wykształceniu, które odebrał dzięki zaangażowaniu matki. Janina Roszkowska była jednym z najbardziej utytułowanych lekarzy, pod koniec swojej kariery zajmowała stanowisko ordynatora największego stołecznego szpitala. Była lubiana, miała wielu znajomych, a dzięki temu szerokie koneksje i możliwości. Mateuszowi nie brakowało niczego, począwszy od matczynej miłości, a na luksusach skończywszy. Zjeździł z matką pół świata, a później został pilotem wojskowym. Żył jak pączek w maśle, nie mając pojęcia o tragedii leżącej u podstaw jego narodzin.

- Masz rodzinę? - zapytała z czułością Adrianna.

- To właśnie jedyna łyżka dziegciu w tej beczce miodu. Żadnego związku nie udało mi się utrzymać. Moja mama, Janina, twierdziła, że to вина silnej więzi, jaka mnie z nią łączyła, może miała rację. - Roszkowski zamyślił się na moment.

- Nie przejmuj się, to kolejna nasza wspólna cecha - zaśmiała się dźwięcznie Kalina. - Ja też nie mam szczęścia w związkach, zresztą popatrz na naszą mamę: ani z twoim, ani z moim ojcem nie udało jej się związać. Taka chyba nasza uroda.

- Co wcale nie oznacza, że nie możemy być szczęśliwi - dodała z naciskiem Adrianna. - Mnie brak męża w niczym nie przeszkodził. Gotowa jestem nawet zaryzykować stwierdzenie, że było mi łatwiej i na nikogo nie musiałam się oglądać. Ale ty, Mateuszu - przyjrzała się jego dość niewyraźnej minie - chyba jednak na kogoś się oglądasz, co?

Czerwieniejąc po sam czubek gęstej czupryny poprzetykanej srebrnymi włosami, Roszkowski odparł:

- Jest taka jedna... Magdalena jej na imię. I bardzo bym chciał, żeby zagościła w moim życiu na dłużej.

- Ulala, mój starszy brat jest romantykiem. - Kalina klasnęła w dłonie. - Nie wyprzesz się go, mamuś!

- I wcale nie zamierzam! - wykrzyknęła radośnie piękna dama. - Czekałam na tę chwilę wiele lat! Zostaniesz na obiedzie, Mateuszu?

Roszkowski otworzył usta, żeby wyrazić gorącą aprobatę i zaakceptować zaproszenie, jednak nie zdążył, bo jego siostra zabrała głos:

- Chyba dzisiaj to się nie uda, mamu. Zapomniałaś, że musimy jechać do wydawnictwa, a potem do komendy?

- Ach, rzeczywiście! - Adrianna pacnęła się w czoło. - Gdzie ja mam głowę?

- Do komendy? Policji? A co się stało? - zainteresował się Roszkowski.

- Nic się nie stało, musimy jednak zgłosić, że prawdopodobnie byliśmy świadkami popełnienia przestępstwa - wyjaśniła ze spokojem pani Górecka.

- Widzieliśmy, jak potrącono człowieka i sprawca uciekł z miejsca wypadku. Pod nosem policji. Dasz wiare?!

Roszkowski wiare dał, a przy okazji złapał się na myśli, że wsiąkł już całkiem w rodzinę Prusków i zupełnie przestał wierzyć w zbiegi okoliczności.

- Halo? Dzień dobry! - Sławomir Lubiewicz z dużą dozą niepewności przekroczył próg Starej Stanicy, choć robił to nie pierwszy raz w życiu. Tym razem jednak ani nie został oficjalnie zaproszony przez gospodarzy, ani też nie występował w charakterze letnika, co kilkakrotnie już mu się zdarzyło.

- Kto tam jest?! - Z wnętrza domu, a konkretniej z części gastronomicznej rozległ się głos. - Proszę nie włożyć brudnymi buciorami, bo nogi poprzetrącam!

- To pan, panie Emilu? - odkrzyknął policjant głosowi.

- No ja! A pan to kto?

- Lubiewicz Sławomir z policji!

- Chyba Sławomir Lubiewicz - powiedział już wyraźnie Emil Mirosławski, wyłaniając się zza rogu. - Po polsku najpierw stoi imię, a potem nazwisko. Więcej książek by się przydało czytać, co?

- Ma pan całkowitą rację - odezwał się tubalnym głosem Wilczyński, uważnie taksując wzrokiem sylwetkę kucharza.

- A pana to ja nie znam. - Emil zmrużył oczy, zdradzając się z krótkowzrocznością.

- Zaiste, inspektor Kazimierz Wilczyński, dolnośląska policja kryminalna - przedstawił się gość i wyciągnął rękę.

- *Mamma mia!* - wrzasnął Emil i natychmiast spłonął rumieńcem. - Pan inspektor Wilczyński, gwiazda nasza, co za zaszczyt! - Rzucił się na dłoń policjanta i sam nie wiedział, czy ją ścisnąć, czy może całować.

- Ależ, gdzie tam gwiazda... - krygował się Wilczyński, choć w zasadzie dokładnie tak się czuł. - Zwyczajny funkcjonariusz w służbie sprawiedliwości.

- Proszę, proszę za mną - rzucił Emil i kłaniając się nisko, zapraszał policjantów do środka. - Panowie sobie spoczna w salonie, zaraz podam kawy. Krystyny i Henryka nie ma jeszcze, od rana gdzieś się włóczą.

Lubiewicz z Wilczyńskim z ochotą przystali na filiżankę dobrej kawy, rozsiedli się wygodnie w przestronnym saloniku i postanowili zaczekać na powrót gospodarzy.

- Zostaną panowie na obiedzie - stwierdził bardziej, niż zapytał Emil, stawiając przed nimi filiżanki z aromatycznym napojem. - Przygotuję dzisiaj zapiekankę pasterską, specjalnie dla naszego gościa honorowego, przyjaciółki naszej Edytki, pani Patrycji.

Wilczyński natychmiast wypluł całą zawartość jamy ustnej, opryskując czarną kawą oparcie ulubionego uszaka pani Krystyny.

- Przepraszam... czy mógłby pan powtórzyć? - poprosił Emila błady jak ściana.

- Powiedziałem, że naszym gościem honorowym jest pani Patrycja, przyjaciółka i pracodawczyni Edytki - powtórzył Emil, kompletnie zdezorientowany.

- Kazik, co jest? Czy to ta sama, o której ty mi...? To ona?

- Nie sędzę, żeby pani Prusko miała więcej niż jedną przyjaciółkę o tym imieniu...

- O kura przez „wu”... - skwitował Lubiewicz i zapadł się w fotel, przeklinając dzień, w którym zgodził się zamienić terminem urlopu z Popławskim.

Przeszukiwanie dysków komputera studenta informatyki, w dodatku znanego hakera, szło jak po grudzie. Geniusz

wirtualnej zbrodni doskonale zabezpieczył swoje dane przed niepowołanymi oczami. Na szczęście wymiaru sprawiedliwości w policyjnym wydziale do walki z cyberprzestępczością zatrudnia się ludzi, którzy – w odróżnieniu od podkomisarza Bączka – potrafią coś więcej, niż włączyć i wyłączyć komputer. Grzebanie w kodach zabezpieczających zasoby sieciowe Jerzego Markiewicza przyniosło efekt w postaci szczątkowej listy adresów e-mailowych, które z jakichś przyczyn zostały głęboko ukryte. W większości były to adresy osób prywatnych, kilka należało do Politechniki, dwa nawet do policji. Przy jednym z nich pracujący nad sprawą Darek poczuł się w obowiązku wykonania niezwłocznego telefonu do Bączka.

- Michał, czy znasz kogoś, kto się nazywa Jarosław Rabski?

- Pierwsze słyszę. A powinienem? – zainteresował się podkomisarz.

- Coś mi się obilo o uszy, że kilka miesięcy temu to nazwisko przewinęło się w kryminalnym. Czyli nie kojarzysz?

- Nie przypominam sobie takiej sprawy, ale sprawdzę. Coś jeszcze wpadło ci w oko?

- Kilka szczątkowych adresów e-mail, będziemy po kolei sprawdzać, ale to raczej ślepy zaułek – odparł szczerze Darek. – Niektóre wyglądają zabawnie i od nich zaczniemy, może to jakieś ksywy z darknetu.

- Dobra, działaj, ja poszukam tego Rabskiego. W kontakcie.

- Jasne, na razie – pożegnał się Darek. – „Tanie sury” – przeczytał pod nosem fragment adresu mailowego i roześmiał się na głos. – Co to są sury?!

Bączek nie zwrócił uwagi na te słowa, zajęty wyszukiwaniem informacji na temat Jarosława Rabskiego, którego dane w bazie znalazł, ale nie w charakterze ofiary przestępstwa. Kilka miesięcy temu człowiek ten miał zginąć w wyniku nieszczęśliwego wypadku, z wykluczeniem udziału osób

trzecich. Wykluczenia dokonał nie kto inny jak Remigiusz Baczmański.

Nie wierząc w żadne zbiegi okoliczności ani tym bardziej w przypadki, Bączek zamówił z archiwum akta sprawy Rabskiego i wyruszył do Zakładu Medycyny Sądowej. Coś mu mówiło, że intuicja Darka tym razem powinna zostać wysłuchana.

Andrzej wybiegł z sali, na której leżał Surym, i puścił się biegiem ku wyjściu. Jak najszybciej chciał wrócić do komendy, żeby przejrzeć policyjne zasoby. Pochłonięty galopem myśli otarł się o dwie kobiety zmierzające szpitalnym korytarzem, nie poświęcając im nawet spojrzenia.

- Widziałaś? To był chyba Andrzej - szepnęła Edyta do Patinki, przystając na chwilę. - Gdzie on tak pędzi?!

- Nogi ma wysportowane, nie ma co - zachwyciła się właścicielka wydawnictwa. - Nieźle ciacho z tego komisarza, Edytka. Bierz się za niego i nie puszczaj ani na chwilę!

- Zdajesz sobie sprawę z tego, że idziemy właśnie rozmawiać z moim aktualnym mężem? - sarknęła Edyta, odciągając przyjaciółkę pod wykuszowe okno. - Bardzo cię proszę, zachowuj się przyzwoicie, ty masz mnie tutaj wspierać!

- No toż przecież ja cię wspieram całym sercem i oczami też cię wspieram. Mówię ci, co mi się podoba, a ty sobie z tą wiedzą zrobisz, co zechcesz. Nie namawiam, tylko zachęcam.

- Oszaleję z tobą, Patinka, naprawdę - westchnęła Edyta, ale uśmiech wrócił na jej ładną buzię. - Chodźmy, porozmawiamy z szanownym małżonkiem i zobaczymy, jak on mnie zachęci...

- Chyba do rozwodu - dodała Patinka i otworzyła drzwi do sali.

W panującym w pomieszczeniu półmroku pokryta bandażami sylwetka Suryma wyróżniała się dzięki umiejscowieniu pod oknem, przez które wpadały jedyne

promienie światła. Nie zauważył ich od razu, leżał bowiem z zamkniętymi oczami i wyglądał, jakby spał. Mijając kolejne łóżka, Patinka kiwała głową do leżących na nich pacjentów, Edyta ze wzrokiem wbitym w Rafała nie zwracała na nich uwagi. Zatrzymała się kilka centymetrów od męża i chrząknęła głośno. Spomiędzy bandaży błysnęło oko i natychmiast otworzyło się drugie.

- Edyta! - wychrypiał. - Jesteś!

- Jestem - odparła bez emocji dziewczyna. - Ale jeśli przeszkadzam, to mogę sobie pójść.

Patinka kopnęła ją w kostkę i syknęła cicho:

- Nigdzie nie pójdziesz, dopóki sprawy nie załatwisz.

- Widzę, że przysłaś z obstawą - zażartował Rafał. - Nie martw się, możliwości ataku mam ograniczone.

- Jęzorem przebierać możesz, więc radzę właściwie dobierać słowa - odgryzła się Patinka.

- Cicho bądźcie oboje! - Głos Edyty zadźwięczał wymownie, wskutek czego Rafał musiał przełknąć gotową ripostę. - Patinka, idź porozmawiać z panami sąsiadami, oni też są zapewne głodni rozrywki. A ty, Rafał, zamknij na chwilę paszczę i pozwól mi powiedzieć to, co zamierzałam ci powiedzieć już dawno. Zrozumiano?

Patinka skinęła głową, Rafałowi się nie udało, choć też spróbował. Skrzywił się tylko z bólu i zamrugał na znak zgody. Edyta usiadła na krześle, z którego kilka chwil wcześniej zerwał się Andrzej, i rozpięła bluzę. Rafał ze zdziwieniem spostrzegł wyraźny już brzuch, który stanowił tymczasowy dom dla jego dzieci. Ogarnęło go wzruszenie, którego nijak nie potrafił opanować, a ręce same się wrywały do tego, żeby położyć je na krągłości żony.

- Przemysślałam wszystko - zaczęła po chwili dziewczyna, pochylając się w kierunku męża - i doszłam do wniosku, że nie zamierzam wracać do Wrocławia. Zarówno ja, jak i nasze dzieci

będziemy żyć tu, na Podlasiu, blisko mojej rodziny. Oczywiście jest, że żaden sędzia nie odda opieki nad niemowlętami takiej łajdzie zawszonej jak ty, więc musisz się nastawić na wizyty w Augustowie, jeżeli zamierzasz uczestniczyć w życiu naszych dzieci. Osobiście obchodzi mnie to tyle, co dalsze losy Kopciuszka, niemniej moim obowiązkiem jest zapewnić ci możliwość kontaktu z dziećmi. O ile, oczywiście, zamierzasz ten kontakt mieć.

Rafał słuchał w skupieniu, podobnie jak cztery pozostałe obecne w pokoju osoby. Patinka pisnęła z radości i przybiła piątkę z mężczyzną leżącym najbliżej drzwi. Edyta nie zwracała na nich uwagi, przełknęła ślinę, którą ostatnio produkowała w nadmiarze, i kontynuowała swoją wypowiedź:

- W zależności od tego, jaką decyzję podejmiesz, możemy wspólnie ustalić plan opieki nad dziećmi i tym sposobem skrócimy czas postępowania rozwodowego. Bo że do tego rozwodu dojść musi, ja już nie mam żadnych wątpliwości. Nie wierzę w twoją przemianę, nie wierzę w to, że jesteś gotów poświęcić się dla mnie i dzieci. Ale najważniejsze jest to, że...

- Że z tego pieca chleba nie będzie! - nie wytrzymała Patinka. - No ja pierdziulę, kluczysz i kluczysz, Edzia, a tu trzeba prosto w pysk: nie ma miłości, koniec kropka.

- Ja cię kocham, Edyta... - odezwał się cicho Surym i wyglądał tak, jakby naprawdę w to wierzył. - Kocham cię bardzo i kocham nasze dzieci. Rozumiem jednak, że ty nigdy mi nie wybaczysz tej sprawy z Ulą, choćby mi tu skrzydła anielskie wyrosły.

- Buahahaha - zarechotała Patinka, nawet już nie usiłując udawać, że rozmawia z panem przy drzwiach. - Jakby ci tu, Rafałku, wyrosły skrzydła, to ja bym schudła trzydzieści kilo. Dla ciebie bym to zrobiła!

- Cicho bądź, Patinka! - upomniała ją Edyta. - Zagraj z panem w karty, opowiedz ploteczki o celebrytach, ale się nie

wtrącaj. Przynajmniej przez chwilę.

Przyjaciółka wzruszyła ramionami i wyjęła karty z torebki. Mrugnęła do pana na łóżku i przycupnęła grzecznie w nogach, przytomnie nadstawiając prawe ucho, które lepiej słyszało.

- Edytka... - szeptał Rafał. - Wiem, że skrewiłem. Wiem, że cię zawiodłem na całej linii. Popełniłem błąd...

- Błąd? Ty to nazywasz błędem?! - ryknęła Edyta, wprawiając w osłupienie wszystkich obecnych na sali. Nawet Rafał wzdrygnął się lekko. - Błędem może być wypicie zbyt dużej ilości wódki i obrzyganie czyichś butów. Błędem może być obrażenie teściowej. Ale to, co ty zrobiłeś, niewdzięczna, egoistyczna eugleno, to na pewno nie był błąd!

- Rozumiem, dlaczego chcesz mnie zabić... - bąknął Surym, nie patrząc na Edytę.

- Wcale nie chcę cię zabić - odparła lodowatym głosem. - Myślałam bardziej o porysowaniu twojego samochodu kluczami.

- To byłaś ty?! - wrzasnął Rafał, unosząc głowę, co poskutkowało natychmiastowym bólem.

- Co ty bredzisz? Gdzie ja byłam?

- Ekhm... - odezwała się cicho Patinka. - To mogłam być ja. Obeszłam raz czy dwa samochód Rafała, żeby sprawdzić, czy wszystkie drzwi i szyby ma dokładnie zamknięte, i możliwe, że coś ostrego wystawało mi z kieszeni, i... no wiecie. Mogłam coś tam porysować.

- Porysowałaś samochód Rafała? - ucieszyła się Edyta. - Kiedy? Skąd wiedziałaś, że to jego?

- Jak to skąd wiedziałam? Niewiele samochodów na parkingu pod hotelem ma rejestrację zaczynającą się od DW. Widziałam tylko jeden i prawdę mówiąc, nie zastanawiałam się nawet, czy to jego, czy nie jego.

- Z kim ty się przyjaźnisz, Edyta... - skwitował Surym, wlepiając pełen nienawiści wzrok w korpulentną wydawczynię.
- Zapłacisz mi za to, Patrycjjo.

- A za rękę mnie złapałeś? Kamer na tym parkingu nie ma, sprawdzałam. Poza tym -dodała z satysfakcją - myślisz, że ktokolwiek ci uwierzy? Przecież cię ktoś rozjechał, skąd wiesz, że to nie ta sama osoba?

- Właśnie! - krzyknęła nagle olśniona Edyta. - Samochód! Rafał, dlaczego jechałeś do Augustowa na stopa z moim wujkiem?

- Dobrze się czujesz, Edyta? - odparł Surym. - Jakim autostopem i z jakim wujkiem? Ty myślisz, że ja bym jakiegokolwiek twojego wujka w ogóle rozpoznał?

- Racja. Zwłaszcza że tego to nawet ja bym nie rozpoznała, bo wtedy jeszcze nie był moim wujkiem - zastanawiała się na głos. - Czyli to nie ty przyjechałeś na stopa spod Zambrowa?

- Nigdy w życiu nie jechałem na stopa.

- Tak myślałam. Słyszysz, Patinka? Jednak miałam rację, to nie mógł być Rafał. Od razu mówiłam, że zbyt dużo w tym osobniku inteligencji emocjonalnej i każdej innej.

Surym nie mógł się zdecydować, czy powinien się obrazić, widać jednak było, że pogodził się z przegraną. Nie udało mu się przekonać żony do powrotu, została mu więc broń ostateczna. Myślał jednak, że okoliczności jej użycia będą zgoła odmienne.

- Wycofałem pozew z sądu, nie będzie żadnego rozwodu.

Edyta nie od razu zrozumiała sens wypowiedzianego przez Rafała zdania. Kiedy jednak dotarł już do niej, rozpętała się prawdziwa burza.

- Coś ty powiedział?! - ryknęła niczym lwica, wstając z krzesła. Nozdrza jej drżały, policzki płonęły, a wzrokiem mogłaby zabić.

- Ja... ja myślałem, że się pogodzimy i że ty się ucieszysz, że nie musimy niczego odkręcać. Edytka, uspokój się, proszę!

Krzeseł, na którym dotychczas siedziała, z niewyobrażalnym hukiem przewróciło się pod wpływem nagłego ruchu. Małżonka przyskoczyła do Suryma, rozwścieczona niczym harpia, i gotowa była go udusić.

- Wiesz co, mendo parchata? - syknęła przez zaciśnięte zęby. - Cieszę się, że żyjesz. Naprawdę cieszę się, że nikt ci do tej pory skutecznie tego łba nie rozbił, bo dzięki temu możesz do końca swoich dni pokutować za głupotę. - Nie oglądając się za siebie, ruszyła do wyjścia, jednak coś jeszcze przyszło jej do głowy. - Przez chwilę byłam skłonna ci wybaczyć, zapomnieć i zacząć wszystko od nowa. Ale znów podjąłeś decyzję beze mnie, nie licząc się z moim zdaniem, nie szanując moich uczuć. Chcę, żebyś wiedział, że nigdy nie wrócę do ciebie. Mało tego! Zamierzam związać się z kimś innym!

- Wiedziałem! - obwieścił triumfalnie Surym. - Wiedziałem, że to prawda, że ty masz gacha!

- Ani mi się waż tak mówić o Jędruli! - Patinka stanęła w obronie ucieleśnienia kobiecych snów. - Ty mu nawet butów niegodzien jesteś wiązać, zdradziecka świnió!

- Zamknij się, Patrycja! - odwdzieczył się Surym.

- Nie odzywaj się tak do mojej przyjaciółki! - wrzasnęła na niego Edyta.

Nie wiadomo, co działałoby się dalej, gdyby nie zainterweniowała pielęgniarka zaalarmowana odgłosami kłótni. Weszła na salę i zażądała natychmiastowego zaprzestania awantur, a najlepiej to niech panie już sobie idą, bo zaraz pora karmienia. Posiłku znaczy.

Edyta i Patinka opuściły szpitalną salę, jedna z nosem spuszczonej na kwintę, druga - puszczając buziaki do rozbawionych i zachwyconych przedstawieniem

współtowarzyszy niedoli Suryma. Na korytarzu oparły się o ścianę i zaczęły histerycznie chichotać.

- Aleś mu dała do wiwatu - parskała Patinka.

- „Zdradziecka świnió”, on cię zje przy pierwszej okazji! - wtórowała jej Edyta.

- Nie zapominaj, że muszę mu jeszcze zapłacić za samochód.

- Podła z ciebie kobieta.

- Czy twoje moralne rozterki zostały w całości zażegnane? - zapytała tym razem już poważnie przyjaciółka. - Czy może nadal uważasz, że ten naleśnik wart jest jakiegokolwiek uwagi?

- Nie uważam, w zasadzie to w ogóle tak nie uważałam, teraz tylko się w tym upewniłam. Ja go nie kocham od dawna, Patinka. I masz rację, z tego pieca żadnego chleba by już nie było - przyznała ze smutkiem dziewczyna. - Jest za to jeden pozytywny aspekt naszej dzisiejszej wizyty: wiemy, że to na pewno nie on jechał z Mateuszem, chowając się przed niewidzialnym wrogiem i opowiadając kryminalne historie.

- Nie wiemy za to, kto jechał.

- Mylisz się, Watsonie - odparła Edyta z poważną miną. - Jestem pewna, że tą osobą był Patryk. I wydaje mi się, że wiem, kim był zamordowany profesor.

Komisarz Lewczyński bezskutecznie próbował dodzwonić się do Lubiewicza. Kuzyn znany był z niechęci do technologicznych nowinek, do których zaliczał telefony komórkowe i wszelkiej maści komputery. Na jego biurku wciąż stała maszyna do pisania, z której jednak korzystał rzadko, gdyż od pisania miał ludzi. Tak przynajmniej twierdził.

Nie mogąc wymyślić nic innego, Andrzej udał się do Starej Stancy, gdzie zamierzał się rozmówić z Edytą. Z dużą dozą prawdopodobieństwa należało bowiem zakładać, że tajemniczym znajomym Patryka był nie kto inny, jak kustosz

Marek Bednarz, druga ofiara zagadkowej serii augustowskich morderstw. Z kolei obaj zamordowani byli za życia blisko związani z Edytą Prusko, co – jeśli dodać do tego nieudany zamach na życie Suryma – nasuwało podejrzenie, że dziewczyna może stać się kolejnym celem nieuchwytnego zabójcy. Trasę, którą mógłby już pokonywać z zamkniętymi oczami, przejechał w niecałą godzinę. Możliwe, że po drodze złapał go radar, postanowił jednak zupełnie się tym nie przejmować. Cel uświęca środki. Podobno.

Rozpoznawszy w stojącym na parkingu radiowozie samochód należący do Lubiewicza, pogratulował sobie intuicji. Nie zdążył jednak wejść do środka, kiedy tuż obok niego zaparkował czarny ford Henryka Grabskiego.

– Cóż za miła niespodzianka! – przywitał go starszy pan, uśmiechając się promiennie. – Miałem nadzieję, że się zjawisz, chciałem z tobą porozmawiać o tej przedziwnej sprawie.

– Z tego, co widzę, wnioskuję, że mój szef też chciał coś z tobą omówić. – Andrzej skinął głową w kierunku radiowozu. – A ja, szczerze mówiąc, miałem nadzieję na rozmowę z Edytą. Wygląda na to, że kustosz znał Patryka.

– O, to ciekawa informacja. Choć należało się tego domyślić – odparł Henryk i wszedł do środka. – Nie wiem, czy Edyta jest w domu, zaraz się przekonamy.

Już od progu słyhać było zażartą dyskusję. Lewczyński bez pudła rozróżnił głos kuzyna, drugi należał do Emila. A ten trzeci?

– Dzień dobry, panie inspektorze! – ucieszył się Grabski. – Jaka wspaniała, kolejna tego dnia, niespodzianka! Witam pana serdecznie!

Wchodząc do saloniku, Andrzej zobaczył korpulentnego sześćdziesięciolatka ściskającego rękę Henryka. Poczul, że powinien wiedzieć, kim jest ów inspektor, jednak mózg za nic nie chciał dopasować nazwiska do twarzy.

- Andrzej, czy miałeś już okazję poznać inspektora Kazimierza Wilczyńskiego z wrocławskiej policji kryminalnej? - dokonał prezentacji Grabski.

- W rzeczy samej, nie miałem! - wykrzyknął Andrzej, odczuwając rosnącą ekscytację. - Bardzo mi miło, panie inspektorze, komisarz Lewczyński.

- Bardzo mi miło, synu, bardzo mi miło. - Wilczyński uśmiechał się do Lewczyńskiego, zaglądając w jego niebieskie oczy. - Cała przyjemność po mojej stronie.

- A panowie tak sami tu siedzą? - zagadnął gospodarz, rozglądając się szybko. - Gdzie Krysia? I Edytka?

- Nie wiem, gdzie Krysia, nie spowiada mi się przecież - burknął Emil, obrażony, że przerwano mu emocjonującą dyskusję na temat angielskiej piłki nożnej. - A Edyta pojechała z Patrycją do Białegostoku, do szpitala.

- O szlag... - wymsknęło się Andrzejowi. - To jednak były one. *Pardon* - dodał przeproszającym tonem. - Wydawało mi się, że minąłem się z nimi w korytarzu, i jak się okazuje, faktycznie tak było.

- A to źle, że tam pojechały? - zaciekawiał się Henryk. - Nie powinny były?

- Nie, nie, w porządku. Przecież ja nie mogę mówić Edycie, co powinna, a czego nie powinna. I wcale bym nie chciał! - zapewnił ogniście, oblewając się rumieńcem. Czując rosnące zakłopotanie, szybko zmienił niewygodny temat. - Czy mógłbym dostać kawy, panie Emilu?

Niepocieszony kucharz wyszedł do kuchni, mrużąc pod nosem jakieś niecenzuralne słowa, na wszelki wypadek nie domknął jednak drzwi.

- Prywatnie czy służbowo, inspektorze? - zagadnął Henryk.

- Jedno i drugie, można tak powiedzieć. Przyjechałem zidentyfikować Patryka i postanowiłem włączyć się do

śledztwa.

- Rozumiem - skwitował z uśmiechem Henryk, który zdążył już się domyślić planu Wilczyńskiego. Z uwagi na łączącą ich historię nie zamierzał odmówić jego prośbie.

- Będzie pan nadzorował śledztwo? - Andrzej za to nie nadązał jeszcze za tokiem rozumowania Grabskiego.

- Nie, nie, broń Boże, żadne nadzorował. Tak jak i pan, będę w nim uczestniczył pod nadzorem Sławka.

Andrzej nie miał okazji wyrazić swojego zdumienia, drzwi bowiem właśnie się otworzyły i do salonu wparowała pani Krystyna, wściekła jak osa. Spojrzała na siedzących przy stole mężczyzn, obróciła się na pięcie i zniknęła na schodach prowadzących do części sypialnej domu. Za chwilę, tupiąc głośno, zeszła, a w zasadzie zbiegła po tychże schodach, nie zwracając uwagi na obecnych w domu gości, i wyszła na zewnątrz. Po kilku sekundach siedzący w ciszy mężczyźni usłyszeli potok gróźb wykrzykiwanych w kierunku nieznanego im osoby, prawdopodobnie płci żeńskiej. Wśród inwektyw dominowały określenia takie jak: oślica, jełopa, pierdoła saska, małpa śmierdząca i kilka innych, które dyskwalifikowały panią Krystynę w oczach wszelkiej maści językowych purystów.

- Ciekawe, kto tym razem nadepnął Krysi na odcisk - zagaił Emil, uśmiechając się od ucha do ucha. - To jest żywiół, nie kobieta! Nie chciałbym być w skórze tej osoby.

- Co tu się wyprawia? - zastanawiał się Henryk. - Czy mnie coś ominęło, Emilu?

- Nie wiem, ale zaraz się pewnie dowiemy, idzie tu. Uszy po sobie i ani słowa! - rozkazał kucharz, czmychając do kuchni. Oczywiście drzwi zostawił uchylone.

Pani Krystyna, wciąż tupiąc niczym podkuta słonica, wmaszerowała do saloniku i klapnęła ciężko na krzesło. Żaden z obecnych nie odważył się nawet oddychać.

- No, co tak siedzicie jak na tureckim kazaniu? Przywitać by się chociaż wypadało! - warknęła nestorka rodu Prusków.

- Trochę się boimy, Krysiu, żebyś nas od małą śmierdzących nie wyzwala - odpowiedział pogodnie Henryk.

- A, to słyszeliście? Przepraszam, starałam się być spokojna, ale miarka się przebrała. Dzwoniła do mnie Halinka ze szpitala, że jakaś pielęgniarzka się na Edytę poskarżyła. Że niby moja wnuczka awantury robi karczemne swojemu biednemu mężowi. - Powiodła wzrokiem po wszystkich obecnych, zatrzymując go dłużej na twarzy Wilczyńskiego. - No to jej powiedziałam, jaki biedny i nieszczęśliwy jest ten mąż. I żeby mi więcej takich banialuk nie szerzyła.

- A, to o Rafale tak wdzięcznie się wyrażałaś? - Grabski wreszcie zrozumiał. - Już myślałem, że biedną panią Halinkę obraziłaś.

- Za kogo ty mnie masz, Henryku?! - obruszyła się jego żona. - Ja jestem człowiek kulturalny i nigdy niczego takiego nikomu bym nie powiedziała. O kimś to co innego.

- Zdecydowanie - zaśmiał się mąż. - Ciekawe, co też nasza Edytka nawyczyniała w tym szpitalu, że aż skargi się sypią. Charakterek to ona ma...

- Z powietrza jej się to nie wzięło - skomentował cicho Emil, stawiając kawę przed Andrzejem i herbatę przed panią Krystyną. - Podobno po dziadkach dziedziczymy najwięcej.

Pani Prusko nie zdążyła spiorunować kucharza wzrokiem, gdyż uciekł od razu, nim jeszcze wybrzmiała ostatnia głoska jego wypowiedzi. Pokręciła tylko głową i odezwała się słodkim jak miód głosem:

- Panie inspektorze, witam pana serdecznie, cóż za miła niespodzianka!

- Cała przyjemność po mojej stronie, pani Krystyno - odparł połączony Wilczyński, choć nie do końca był pewien, czy

rzeczywiście odczuwa ową przyjemność, zwłaszcza po ostatniej scenie.

- No dobrze, panowie, uprzejmości wymienione, proszę o konkrety. Co tu się właściwie wyprawia? I dlaczego znów wplątano w tę sprawę moją rodzinę? - Tym razem w głosie Krystyny słyhać było jedynie determinację, która kazała wszystkim wierzyć, że ta kobieta nie spocznie, dopóki tajemnica morderstw w Augustowie nie zostanie rozwikłana.

Doktor Remigiusz Baczański sprawy Jarosława Rabskiego nie pamiętał, musiał się więc posiłkować notatkami. Zaprowadził Bączka do swojego gabinetu, w którym sterta kartonów i teczek zdawała się przyrastać z geometryczną prędkością. Pokierowany wskazówkami z akt, które przyniósł ze sobą podkomisarz, znalazł właściwą teczkę, zaparzył dzbanek mocnej kawy i przystąpił do analizy.

- Jarosław Rabski, lat sześćdziesiąt siedem, profesor nadzwyczajny. Kierownik Katedry Etnologii i Antropologii Kulturowej we Wrocławiu. Zginął wskutek upadku ze schodów, a konkretnie w następstwie uderzenia głową o metalową barierkę na półpiętrze. Na ciele, poza śmiertelną raną głowy, nie było żadnych obrażeń, które mogłyby wskazywać na udział osób trzecich. Prokuratura nie dotarła też do żadnych świadków, którzy zeznaliby, że poza denatem na miejscu znajdował się ktokolwiek inny, czyje działania mogłyby przyczynić się do śmierci ofiary. Sprawę uznano za nieszczęśliwy wypadek. Rozumiem, że domagasz się jej przekwalifikowania? - zwrócił się do Bączka z błyskiem w oku.

- Na razie niczego się nie domagam, trafiłem na tę sprawę zupełnym przypadkiem, w związku ze śmiercią naszego hakera. Jesteś pewien, że to nie mogło być morderstwo?

- Jedyne, czego jestem pewien, to tego, że na jego ciele nie było żadnych obrażeń, które wskazywałyby na to, że się bronił albo że został zaatakowany.

- A gdyby ktoś go... no nie wiem, popchnął na przykład? Albo podstawił mu nogę?

- No widzisz, Michałek - Baczmański się uśmiechnął - dlatego właśnie cię lubię. Gdyby ktoś mu podstawił nogę, żadne ślady na ciele nie zostaną. A gdyby mnie o to zapytano przed zamknięciem tej sprawy, to podałbym w wątpliwość, że idealnie zdrowy fizycznie i umysłowo człowiek nagle zapomniał, jak się schodzi po schodach.

- Dzięki, Remik. Mogę wziąć twoje zapiski? - Bączek już ruszał do wyjścia.

- Hola, hola, mój narwany przyjacielu. Najpierw musisz wypić kawę i rozegrać ze mną partyjkę szachów. Taki barterek: ja coś dla ciebie, ty coś dla mnie.

- To gdzie teraz, moja współniczko w zbrodni? - zapytała wesoło Edyta, siadając na miejscu pasażera.

- Jedziemy do wydawnictwa, umówiłam się tam z jedną graficzką, dziewczyna ma magię w palcach!

- No dobra, ale załatwmy to szybko, bo głodna jestem jak wilk i zaraz zacznę oblizywać klamki w samochodzie - ostrzegła Edyta.

- Pięć minut i wracamy. Pan Emil obiecał mi dzisiaj zapiekankę pasterską, na samą myśl o niej mam ślinotok - rozmarzyła się Patinka.

- Proszę cię, przestań, nie znęcaj się nade mną. Ta ciąża naprawdę mi nie służy, ślinię się jak buldog, tyję jak kleszcz, a w dodatku wszczynam awantury w szpitalach.

- Dajże spokój, Edzia - radziła doświadczona przyjaciółka. - Kobiety w ciąży naprawdę dziwne rzeczy wyprawiają. Popatrz

na mnie: za gangsterem do Stanów wyjechałam, bo mi się wydawało, że tam najlepsza przygoda w życiu mnie czeka. I jak to się skończyło? Musiałam w trybie ekstraordynaryjnym wracać do kraju, żebym mogła dziecko urodzić. A szanowny gangster w duszy miał mnie i moją ciążę.

- To co innego - mruknęła zasepiona Edyta. - Ja się wydarłam na kretyna, który z miłości postanowił się ze mną nie rozwodzić. Jemu się wydaje, że z miłości, a ja to wszystko w pył rozbiłam. Wredne, wściekłe babsko. W dodatku w ciąży!

- Pfff - zaszydziła Patinka - ty chyba nie wiesz, co mogą zrobić wredne babska w ciąży. Twoje dzisiejsze wystąpienie to pikus, ja ci mówię. Nie powinnaś mieć żadnych wyrzutów sumienia.

- Ale on żałuje...

- Serio? Serio się na to dałaś złapać? Jedyne, czego on żałuje, to tego, że jego zdrada wyszła na jaw. Gdyby Ulka żyła, to pewnie by tak sobie na dwa fronty latał, wewnątrz rodziny.

- Przecież on nie wiedział, że to rodzina.

- W końcu by się dowiedział - stwierdziła Patinka. - Edzia, ty się wreszcie zdecyduj. Chcesz tego jełopa przygarnąć z powrotem i modlić się, żeby los mu na drodze kolejnej Ulki nie postawił? Czy może jednak chcesz związać się z przystojnym, czułym i szarmanckim niebieskookim bogiem w mundurze?

- Jak tak gadasz, to mam wrażenie, że chętnie byś za tym mundurem poleciała... - skonstatowała Edyta, patrząc na przyjaciółkę z odrobiną niepokojem.

- No wiadomo! Ale ja za stara dla niego jestem, a ty już jesteś na jego radarze, więc bardzo cię proszę, nie schrań tej szansy.

Dojechały właśnie pod siedzibę wydawnictwa mieszczącego się w niepozornej willi. Patinka zaprowadziła Edytę przez ogród do tylnego wejścia. Wewnątrz nie było nikogo.

- Usiądź sobie, Edzia, za chwilę powinna zjawić się ta dziewczyna. Podpiszemy umowę i jedziemy z powrotem. Żadnych niespodzianek już nie przewiduję, marzy mi się spokojne popołudnie.

W tym momencie do środka weszła wysoka zielonooka dziewczyna, zaraz za nią pojawiła się jej starsza wersja, peleton zamykał zaś Mateusz Roszkowski.

- A pan co tu robi, panie Mateuszu? - zdziwiła się Patinka.

- O, pani Patrycja - ucieszył się. - Przyjechałem w charakterze obstawy mojej siostry. Pani pozwoli: Kalina Górecka. A to moja mama, Adrianna Górecka.

Edyta wytrzeszczyła oczy i po chwili zaczęła chichotać. Żadnych niespodzianek, no naprawdę, dobre sobie!

- No to niezła siupa - skomentowała Patinka, układając kolejne puzzle w głowie. - Nie wiem, o co chodzi w tej całej sprawie, ale patrzcie, jakie to dziwne, że akurat teraz musiałam tu przyjechać, kupić wydawnictwo i znaleźć grafika, który okazał się siostrą zaginionego wujka Edyty. Przecież mogłam je kupić na przykład za pół roku, to wszystko wydaje się wyłącznie kwestią czasu. Nie sądzisz, Edzia?

Edzia śmiała się do rozpuku, powtarzając pod nosem w kółko ową „kwestię czasu”.

- Gorzej ci? - zmartwiła się Patinka.

- Przeciwnie, lepiej! - odparła Edyta, nie przestając rzeć. - Bo mi się właśnie przypomniało, dlaczego Patryk mógł mówić o kwestii czasu. Ale ja byłam głupia!

Mężczyzna siedział w pubie, co chwilę dotykając kieszeni, jakby się upewniał, że spoczywające tam klucze są bezpieczne. Nieśpiesznie popijał piwo i uśmiechał się do swoich myśli. W niedzielę, kiedy matka Patryka wyjdzie do kościoła, wszystko

się skończy. Potem będzie mógł podjąć pieniądze z rachunku Markiewicza i zająć się realizacją marzeń.

Do pubu weszła dziewczyna o włosach białych jak len i uśmiechnęła się do niego życzliwie. Kojarzył ją z wykładów, które prowadził, kilka razy spotkał ją też na korytarzu katedry. Była ładna, żadna tam hollywoodzka piękność, klasyczna słowiańska uroda. Wydatne usta opadały nieznacznie z lewej strony, kiedy się uśmiechała. Jak to wszystko się skończy, może zaprosi ją na randkę? Tak, postanowił. Kiedy to wszystko się skończy, zaprosi ją w jakieś ładne miejsce i zajmie się prawdziwym życiem. W końcu teraz już może.

Podkomisarz Bączek wrócił do komendy z silnym przeświadczeniem, że sprawa śmierci Jarosława Rabskiego została zamieciona pod dywan. Nie, nie specjalnie, nie dopatrywał się tu mataczenia - mataczyć nie było komu. Żadnych świadków, żadnych podejrzeń, nikt nie miał podstaw, żeby w nieszczęśliwym wypadku doszukiwać się drugiego dna. Ale czy na pewno nikt? Profesor Rabski był szefem katedry etnologii, tej samej, dla której pracował Patryk Mączka. To nie mógł być zbieg okoliczności, nawet gdyby w ich występowanie Bączek wciąż wierzył. A przecież nie wierzył.

Zabójstwo siostrzeńca inspektora Wilczyńskiego nabrało tym samym nowego wymiaru, którego prawdopodobnie nikt do tej pory nie brał pod uwagę. Ani w Augustowie, ani we Wrocławiu nie było bowiem przesłanek, żeby połączyć przypadkową śmierć leciwego naukowca z bestialską egzekucją wykonaną na młodym mężczyźnie.

Jeszcze silniej niż do tego, że Rabski i Mączka są w jakiś sposób powiązani, Bączek przekonany był do wyraźnego związku ze sprawą Edyty Prusko. Nie bardzo jednak wiedząc,

od czego zacząć formułowanie tezy śledczej, postanowił się skonsultować.

- Andrzej? Tu Bączek, masz chwilę?

- Cześć, kolego, fajnie, że dzwonisz. Wygląda na to, że mamy tu cały komplecik. Jest tu ze mną mój szef, twój szef i jest pan Henryk Grabski.

- O w mordę!

- Tak jak mówisz, bracie, tak jak mówisz. To co, dam cię na głośniczek? - Nie czekając na odpowiedź, Lewczyński włączył tryb głośnomówiący i położył telefon na stole. - Michał, możesz mówić - poinformował kolegę z ironią.

- Wielkie dzięki - odparł takim samym tonem wrocławianin.
- Dzień dobry panom, cześć, Kaziu!

- Cześć, Michaś! - przywitał go radośnie Wilczyński. - Co słyhać na dolnośląskich śmieciach? Do przodu?

- Dwa kroki w tył, jeden w przód. Wiesz, jak jest - rzucił enigmatycznie Bączek. - A jak u was? Coś nowego?

- Zależy, na czym kończy się twoja wiedza. - Lewczyński nie mógł sobie przypomnieć, czy kontaktował się z Bączkiem przed odkryciem zabójstwa kustosza czy już po tym. - Mamy dwa trupy w chłodni i jednego rozjechanego w szpitalu.

- Jestem w plecy o jednego trupa - stwierdził Bączek. - Kim był drugi? Albo nie, nie mów! Sam zgadnę. Jakiś etnograf?

- A ty co, w astrologię się bawisz? - Wilczyński rzucił się na telefon. - Skąd to wiesz?

- Czyli zgadłem...

- Ale w jaki sposób, panie podkomisarzu? - zapytał rzeczowo Henryk Grabski, któremu także powiązanie między Patrykiem a kustoszem muzeum etnograficznego wydawało się zbyt dużym zbiegiem okoliczności.

- Sam do końca nawet nie wiem, jak to się stało - wyznał zgodnie z prawdą Bączek. - Olśniło mnie dzięki podpowiedzi

kolegi z cyberprzestępczości. Wygląda na to, że w tej sprawie mamy już cztery trupy w chłodni: dwa we Wrocławiu, dwa w Augustowie.

- Jak to dwa? - zdenerwował się inspektor. - Weź no mi tu, Michaś, jak na spowiedzi, po ludzku, wyjaśnij. Jeszcze dzisiaj rano był jeden.

- I co, ten morderca tak skacze, od Sasa do Lasa, raz Augustów, potem Wrocław? - wtrąciła pani Krystyna.

- Wychodzi na to, że wszystko zaczęło się we Wrocławiu kilka miesięcy temu - tłumaczył Bączek cierpliwie. - Powiem wam, jak wygląda moja teoria, a wy mi powiecie, co o niej sądzicie.

Wszyscy obecni w Stanicy, włącznie z Emilem, zgodnie wyrazili aprobatę dla pomysłu podkomisarza Bączka. Opowiadając zdarzenia w porządku, w jakim go sobie wyobraził, sam autor tej odważnej teorii porządkował myśli.

- Kilka miesięcy temu na półpiętrze klatki schodowej jednej z wrocławskich kamienic znaleziono zwłoki sześćdziesięcioośmioletniego profesora. Na wniosek prokuratora wykonana została sekcja zwłok, która stwierdziła brak udziału osób trzecich. Sprawę zamknięto jako nieszczęśliwy wypadek. Po jakimś czasie w Augustowie zostaje zamordowany młody badacz związany z tą samą jednostką naukową. Dwa dni później z rąk prawdopodobnie tej samej osoby ginie kolejny naukowiec, tym razem...

- Kustosz augustowskiego muzeum - podpowiedział Henryk.

- Właśnie, a Rafała Suryma ktoś rozjeżdża samochodem. Następnego dnia we Wrocławiu zostaje zamordowany student informatyki znany policji z talentu do łamania cyfrowych zabezpieczeń.

- No i gdzie w tym wszystkim jest sens? Gdzie jest motyw? - Wilczyńskiemu jeszcze nie wszystkie elementy wskoczyły w odpowiednie miejsca.

- Czekaj, czekaj... - odezwała się pani Krystyna. - Heniu, czy Edytka czasem nie prosiła cię o sprawdzenie jakiegoś wrocławskiego profesora?

- Masz rację, duszko, prosiła - przyznał Grabski. - Ale, jak już pan podkomisarz zauważył, owa sprawa została zakwalifikowana jako nieszczęśliwy wypadek. I taką informację przekazałem Edycie.

- Czyli miała rację ta nasza awanturnica? - zastanawiała się dalej pani Prusko. - A gdyby założyć, jak to sugeruje podkomisarz Bączek, że jednak to nie był taki niewinny wypadek, to co nam z tego przyjdzie?

- No i o co chodzi z tym Rafałem? - dodał Andrzej, którego kwestia Suryma paliła pod czaszką z zupełnie innych powodów.

- Fakt, Surym pasuje jak pięść do nosa. A może on nie ma związku z całą sprawą? - dywagował Bączek. - Może akurat to był nieszczęśliwy wypadek?

- Bzdura! - wrzasnęła Patinka, wpadając do saloniku niczym furia. - Panie podkomisarzu, to ja, Patinka, przyprowadziłam wam świadków, którzy widzieli, jak Rafała ktoś rozjeżdżał celowo.

Wszystkie oczy, poza oczami inspektora Wilczyńskiego, przeniosły się z Patinki na kolejno wchodzące za nią osoby. Jako pierwsza ukazała się Edyta, powodując u Andrzeja przyspieszone bicie serca. Następny był Mateusz Roszkowski, a zaraz za nim pojawiły się olśniewające urodą Adrianna Górecka i jej córka. Oczy Wilczyńskiego pozostały wlepione w Patinkę, sam zaś ich właściciel zapadł się w fotel i usiłował udawać, że wcale go tam nie ma.

- Jak dobrze, że ugotowałem więcej - syknął Emil na widok kolejnych gości. - Naprawdę muszę gruntownie przemyśleć dalszą karierę w tym domu, Krystyna, bo tak dalej być nie może. Czuję się absolutnie niedoceniony!

- Nie jazgocz tyle, mój drogi, a na pewno będziesz miał więcej mocy przerobowych - odgryzła się pani Prusko. - Zapraszam państwa do stołu, Adrianno, Mateuszu, proszę się nie krępować. Szef kuchni właśnie zaczyna serwować.

Na czas posiłku podkomisarz Bączek został rozłączony, rozmawiać w tym gwarze i tak się dłużej nie dało. On zaś postanowił sprawdzić kilka faktów z życia Jarosława Rabskiego i udać się do banku, w którym Jerzy Markiewicz zdeponował tajemnicze dwieście tysięcy złotych.

Prokurator Maciejewski, pomimo całego uwielbienia dla wybitnej lekarki sądowej, zaczynał się niecierpliwić. Obiecała mu rozszyfrować kartkę z kieszeni denata, pieśzcotliwie nazywanego przez nich Bioderkiem, w trybie cito, a tymczasem nadal tkwili w martwym, nomen omen, punkcie. Lubiewicz i Lewczyński też przestali mu się meldować. Cała ta sprawa w ogóle była jakaś niewydarzona, urwana, czegoś tu ewidentnie brakowało.

Lubiewicz jak zwykle nie odbierał komórki, jakby się bał, że dostanie raka od fal radiowych, telefon Lewczyńskiego był zajęty, Maciejewskiemu została więc ostatnia deska ratunku w postaci Henryka Grabskiego. Podjechał do winiarni, wybrał dwie butelki upiornie drogiego cabernet sauvignon i udał się do Starej Stanicy, modląc się o przychyłość losu. Oby pani Prusko akurat odwiedzała córkę, bo jak nie, to...

Na parkingu dla gości poza samochodem Lewczyńskiego rozpoznał radiowóz Lubiewicza, co odrobinę go zdziwiło. Kogo jak kogo, ale Sławka się tu nie spodziewał. Jędrrek - wiadomo, gdzie Pruskowie, tam on. Ale Lubiewicz?

Zapukał kulturalnie, jednak nie doczekał się zaproszenia, wszedł więc ostrożnie do środka i od razu zaskoczył go gwar ożywionej rozmowy. Nieśmiało podążył w kierunku, z którego

dobiegały głosy, i zdębiał w progu saloniku, w którym w najlepsze trwała impreza. Wokół stołu siedziało dziesięć osób, w tym dwóch jego pracowników, oficer wrocławskiej policji i agent służb specjalnych w stanie spoczynku. Korpulentny czerwonolicy kucharz uwijał się wokół jak w ukropie, dostawiając kolejne potrawy na suto już zastawiony stół. Na domiar złego nikt nie zwrócił uwagi na pojawienie się Maciejewskiego – mógłby ten zajazd okraść, a oni niczego by nie zauważyli. Banda wariatów!

Stanie jak kołek znudziło mu się po dwóch minutach, postanowił więc głośno chrząknąć. Bez rezultatu. Ponowił próbę – skutek taki sam. W końcu zauważył dzwonek wiszący przy wejściu do domu i z zapamiętaniem pociągnął za sznur. Z dużą dozą prawdopodobieństwa można stwierdzić, że dźwięk ten słychać było nawet w Białymstoku.

- A co też pan wyrabia, panie prokuratorze?! - wrzasnęła pani Krystyna, trzymając się za serce. - Zawału mamy tu dostać przez pana?

- Wcale nie, wcale nie, pani Krysiu złota. - Maciejewski uśmiechał się nieco zawstydzony. - Pukałem i chrząkałem, ale państwo tak byli zajęci, że nikt na mnie nie zwrócił uwagi.

- To może następnym razem warto spróbować się odezwać, zamiast chrząkać? - zasugerowała nie bez złośliwości Patinka.

- Wino przyniosłem! - rzucił ni stąd, ni zowąd prokurator, usiłując pokryć zażenowanie. - Chyba że państwo sobie nie życzą, to przyjdę innym razem.

- A co też pan wydziwia, panie Ludwiku! - ofuknęła go gospodyni. - Proszę sobie spocząć na wolnym krześle, Emil zaraz przyniesie panu talerz. Jedzenia wystarczy dla wszystkich.

Maciejewski ani myślał wychodzić. Zapach dobiegający z parujących kamionek przyprawił go niemal o rozstrój żołądka, jako że od wielu godzin nie miał w ustach niczego poza

obrzydliwą kawą z automatu w prokuraturze. Usiadł więc grzecznie obok Edyty i czekał na ten obiecany talerz.

- A państwo tu coś świętują, w takim zacnym gronie? - zagał słodkim głosem.

- Nie, wcale, zwyczajny piątkowy obiad - skłamała bez mrugnienia okiem pani Krystyna.

- Normalny obiad w normalnej rodzinie - dorzucił Emil, stawiając przed prokuratorem nakrycie z miśnieńskiej porcelany. - Wie pan, zwykle rozwiązujemy zagadki kryminalne w piątkowe popołudnia. To taka nasza pruska tradycja jest.

Pani Krystyna przewróciła oczami, ale nie odezwała się ani słowem. Nie miała zbyt dobrego zdania o prokuratorze Maciejewskim, zwłaszcza odkąd zakochał się jak w szczeniaku w tej patolożce, która ani myślała zostawiać swojego męża. Tymczasem Emil, zachęcony milczeniem chlebobawczyni brnął dalej, nieświadomie wywołując wilka z lasu:

- W dodatku, panie Ludwiku, muszę panu powiedzieć, że całkiem skutecznie nam to rozwiązywanie zagadek wychodzi. Niech pan sobie, drogi prokuratorze, wyobrazi, że ja sam, Emil Mirosławski, honorowy obywatel miasta Kartuzy, rozwiązałem zagadkę rozjechania Rafała Suryma.

- Czo pan poe? - zaciekawiał się Maciejewski, napychając usta purée ziemniaczanym. - I kto to niby jest?

- Martyna Wierszycka, krewna Krystyny.

Tego jednak było za wiele dla nadwyrężonych nerwów pani Krystyny. Dźwięk widelca uderzającego w bezcenny talerz z miśnieńskiej porcelany upiornie podkreślił charakter wypowiedzi, która wystąpiła w ślad za nim:

- Jeżeli natychmiast nie przestaniesz wygłaszać publicznie tych bredni, to oświadczam tu przy świadkach, że nakopię ci do tyłka i wychłostam pokrzywami!

- To nie są żadne brednie, Krystyna. Ja ci to mówię od samego początku. Gdyby to był morderca, toby go rozjechał na śmierć. To robota amatora, w dodatku na pewno kobiety. A kustosza kobieta nie zamordowała.

- Ja nie miałam pojęcia, że z ciebie taki Sherlock Holmes, mój drogi! - wyzłośliwiła się pani Prusko. - To może zechcesz nam zaprezentować tę twoją dedukcję.

- Proszę uprzejmie, z tym że wypraszam sobie „dedukcję”. Ja stosuję metody naukowe! - zachnął się Emil, który akurat stosunkowo niedawno przy okazji czytania biografii Artura Conan Doyle’a poznał termin „abdukcja”. - Zacznijmy od tego, że przejechanie Rafała nie mogło zostać zaplanowane i przemyślane, gdyż miało miejsce pod komendą policji, co wiązało się z ogromnym ryzykiem ujęcia sprawcy *in flagrante delicto*.

- Tyle że ani jednego porządnego świadka nie było... - skomentował gorzko Andrzej.

- To akurat dzieło przypadku - kontynuował Emil z miną eksperta w dziedzinie kryminalistyki. - Najczęściej pod wpływem emocji i nagłego impulsu działają kobiety, zatem mamy pierwszą przesłankę. Po drugie, od rozjechanego wiemy, że samochód był czerwony. Czy znacie jakiegokolwiek mężczyznę jeżdżącego czerwonym samochodem?

- Michael Schumacher i Sebastian Vettel - rzuciła Patinka zniecierpliwiona.

- Poza kierowcami bolidów Ferrari? - doprecyzował Emil ze spokojem. - Bo ja nie znam.

- Ja nawet niewiele kobiet znam, które jeździłyby z wyboru czerwonym autem - dodała w zamyśleniu Edyta. - Czerwona to może być szminka albo lakier na paznokciach.

- Albo szpilki - dodała Patinka, tym razem zyskując aprobatę kucharza.

- Ja znam tylko... Martynę - uzupełniła pani Krystyna, uświadamiając sobie, że właśnie udowodniła tezę Emila.

- Otóż to! - wykrzyknął triumfalnie mistrz kuchni. - A teraz przejdźmy do kwestii morderstw. Poderżnięcie gardła to raczej nie jest łatwa sprawa, prawda, panie prokuratorze?

Maciejewski zdobył się tylko na energiczne pokiwanie głową, usta bowiem miał zapchane aromatyczną wołowiną z duszoną marchewką.

- Pan prokurator mówi, że prawda - przetłumaczył Emil. - A zatem możemy wykluczyć, że zamordowania Patryka i rozjechania Rafała dopuściła się ta sama osoba.

- No i nie możemy zapominać, że kustosza Bednarza uduszono gołymi rękami, a kobiety z reguły ręce mają drobne i delikatne - dodał Andrzej, doskonale rozumiejąc tok myślenia Mirosławskiego. - Ma pan rację, Emilu, te dwie sprawy nie są powiązane osobą sprawcy!

- Oczywiście, że mam rację - odparł kucharz z dumą wylewającą mu się uszami. - Od samego początku tej historii z piekła rodem mówię, że Surym padł ofiarą zemsty Martyny, a wy, ludzie małej wiary, śmialiście się z mojej teorii. I kto teraz się śmieje?

- Zaraz, zaraz - wtrącił rozsądnie Wilczyński, przysłuchujący się dotąd w milczeniu. - Udowodnił pan, że mamy dwóch sprawców, ale do udowodnienia, że czerwony samochód należał do pani Wierszyckiej, wciąż jeszcze daleko.

- Pan, zdaje się, poznał kuzynkę Martynę? - odpowiedział pytaniem Emil. - I co, tak trudno uwierzyć, że opanowała ją żądza zemsty?

- Z psychologicznego punktu widzenia wcale nietrudno, pełna zgoda. Ale to trochę za mało, żeby postawić tę panią przed sądem.

- Czy ta pani jeździ przypadkiem czerwonym oplem tигра? - odezwała się nieśmiało Adrianna Górecka, która dotychczas nie

miała okazji wyjawic celu swojej wizyty. – I, być może, wygląda jak świnka Piggy z rudą trwałą?

Wszystkie głowy równocześnie zwróciły się w stronę pięknej kobiety, co zupełnie jej nie onieśmieliło. Uśmiechała się promiennie, a zielone oczy błyszczały jak najprawdziwsze szmaragdy.

– Świnka Piggy z rudą trwałą? – zamyśliła się pani Prusko. – Nigdy o tym nie pomyślałam, ale faktycznie tak właśnie wygląda Martyna. Prawda, Heniu?

– Może trochę... – odparł z wahaniem Henryk. – Ale z całą pewnością jeździ czerwonym oplem tigrą. Czy pani widziała, jak ta rudowłosa świnka Piggy potrafiła Rafała Suryma pod komendą?

– Widziałam, jak kierująca czerwonym oplem tigra rudowłosa kobieta potrafiła mężczyznę. A raczej najpierw go śledziła, a następnie celowo wjechała na chodnik i go uderzyła, a potem jeszcze trochę rozjechała, aż wreszcie wycofała samochód i odjechała z dużą prędkością.

– A dlaczego nie powiedziała nam pani tego wcześniej? – oburzył się Lubiewicz. – Pani zeznanie mogłoby przyśpieszyć ujęcie sprawcy!

– Nie wiedziałam, że go panowie szukają... Byłam pewna, że skoro to się stało pod komendą, to sami go ujmiecie, po nagraniach na monitoringu. Musieliście przecież sprawdzić nagrania i zobaczyć tablice rejestracyjne, prawda?

W idealnym świecie z pewnością tak właśnie by się stało. Albo w jakiejś dobrej książce. Tymczasem Komenda Miejska Policji w Augustowie znajdowała się w świecie realnym, w związku z czym kamery monitoringu, owszem, były, natomiast na nowe taśmy pieniędzy już nie starczyło, więc materiału nie nagrywano. Żaden z siedzących przy stole w Starej Stanicy policjantów za skarby Szeherazady by się do tego jednak nie przyznał. Lubiewicz wybąkał niejasne i całkowicie bezsensowne

tłumaczenie, nikt go jednak już nie słuchał. Zeznanie Adrianny Góreckiej warte było sprawdzenia, choćby miało się okazać, że trafili kulą w płot. Metoda eliminacji jest lepsza niż żadna.

Podkomisarz Bączek z mozołem uzyskiwał informacje na temat badań prowadzonych przez profesora Rabskiego. Ani jeden z jego doktorantów nie chciał o tym mówić, zasłaniając się ochroną dorobku naukowego. Bez dokumentu w postaci prokuratorskiego nakazu żadnych tajemnic odtajnić nie można było, więc sprawa utknęła w martwym punkcie. Prokurator Marek Jagielski nie chciał nawet słyszeć o otwarciu i przekwalifikowaniu sprawy śmierci profesora i odesłał Bączka z kwitkiem.

- Znajdź mi sprawcę i dowód, to porozmawiamy. Mało masz niezamkniętych spraw, Michał?!

Pozostawał zatem jedyny trop, nad którym usilnie pracowali policjanci zajmujący się przestępstwami w sieci, jednak poza szczątkową bazą adresów mailowych i kilkoma tysiącami linijek kodu nic nowego nie znaleźli.

- Ile wam zajmie sprawdzenie tego kodu? - zapytał Bączek Darka, specjalisty od oprogramowania. - Potrzebuję czegoś, co pozwoli mi powiązać Markiewicza z Rabskim.

- Staramy się, jak możemy, Michaś - odparł programista, nie odrywając wzroku od ciągu znaków binarnych. - Na razie mogę przypuszczać, że to jakiś tekst, ale podwójnie zaszyfrowany: znaki mające udawać znaki, które są innymi znakami.

- Nie rozumiem, co do mnie mówisz, ale ufam, że w końcu przełożysz mi to z nerdowskiego na język wspólny - zażartował Bączek. - Dobra, to może to konto sprawdzimy. Podaj mi jego dane, oddział banku i pójdę się rozmówić.

Uzyskawszy pożądane informacje, podkomisarz wybrał się do oddziału banku znajdującego się w ścisłym centrum miasta.

Poruszał się na piechotę, dzięki czemu mógł podziwiać piękno odnowionej wrocławskiej starówki. Minął budynek Opery, legendarny hotel Monopol, w którym nakręcono najslynniejszą scenę *Popiołu i diamentu*, dwa Solpole o urodzie raczej dyskusyjnej. Z nostalgią zagłębił się w Przejście Świdnickie, które w czasach jego dzieciństwa kojarzyło się z barem serwującym całkiem niezłe tosty. Deptak przy Świdnickiej pokonał ze wzrokiem wbitym w ziemię, licząc granitowe kule ustawione po lewej stronie. Pogoda dopisywała, dzięki czemu Rynek wypełniały tłumy turystów i odwiedzających liczne letnie ogródki wrocławian. Bączek kochał to miasto miłością niezłomną i za nic w świecie nie zamieniłby go na żadne inne. Ewentualnie na Gdańsk, ale pewnie tylko na chwilę.

W banku panował spokój, zaledwie kilku interesantów załatwiało swoje sprawy osobiście. Bączek poprosił o spotkanie z dyrektorem placówki i usiadł grzecznie na krzeselku dla petentów. Po kilku minutach drzwi do pomieszczeń służbowych się uchyliły i elegancka trzydziestokilkulatka zaprosiła go do środka.

- Podkomisarz Michał Bączek, policja kryminalna, chciałbym zadać pani kilka pytań o jednego z klientów państwa banku.

- Postaram się panu pomóc, muszę jednak wspomnieć, że...

- Tak, tak, tajemnica bankowa, RODO, wszystko to wiem - przerwał jej Bączek, nie kryjąc zniecierpliwienia. Wyjął z kieszeni marynarki kartkę i podał ją kobiecie. - To nakaz prokuratora wzywający pracowników banku do ujawnienia tajemnicy. Jest to niezbędne dla toczącego się śledztwa w sprawie o zabójstwo.

- Zabójstwo! - Elegancka kobieta pobladła nagle i powachlowała się kartką. - Rozumiem, oczywiście, to zupełnie zmienia postać rzeczy. Co chce pan sprawdzić?

- Moi koledzy z wydziału do spraw cyberprzestępczości odkryli, że ofiara przestępstwa, pan Jerzy Markiewicz,

zdeponował w państwa banku dwieście tysięcy złotych. Chciałbym się dowiedzieć, w jaki sposób te pieniądze znalazły się na jego koncie, kiedy to dokładnie miało miejsce oraz czy ktokolwiek poza panem Markiewiczem ma do niego dostęp.

Kobieta odblokowała komputer, uwierzytelniła swoje dostępności za pomocą karty magnetycznej i wpisała PESEL Markiewicza znajdujący się w treści nakazu. Po chwili przekreśliła ekran komputera w stronę Bączka, umożliwiając mu odczytanie znalezionych informacji.

- Lokata założona przez Jerzego Markiewicza w dniu czwartego maja, kwota wpłaty dwieście tysięcy złotych, wpłata gotówkowa w oddziale banku - odczytał na głos policjant.

- Właścicielem rachunku jest Jerzy Markiewicz, nie ma współwłaścicieli - uzupełniła kobieta.

- Czy taka wpłata w ogóle może być wpłacana w gotówce? - zapytał Bączek, zastanawiając się na głos.

- Oczywiście, że może. Wpłacający składa wówczas oświadczenie o źródle pochodzenia środków. Procedury AML nie zabraniają transakcji, tylko nakazują ich nadzór.

- A jak brzmiało oświadczenie Markiewicza?

Dyrektorka banku poklikała w różne miejsca i otworzyła załącznik. Było to odręcznie napisane oświadczenie, z którego wynikało, że Jerzy Markiewicz wygrał pieniądze na loterii, a kwota dwustu tysięcy stanowiła jego przychód po opodatkowaniu. Na drugiej stronie znajdowała się deklaracja złożona przez Markiewicza do urzędu skarbowego, w której rzetelnie odprowadzał podatek od wygranej. Sprytnie.

- Szczęściarz, jednym słowem - skwitował policjant. - Jeśli mogę prosić, to przydałyby mi się kopie tych dokumentów. Dziękuję pani za pomoc.

Kobieta uśmiechnęła się i przystąpiła do drukowania dokumentów. Bączek zdjął kopie z drukarki i otworzył drzwi.

- Panie podkomisarzu - zatrzymała go kobieta - proszę jeszcze nie wychodzić. Wygląda na to, że pan Markiewicz upoważnił kogoś do tego rachunku. Niech pan zerknie, wysłałam panu na drukarkę.

Bączek chwycił kartkę, która ukazała się na maszynie, i przyjrzał się odręcznemu pismu. Nawet laik zauważyłby, że nie należało ono do Markiewicza. Psycholog Bączek natychmiast zauważył różnice w wersalikach i inny stopień pochylenia podpisu. Wreszcie miał trop!

Nieplanowany piątkowy obiad w Starej Stanicy przyniósł nowe wyzwania, a przede wszystkim nową teorię, która ze wszech miar domagała się sprawdzenia. O ile Bączek we Wrocławiu musiał zmierzyć się z niechęcią prokuratora, o tyle w Augustowie Ludwik Maciejewski podpisał wszystkie możliwe nakazy włącznie z zabezpieczeniem samochodu Martyny Wierszyckiej. Od rana w sobotę Lewczyński z Wilczyńskim ruszyli do pracy z nowym zapalem.

Pod domem osieroconych rodziców Urszuli Wierszyckiej stał czerwony opel tigra zaparkowany przodem pod bramą garażu. Policjanci zgodnie ustalili, że nie będą zaczynać z wysokiego C i najpierw spróbują po dobroci. Drzwi otworzył im Stanisław Wierszycki, na którego twarzy pojawił się wyraz ulgi.

- Jak dobrze, że panowie przyjechali - wyszeptał z oczami pełnymi łez. - Ja już z nią nie wytrzymam. Ona oszalała!

- Możemy wejść, panie Staszku? - zapytał twardym głosem Andrzej, ani przez chwilę nie zdradzając zaskoczenia.

- Oczywiście, oczywiście, zapraszam. - Wierszycki otworzył drzwi na oścież. - Martyna, mamy gości!

Lewczyński wszedł pierwszy, miał już bowiem praktykę w odwiedzaniu pani Wierszyckiej. Wilczyński podążył za nim,

rozglądając się ciekawie. Panią domu znaleźli w salonie, na pokrytej aksamitem kanapie, zawiniętą w koc.

- Dzień dobry, pani Martyno - odezwał się ciepło Andrzej. - Mam nadzieję, że nie przeszkadzamy. Jest ze mną inspektor Wilczyński z Wrocławia.

- Z Wrocławia? - Kobieta podniosła głowę. - Przyszliście mnie aresztować?

- Dlaczego pani tak sądzi? - zapytał Lewczyński.

- Za tego osła, Suryma. Zabiłam go.

- Pan Surym żyje, pani Martyno - odparł Wilczyński. - Wszystko z nim dobrze, nie licząc kilku złamań. Ale on już powinien przywyknąć.

- Żyje? Naprawdę?! - Wierszycka zerwała się nagle i zaczęła skakać po pokoju. - Słyszysz, Stasiu? Nie zabiłam go! Nie jestem morderczynią!

- Chyba nie będziemy potrzebować tego nakazu - szepnął Andrzej do Wilczyńskiego.

- Na to wygląda.

- Piotr Hawryluk? - powtórzył Darek za Bączkiem. - Hawryluk, Hawryluk, a wiesz co, chyba coś mi się przewinięło. Odezwę się do ciebie, jak coś znajdě. A teraz kończę pracę i wyłączam telefon.

Sobota zastała podkomisarza Bączka w pracy. Po powrocie z banku w piątkowe popołudnie zajął się przeszukiwaniem wszelkich możliwych baz, włącznie z internetowymi serwisami zajmującymi się plotkami. Nazwisko, które widniało na upoważnieniu, z jakichś powodów było mu znane. Po wpisaniu go w wyszukiwarke okazało się, że tak nazywał się jeden z najbardziej znanych naukowców celebrytów.

Niczym zawodowy profiler Bączek starał się stworzyć portret psychologiczny owego celebryty, który nagle pojawił się w samym środku policyjnego dochodzenia. Zasnął znużony setkami zdjęć i niezliczonymi artykułami w magazynach typu „Świat Gwiazd”.

Obudził się tuż przed piątą rano z głową na oślinionej klawiaturze komputera. Umył się szybko w łazience koedukacyjnej i zaparzył dzbanek świeżej kawy. Popijając czarny płyn, spojrzął na zdjęcie owego celebryty, na którym ten trzymał w dłoni ogromną statuetkę przyznaną mu w jakimś plebiscycie. Statuetka była ogromna, a i tak dłoń mężczyzny wydawała się gigantyczna.

- Bączek, jesteś już? - Darek z cyberprzestępczości otworzył drzwi jego gabinetu. - Jesteś, doskonale. Pogrzebałem wczoraj w tych szczątkowych adresach i oprócz tych „tanich sur” znalazłem to: p.hawryluk@uni coś tam.

- Uni? Tak jak uniwersytet? Tak jak na przykład ten uniwersytet, na którym pracował profesor Rabski?

- Rabskiego też znalazłem, tak *by the way*. Ten Jurek do niego pisał, ale w drugą stronę nic nie było.

- Stary, to jest bomba! Tego nam było potrzeba! - zakrzyknął z radością Bączek.

- No tak, tylko co z tym zrobisz? Ten gość ma tyle kasy, że jakby się uparł, toby Hawkinga pozwał o plagiat i pewnie by wygrał.

- Dlaczego Hawkinga? - zdziwił się podkomisarz.

- Jak to dlaczego? Przecież Hawryluk został gwiazdą, bo napisał książkę o czasie w antropologii czy coś takiego. Prasy nie czytasz?

- Takiej akurat nie czytam... - przyznał Bączek. - O czasie w antropologii? Jezu Chryste, to wszystko zaczyna mieć sens!

- To pięknie, stary, dla mnie wciąż nie ma, ale w końcu ty jesteś detektyw. To lecę do swoich „tanich sur”, czymkolwiek są...

- Co powiedziałeś? - Bączek wydawał się mocno rozkojarzony.

- Że nie wiem, co to są „tanie sury”.

- A skąd to w ogóle?

- No, taki adres mailowy, fragment znaczy. „Tanie sur”, reszta zakrzaczona.

- Tanie sur, taniesurym, edytaniesurym! Jasna cholera, Darek, mamy to!!!

Odrobinę zszokowany programista opuścił w pośpiechu gabinet Bączka. Obawiał się, że gorąca kawa, radośnie pluskająca w trzymanym przez podskakującego śledczego kubku, za chwilę wyląduje na jego twarzy. Tymczasem Bączek skakał niczym kangur i powtarzał w kółko: „edyta nie surym, edyta nie surym”.

Zgodnie ze złożoną ojcu obietnicą Andrzej zaszczycił rodziców udziałem w sobotnim obiedzie. Jego ciężarna siostra Karolina, wyglądająca, jakby połknęła co najmniej piłkę do pilatesu, czekała na niego niecierpliwie.

- Jędrek, gałganie! Jak się cieszę! - przywitała go w progu. - Chodź, prędko, musisz mi wszystko opowiedzieć, umieram z ciekawości!

- Wybacz jej, Andrzej, to ta końcówka ciąży, ja dłużej nie pociągnę - skarżył się mążnek Karoliny, zwany pieśczośliwie Waldim.

- Faceci! Wam to się wydaje, że trzy minuty i robota zrobiona, co? Zobaczmy, jak pociągniesz z dwojgiem noworodków - szczebiotała Karolina do męża. - No, dawaj,

Jędrrek, mów, co tu się działo, zanim zobaczę się z Edytą. Muszę być na bieżąco!

Choć robił to z wielką niechęcią, Lewczyński opowiedział siostrze o poszukiwaniu mordercy chłopaka, który okazał się znajomym Edyty, oraz o zabójstwie kustosa muzeum. Całkiem trafnie założył, że informacje te zostaną przyjęte przez Karolinę w akompaniamencie wielu „ochów”, „achów”, „omatków” i „oezów”. Temat zamachu na Suryma najchętniej by przemilczał, jednak jak zwykle mógł liczyć na wsparcie wspaniałej rodziny.

- A ten chłopak, którego odwiedzałeś w szpitalu, ten potrącony przez samochód? - zapytał nieświadomy popełnianej gafy doktor Lewczyński. - To nie jest ta sama sprawa?

- Co? Jaki potrącony? - zainteresowała się natychmiast Karolina. - Masz żyjącego świadka łamane na ofiarę?

- Yyyy, a nie, to inna sprawa jest, zupełnie niezwiązana.

- Jak to niezwiązana, przecież to też jest wrocławianin? - brnął dalej ojciec Andrzeja.

- Wrocławianin? Kto to? Dlaczego nic nie mówisz, Andrzeju?

- Z wami to nawet i diabeł by tajemnicy nie utrzymał - syknął policjant, składając broń. - Ten potrącony przez samochód to jest Surym, mąż Edyty.

- Cooooo? - Karolina wybałuszyła oczy na brata i podparła się pod boki, czy raczej pod dolną partię piłki do pilatesu. - I ty chciałeś to przede mną w tajemnicy utrzymać? Kanalia z ciebie, a nie brat!

- Skoro on nie ma związku z tym twoim dochodzeniem, to kto go potrącił? - zapytał Waldi, też już zainteresowany. Sprawy rodzinne, a z rodziną Prusków był daleko spokrewniony, interesowały go bardzo żywo.

- Powiem wam, ale pary z ust nie wolno wam puścić. Rozumiecie? - Andrzej powiódł surowym wzrokiem po swoich

krewnych, upewniając się, że zrozumieli zasady spisku. – Dzisiaj rano aresztowaliśmy Martynę Wierszycką, która sama przyznała się do próby zabicia Suryma.

– O ja ciebie! – pisnęła Karolina i zatkała usta dłonią.

– O święci pańscy! – wyszeptała pani Lewczyńska.

Ojciec Andrzeja nic nie powiedział, pokręcił tylko głową.

– Dlaczego ona to zrobiła? – zapytała cicho okrągłutka fryzjerka. – Za Ulkę?

Andrzej przytaknął. Martyna Wierszycka głęboko przeżyła śmierć córki, tym bardziej że zupełnie nie rozumiała, dlaczego stało się to, co się stało. Całe życie wierzyła, że wychowała porządną, bogobojną dziewczynę, a jej śmierć i prowadzone śledztwo sprawiły, że matka musiała mocno przewartościować swoją ocenę. W dodatku, co nie powinno nikogo dziwić, potrzebowała znaleźć winnego całego wyrządzonego jej zła. Popadając w coraz głębszą depresję i tracąc powoli kontakt z rzeczywistością, wmówiła sobie, że winę za śmierć jej dziecka ponoszą Edyta Prusko i najbliższe otoczenie dziewczyny. Kiedy zobaczyła Suryma wychodzącego z komendy, wpadła w szał i podjęła decyzję o natychmiastowym pozbyciu się sprawcy swego nieszczęścia.

Po powrocie do domu zamknęła się w sypialni, z której nie wyszła przez dwie doby. Wzięła silne środki uspokajające lub nasenne i spała niemal bez przerwy. Kiedy się obudziła, a miało to miejsce poprzedniego wieczora, dopadły ją wyrzuty sumienia i niczym Raskolnikow pogrążyła się w rozpacz, strasząc biednego Staszka niemal do nieprzytomności.

Samochód, który posłużył do popełnienia przestępstwa, zabezpieczono do badań kryminalistycznych, jednak gołym okiem było widać, że przód miał kontakt z jakimś obiektem.

– I co, pójdzie siedzieć? – zapytała Karolina.

– Nie sądzę, żeby była poczytalna. Każdy psychiatra ją wybroni. Na szczęście Surym przeżył, więc wymiar kary też

niższy.

- Nie na długo - odezwał się doktor Lewczyński.

- Słucham? - Andrzej nie zrozumiał.

- Nie na długo przeżył. Ten twój pacjent jest w stanie agonalnym. Nie wiedziałeś o tym? - Ojciec spojrział na Andrzeja z autentycznym zaskoczeniem. - Myślałem, że wiesz i że dlatego Edyta przyjechała się z nim pogodzić.

- O czym ty mówisz, tato? - Głos policjanta zadrżał od emocji. - W jakim stanie agonalnym? Przecież to tylko połamane żebra.

- O kurczę, teraz to chyba ja złamałem tajemnicę - strapił się lekarz. - Może lepiej będzie, jak sam z nim porozmawiasz...

- Tato, teraz musisz powiedzieć! Dlaczego ta łajza ma umrzeć? Co mu jest? - Karolina ani myślała odpuścić.

- Nie mogę, córeczko. Hipokrates się w grobie przewróci.

Widocznie przysięga złożona starożytnemu ojcu medycyny miała wyjątkową wagę, doktor Lewczyński bowiem nie dał się przekonać i nie powiedział już ani słowa na temat stanu zdrowia Suryma. Andrzej musiał więc zwrócić się do źródła, co uczynił natychmiast po wyjściu od rodziców.

Podkomisarz Bączek nie miał najmniejszych wątpliwości, że sprawcą wszystkich czterech morderstw był Piotr Hawryluk. Problem polegał tylko na udowodnieniu tej ryzykownej tezy. Przeglądając zawartość zasobów internetowych, policjant wypisał sobie najważniejsze hasła: badanie antropologiczne roku, Nagroda Sekcji Antropologii Społecznej PTS, Nagroda KLIO, *European Association of Social Anthropologists*, Polskie Towarzystwo Socjologiczne, Polski Instytut Antropologii. To zaledwie kilka, które najczęściej pojawiały się w zestawieniu z nazwiskiem Hawryluka. Wyglądało na to, że ten rozsławił polską naukę na arenie międzynarodowej, a w kraju zrobił

karierę, która niczym nie ustępowała karierze Zenka Martyniuka. Studentki antropologii tłumnie przybywały na jego wykłady, za które Hawryluk inkasował dziesiątki tysięcy złotych. Za każdą godzinę, rzecz jasna.

W całej tej sprawie brakowało jednego: motywu. Po kiego grzyba najbardziej znany humanista w kraju nad Wisłą, mający dachę na Wolinie, willę w Zakopanem i pewnie apartament w Sky Tower, miałby maczać palce w zbrodni? Mając w ręku historycznego Nobla, czego on jeszcze chciał?

Nie mogąc zupełnie ruszyć z miejsca, Bączek zadzwonił do szefa.

- Michałek? No jakże się moje ucho cieszy, że cię słyszy! - przywitał go Wilczyński.

- I wzajemnie, szefie. Humor dopisuje, czyżby jakiś sukces?

- A sukces, sukces. Dokonałiśmy, proszę ja ciebie, wraz z komisarzem Lewczyńskim, aresztowania.

- Aresztowania? Znaleźliście mordercę? - przeraził się Bączek, bo już zdążył sobie wyobrazić, jak w świetle jupiterów dokonuje zatrzymania celebryty.

- Niedoszłego mordercę, że się tak wyrażę. Zatrzymaliśmy matkę tej Wierszyckiej, bo się okazało, że to ona Suryma próbowała rozwałkować na chodniku.

- Wierszycka? Co ty powiesz! - ucieszył się Bączek, nieco nieadekwatnie do sytuacji.

- No nie? Kto by pomyślał! - parsknął inspektor.

- Ja bym pomyślał! To ja wam to powiedziałem, harpie niewdzięczne! - ryczał Emil, który słuch miał doskonały i zawsze wiedział, kiedy powinien podsłuchiwać.

- No dobra, Michaś, jak słyszysz, ja tu warunki mam raczej marne do rozmowy, więc jeśli to nic pilnego, to może później pogadamy?

- Edyta Prusko mi jest potrzebna, jest tam gdzieś obok ciebie? - zaryzykował Bączek.

- Nie ma, gdzieś ją poniosło. Jak wróci, to powiem, żeby do ciebie oddzwoniła.

- Dzięki, to tymczasem.

Dokładnie w chwili, w której Wilczyński zakończył rozmowę z podwładnym, do saloniku weszła Edyta. W rękach niosła komputer, do którego podpięte były słuchawki. Na ekranie monitora wyświetlała się ludzka twarz, w dodatku żywa. Wilczyński przyglądał się przez chwilę, jak dziewczyna stawia laptopa na ławie i kiwa głową do człowieka na ekranie. Wkrótce wypowiedziała „to na razie” i obraz zniknął.

- Co tam, panie inspektorze? - zapytała radośnie, wyciągając słuchawki z uszu. - Czemu mi się pan tak przygląda?

- Kto to był? Ta osoba w komputerze?

- Moja prawniczka - zaśmiała się szczerze Edyta. - To się nazywa wideo rozmowa. Może pan zadzwonić do podkomisarza Bączka, jak pan chce.

- Mogę? - zdziwił się Wilczyński. - A w sumie to mogę chcieć, bo właśnie mnie prosił, żeby się pani do niego odezwała. Ale będzie zaskoczony.

Edyta uruchomiła aplikację do prowadzenia wideo rozmów i zadzwoniła do podkomisarza Bączka. Po kilku sygnałach na ekranie komputera pojawiła się jego uśmiechnięta twarz.

- Dzień dobry, pani Edyto!

- Dzień dobry, panie podkomisarzu! Ptaszki w Augustowie ćwierkają, że chciał pan ze mną rozmawiać.

- A owszem, chciałem, w dodatku całkiem służbowo. Czy zna pani nazwisko Hawryluk? Piotr Hawryluk?

- Pffff - sarknęła Edyta - a czy jest ktoś, komu jest nieznane?

- Kazik, wiesz, kim jest Piotr Hawryluk? - zwrócił się Bączek do swojego szefa.

- Oczywiście, że wiem. To uznany antropolog, okrzyknięty odkryciem polskiej nauki. Skupia się na badaniu pojmowania czasu w kulturach i społeczeństwach.

Bączkowi szczeka ze zdziwienia zadzwoniła o biurko. No tak, o pruskich babach na Warmii to nie słyszał, ale o jakimś celebrycie wie więcej niż on sam.

- O-kej... - odezwał się podkomisarz, nie kryjąc uznania dla swojego szefa. - Czyli ma pani rację, pani Edyto, wszyscy wiedzą, kim jest Piotr Hawryluk. A miała pani może okazję go poznać?

- Niestety miałam - odpowiedziała szybko. - Paskudny osobnik, obrzydliwie egoistyczny, narcystyczny, taplający się we własnej miłości. Byłby idealnym kandydatem na sadystycznego seryjnego mordercę - skwitowała zimnym głosem. Nagle zrozumiała sens pytania Bączka. - Nie podejrzewa pan chyba, że to on jest tym zwyrodniałym bydlakiem, który zabił moich dwóch kolegów po fachu?

- Trzech, pani Edyto. Proszę nie zapominać o profesorze Rabskim.

- Słucham? - Dziewczynę aż zatkało. - Jak to o profesorze Rabskim? Przecież profesor Rabski miał wypadek, byłam na jego pogrzebie!

- A to jego też pani znała? - zdziwił się Bączek, choć przecież powinien był to przewidzieć. Tam, gdzie w grę wchodzi Edyta Prusko, nie ma miejsca na przypadki. - Wczoraj pani nie było, jak rozmawialiśmy o tym przez telefon. Moim zdaniem profesor Rabski był pierwszą ofiarą Piotra Hawryluka. A Patryk został kolejną dlatego, że odkrył to właśnie pierwsze morderstwo. Teraz tylko muszę udowodnić, jak to zrobił.

- Przydałby się panu dobry haker... - wymruczała Edyta w zamyśleniu.

- Słucham? - Napięcie w głosie Bączka było doskonale słyszalne.

- No, haker, ktoś od łamania zabezpieczeń. Patryk prowadził cyfrowy pamiętnik, a na dodatek przysyłał jego fragmenty różnym zaufanym ludziom. Żeby w razie czego jego badania nie zaginęły - wyjaśniła Edyta. - Wszystko w porządku? - dodała zatroskana na widok pobladłego oblicza policjanta. Spojrzała na Wilczyńskiego i zdawało jej się, że i on pobladł. - Co ja takiego powiedziałam, panowie?

- Pani Edyto, a czy pani mogła być na przykład taką zaufaną osobą dla Patryka? - zapytał Bączek, starając się zapanować nad targającymi nim emocjami.

- No jasne, że byłam, dostawałam te jego zapiski co najmniej raz w miesiącu. Ale od dawna ich nie otwierałam. Podejrzewam, że Marek Bednarz też je dostawał, przyjaźnili się z Patrykiem od lat. Tak samo jak z profesorem Rabskim, pisali do siebie listy, takie klasyczne.

- O Jezusie z Nazaretu - szepnął Wilczyński i otarł czoło. - I my to wszystko mieliśmy cały czas pod nosem...

- Ale co mieliście? Ja nic z tego nie rozumiem! - gorączkowała się Edyta, biegając wzrokiem od ekranu komputera do Wilczyńskiego i z powrotem. - Ja wam to zaraz mogę wysłać, od kilku miesięcy Patryk wszystkie maile tytułował *Kwestia czasu*. Kojarzą panowie? Tak jak ta historia, którą opowiedział mojemu wujkowi!

Tym razem Rafał Surym nie chciał rozmawiać z Andrzejem. Zapytany o „stan agonalny” zamknął oczy i poprosił o przekazanie Edycie listu, który do niej napisał. Lewczyński poinformował go tylko o odkryciu sprawcy zamachu na jego życie, co Surym skwitował krótkim: „Dobrze”. Wyglądał mizernie, policzki mu się zapadły, skóra przybrała alabastrowy

kolor, a z oczu zniknęła iskra. Stanowczo odmówił rozmowy i wcisnął policjantowi kopertę.

Skołowany Andrzej pojechał prosto do Stacji, tłumacząc się przed samym sobą koniecznością dostarczenia Edycie listu od męża. Z jakiegoś niesprecyzowanego powodu, a może miał na to wpływ niezdrowy wygląd Rafała, Lewczyński uwierzył, że ten faktycznie niebawem umrze. Dojechał na miejsce akurat w chwili, w której Edyta wypowiedziała zdanie: „Ja wam to zaraz mogę wysłać, od kilku miesięcy wszystkie maile tytułował *Kwestia czasu*”. Oslupiały z wrażenia zupełnie zapomniał o nadrzędnym celu swojej wizyty, a tym samym o spoczywającej w jego kieszeni kopercie.

- Czyli to Patryk jechał z twoim wujem, nie Rafał? - domyślił się, siadając obok Edyty, naprzeciwko laptopa, z którego szczyrzyła się do niego poczciwa twarz Bączka.

- Od razu wam mówiłam, że to niemożliwe, żeby Rafał prowadził tak wysublimowane dyskusje na jakikolwiek temat inny niż algorytmy - oznajmiła dziewczyna.

- Znowu miała pani nosa, świetnie - pogratulował jej Bączek. - I wygląda na to, że znów bez pani pomocy nie udałoby nam się niczego wyjaśnić.

- A co, już wszystko jasne? - Andrzej nawet nie ukrywał zaskoczenia. - Ledwo inspektor się za to zabrał i już sukces?

- Lata praktyki, młodzieńcze - skwitował z uśmiechem Wilczyński.

- No dobra, kochani - powiedział Bączek - w takim razie czekam na maile od pani Edyty i zabieram się za szykowanie dowodów przeciwko Hawrylukowi.

- Bardzo dobrze, Michałek - poparł go Wilczyński. - Draniowi należy się karcer, już ja tego dopilnuję, żeby zaznał sprawiedliwości. Bydlak jeden, niegodziwy.

- No i dlatego właśnie, Kazik, ty od tej sprawy powinienes zostać odsunięty. Czy ja mogę coś dla ciebie zrobić?

- Gdybyś mógł odwiedzić panią Wilczyńską i moją siostrę, jutro przed mszą, na dwunastą idą...

- Nie ma problemu, szefie. Możesz być spokojny.

Uspokojony Wilczyński oddalił się natychmiast, zostawiając Edytę i Andrzeja samych. Wszyscy pozostali domownicy, w tym Patinka, zniknęli tuż po śniadaniu. Lewczyński w skupieniu wysłuchał odkrytych przez Bączka rewelacji, choć osobiście uważał, że na świętowanie jest zbyt wcześnie. Ostatnią konkluzję wypowiedział na głos.

- Intuicja mi podpowiada, że to dobry trop - zapewniła Edyta. - Choć oczywiście zgadzam się, że nie należy chwalić dnia przed zachodem słońca ani fetować rozvodu, zanim do niego dojdzie.

- Nie rozumiem. - Andrzej zmarszczył brwi w wyrazie zagubienia.

- Jasne, że nie rozumiesz. Mój wspaniały mąż postanowił wycofać pozew rozwodowy. Był przekonany, że jak tylko tu przyjedzie, to rzucę mu się na szyję, narzucę na obity łeb białą chustkę i krzyknę: „Mój ci on!”.

- A, właśnie - przypomniał sobie Lewczyński - byłem u niego dzisiaj i przekazał mi dla ciebie list.

- Nie chcę żadnego listu! - obruszyła się Edyta. - Niech sobie nim buty wypcha.

- Myślę, że powinnaś go przeczytać, Edytko.

- Dlaczego? Wiesz, co w nim jest? - Spojrzała na niego podejrzliwie.

- Nie, no coś ty! - zaprzeczył natychmiast. - Nie czytam cudzej korespondencji. Ale coś mi mówi, że to może być ważne.

Położył pogniecioną kopertę na stole i chwycił dziewczynę za rękę. Po raz pierwszy od wielu tygodni miał pewność, że będzie na nią czekał, choćby się do tego czasu pomarszczył jak skórka jabłka. Niczego więcej nie pragnął w tej chwili jak

zestarzeć się z nią. No, może jeszcze rozwiązać sprawę morderstw.

Podkomisarz Bączek dzień święty święcił, co w praktyce oznaczało, że nie zaglądał do komendy, ani nie zajmował się policyjną robotą w niedzielę, jeśli tylko takiej potrzeby nie było. Tym razem jednak w niedzielne przedpołudnie zobowiązał się odwiedzić panią Wilczyńską, przebywającą aktualnie u siostry inspektora, i zobowiązanie sumiennie wypełnił.

Po drodze zaopatrzył się w wystrzałowy serniczek polecany przez sprzedawczynię w cukierni przy placu Pereca i rażnym krokiem ruszył pod adres wskazany mu przez Wilczyńskiego. Obie panie ucieszyły się z niespodziewanej wizyty, a pani Mączka rozpląkała się z radości, twierdząc, że podkomisarz przypomniał jej syna i od razu zrobiło jej się rażniej.

Ukontentowany Bączek z przyjemnością wdał się w rozmowę o zaletach wyższego wykształcenia, sam przecież mógł się pochwalić całkiem poważnym tytułem magistra psychologii. Tuż przed dwunastą panie wyszły do kościoła, znajdującego się w odległości niespełna stu metrów od mieszkania, a Bączek został, za zgodą gospodyni oczywiście, żeby przejrzeć rzeczy Patryka.

Zgrzyt przekręcane go w zamku klucza początkowo zignorował, biorąc go za hałasy na klatce schodowej. Po chwili jednak intuicja go ostrzegła i postanowił ukryć się za szafą, która idealnie zasłaniała go przed wzrokiem intruza.

Mężczyzna wszedł do środka, jakby niczego się nie bał. Musiał wiedzieć, że w mieszkaniu nie ma właścicielki, ale nie mógł przewidzieć obecności nadprogramowego policjanta. Bączek wstrzymał oddech, żeby z niczym się nie zdradzić.

Piotr Hawryluk zajął najpierw do salonu, potem otworzył drzwi do łazienki i skierował kroki wprost do pokoju

należącego do Patryka. Powysuwał szuflady biurka i wyrzucił ich zawartość na podłogę. Bączek wysunął się z ukrycia i wymierzył przygotowaną wcześniej broń.

- Proszę podnieść ręce tak, żebym je widział.

Hawryluk zastygł w bezruchu, ale rąk nie uniósł. Zaskoczenie na chwilę sparaliżowało mu mięśnie, lecz po chwili szybko sięgnął po leżący na biurku nóż do papieru.

- Odłóż to, człowieku, albo pożegnasz się z nartami. Przestrzele ci oba kolana w pięć sekund - ostrzegł policjant.

- Nie strasz, nie strasz, bo się... - Włamywacz nie zdążył dokończyć, kiedy Bączek oddał strzał.

- Martw się o siebie, bydlaku, zdaje się, że to twoja nogawka jest mokra.

Tydzień po aresztowaniu Piotra Hawryluka pod zarzutem zamordowania czterech osób, włamania, próby napaści na policjanta i kradzieży utworów chronionych prawem autorskim, Edyta siedziała przy łóżku pogrążonego w śpiączce Rafała Suryma i opowiadała mu o zamkniętym właśnie śledztwie. Dopiero poprzedniego dnia udało jej się zdobyć wszystkie niezbędne szczegóły, które chciała opowiedzieć mężowi.

- Wyobraź sobie, że ten podlec, Hawryluk, dopuścił się największego przestępstwa, jakim jest kradzież cudzych praw do utworu. Pierwszą osobą, która odkryła ten potworny plagiat, był profesor Rabski. To on zaczął zgłębiać monografię, która przyniosła Hawrylukowi rozgłos oraz wielkie pieniądze, i bardzo szybko odkrył, że jest tam mnóstwo cytatów ze znanych antropologicznych dzieł. - Przerwała na chwilę i poprawiła się na krześle. Tym razem w sali poza Rafałem i nią nie było nikogo. - Profesor podał w wątpliwość również wiarygodność badań, które rzekomo Hawryluk miał przeprowadzić wśród autochtonów na wszystkich kontynentach. Zwierzył się ze

swoich podejrzeń Patrykowi, tym samym wydając na niego wyrok śmierci. Napisał też list do kustosa Bednarza. A wiesz, co na tej zakrwawionej kartce w kieszeni koszuli Patryka było napisane? – Edyta przypomiała sobie nagle. – Nie uwierzysz, Rafał, tam był mój augustowski adres! Jakby ten Hawryluk go znalazł, to mogłoby być po mnie. Resztę już znasz. – Załkała nagle głośno i uklękła przy łóżku. Płakała aż do chwili, w której poczuła, że skończyły jej się łzy. – Przepraszam cię, Rafał. Wcale nie chciałam, żeby to się tak skończyło... Wybaczam ci wszystko. Powinnam była cię wysłuchać, to moja wina.

– Edytko? – Do sali wszedł doktor Lewczyński. – Edytko, to ty?

– Tak, to ja. Zaraz sobie idę. – Dziewczyna wytarła nos rękawem i podniosła się z klęczek. – On i tak mnie nie słyszy.

– Raczej nie. Ale jeśli tobie to pomaga, to zostań.

– Chciałam mu tylko powiedzieć, że mi przykro. Że wcale nie chciałam, żeby umarł. Nawet jeśli go nie kochałam, to nie życzyłam mu źle.

– To mu to powiedz, nie będę wam przeszkadzał, zajrzę do niego później.

– Dziękuję, doktorze.

Lewczyński senior uśmiechnął się do Edyty i pocałował ją w czoło. Wszedł cicho, zamykając za sobą bezdźwięcznie drzwi.

– Ten chłopak we Wrocławiu, Jurek, zginął dlatego, że mu pomagał, wiesz? – kontynuowała opowieść Edyta. – Napisał dla niego program szyfrujący, żeby jego cudowna monografia mogła przejść przez program antyplagiatowy. A potem włamywał się na skrzynkę Patryka i usuwał wysłane przez niego maile. Nie do wszystkich dotarł, jak wiesz, ja swoje dostałam. – Znów załkała głośno. – A masz pojęcie, że ten drań, ta swołocz, to bydlę śmierdzące zapłaciło chłopakowi dwieście tysięcy i wystawiło sobie sfałszowane upoważnienie do konta? Żeby te pieniądze zabrać? Jakim to trzeba być potworem, Rafał,

żeby taki plan w ogóle wymyślić. – Nagle roześmiała się na całe gardło. – A nie powiedziałam ci jeszcze najlepszego: Bączek mu przestrzelił nogę! Normalnie jak na filmach, wyciągnął giwerę i pif-paf! Dobrze mu tak, co nie, Rafał?

Schowała twarz w dłoniach i oddychała głęboko. Czuła rozpacz, po raz pierwszy w jej trzydziestoletnim życiu uczucie żałoby zaczynało ją zgniatać jak imadło. W ciągu kilku miesięcy straciła troje bliskich ludzi i szykowała się na pożegnanie czwartej osoby. To nie tak miało być, nie była na to gotowa, nie teraz, jeszcze nie!

– Wybaczam ci, Rafał, chcę, żebyś o tym wiedział. I chciałabym, żebyś ty wybaczył mi.

Edyta opuściła pokój, ostatni raz spoglądając na męża. Lekarze nie dawali mu żadnej szansy na odzyskanie świadomości, według doktora Lewczyńskiego stan Suryma był nieodwracalny. Ponowny uraz głowy w tak krótkim czasie spowodował powstanie w czaszce krwika przymózgowego, który nie został w porę usunięty. A teraz było już na to za późno.

Podkomisarz Bączek udał się do swojego przyjaciela Remigiusza Baczmańskiego w celach relaksacyjnych, a przy okazji zamierzał opowiedzieć mu o swoim kolejnym spektakularnym sukcesie. Zdziwił się bardzo, kiedy już w korytarzu prowadzącym do gabinetu medyka usłyszał głos swojego przełożonego, którego w Zakładzie Medycyny Sądowej nie widziano od dekad.

– I mówię ci, Remik, ten mały podlec normalnie posikał się ze strachu, jak Bączek mu giczała przestrzelił!

– Wiesz, że Michał teraz musi przez chwilę posiedzieć na zielonej trawce i przejść całą procedurę psychologiczną?

- Oj, tam, wielkie mi aj-waj. No, wiadomo, że musi, ale przyda mu się odpoczynek. Od sprawy tych pruskich bab ani chwili wytchnienia chłopak nie miał.

- Ale jego to napędza - mówił Baczmański. - To najlepszy gliniarz, z jakim do tej pory pracowałem.

- Nie licząc mnie, oczywiście - zażartował Wilczyński, choć naprawdę tak uważał.

- Nie licząc ciebie. A ty jak się masz? W Augustowie peany na twoją cześć pieją, Henryk mi mówił.

- Dajże spokój, nic wielkiego tam nie zrobiłem. To wszystko zasługa młodzieży. A jak się mam? - dodał po chwili. - Dobrze, całkiem dobrze. Muszę się tylko znów skupić na Dance. Wysyłam ją do sanatorium na porządny wywczas, niech ma coś z życia dziewczyna.

Dalej już Bączek nie słuchał. Wydawało mu się, że wlaź z buciorami w prywatne życie swojego szefa, w którym nagle dostrzegł normalnego człowieka. W dodatku przyjaźniącego się z Baczmańskim. Dziwne rzeczy się dzieją na tym świecie, a życie pisze naprawdę zaskakujące scenariusze.

1 (łac.) *Tarde (sero) venientibus ossa* - Spóźnionym [dostają się] kości. Parafraza w postaci przysłowia: „Kto późno przychodzi, sam sobie szkodzi”.

EPILOG

Stara Stanica, Białobrzegi,

24 grudnia

Dwudziesty czwarty grudnia w rodzinie Prusków nie odbiegał od narodowej normy, a zatem poziom nerwowości utrzymywał się tuż pod sufitową belką. Na belce zaś wisiała pachnąca lasem jeglijka ozdobiona orzechami symbolizującymi życie erotyczne oraz jabłkami, które miały za zadanie przyciągać miłość i zabezpieczać domostwo przed chorobami. Tradycyjne godne święta bez niej obyć by się nie mogły, inaczej wszystkich Prusków szlag trafiłby na miejscu. To przekonanie co prawda równie dobrze mogło być kolejną trefną klątwą pani Krystyny, jednak nikt nie odważył się tego sprawdzać. Na szczęście dawne suwalskie zwyczaje, jak choćby poranne odwiedziny kołędników, zanikły po drugiej wojnie światowej, więc na jeglijce i niepożyczaniu niczego sąsiadom w dniu Wilii podtrzymywanie tradycji się kończyło. Zazwyczaj. W tym roku Krystyna Prusko przywróciła, nomen omen, zza grobu, jeszcze jedną znaną na Suwalszczyźnie tradycję.

Tradycją, choć o wiele bardziej świecką, było także odwieczne spóźniałstwo jej krewnych, czemu nestorka rodu nie powinna się już dziwić i pewnie nawet się nie dziwiła, ale jej mina daleka była od zadowolonej.

- Szybciej by poszło, gdybym tam była, Heniu, i stała nad nimi niczym kat nad grzeszną duszą.

- Diabeł raczej - bąknął jej mąż i natychmiast tego pożałował.

- Co?! Jaki znowu diabeł? Czy ty mnie obrażasz?

- Ależ nigdy w życiu, najdroższa! - Grabski podniósł ręce na znak kapitulacji. - Chodziło mi o to, że pomyliłaś związki frazeologiczne. Bo kat to stoi nad dobrą duszą, a nad grzeszną diabeł.

- Ty mi się teraz nie wymądrzaj, filolog się znalazł. - Ewidentnie nastrój pani Krystyny pogarszał się z każdą minutą. - A diabeł wcale nie jest taki straszny, jak go malują.

- Który? - zapytał Emil, zjawiwszy się w salonie z fikuśnie złożonymi serwetkami w kolorowe pisanki.

Zapas z Wielkanocy wciąż się nie wyczerpał, a oszczędna pani Krystyna uznała, że ostatecznie bombki i malowane jajka są na tyle podobne, że nikt się nie zorientuje.

- Co: który? - parsknęła Krysia, poprawiając naszyjnik z pereł.

- Diabeł który? Bo jeśli to ty jesteś tym diabłem, to jeszcze się taki malarz nie urodził, żeby potrafił oddać twoją straszność na płótnie.

- Ty z ogniem, Emilu, nie igrzaj - warknęła właścicielka Stanicy tonem, który zwiastował katastrofę. - Na godne święta nie wypada, ale zaraz po nich wyrzucę cię w końcu na zбитy pysk!

- I umrzesz z głodu, amen - odparował kucharz, po czym z zaskakującą za każdym razem gracją zniknął za drzwiami swojego imperium.

Na jego szczęście - oraz wszystkich pozostałych - w tej dokładnie chwili drzwi do Stanicy otworzyły się z impetem, wpuszczając do środka pogrążone w kłótni rude bliźniaczki, trzymającą się za głowę panią Basię, żywo dyskutujących na temat zasadności obowiązku zmiany opon na zimowe Tadeusza i jego przyrodniego brata. Na końcu zaś, zamykając drzwi, weszli Edyta z Andrzejem, a ten ostatni pod pachą dźwiگاł solidny zbożowy snopek.

W tym miejscu dodać należy, że w odniesieniu do Edyty zasadniejsze aniżeli słowo „weszła” byłoby użycie określenia obrazującego ruch kuli śnieżnej. Dziewczyna bowiem wyglądała jak balon, który został zbyt mocno napompowany, i z trudem utrzymywała pion. Andrzej pomógł jej zdjąć buty, bo sama nie poradziłaby sobie z ich rozsznurowaniem, co wyraźnie nie poprawiało jej nastroju.

- Co to za skaranie boskie, żeby człowiek nie mógł nad własną koordynacją ruchową zapanować?! - sapała, warcząc równocześnie.

- To się nazywa ciąża, dziecko, i jest naturalnym stanem fizjologicznym - fuknęła na nią babcia, już odrobinę mniej wściekła.

- Znam jedną taką, co uważa, że bycie ofiarą morderstwa jest naturalnym stanem fizjologicznym, ale w ciąży nie chce być za żadne skarby - odparowała Edyta, mocując się z rękawem przyciasnego płaszcza.

Nagle poczuła popchnięcie z tyłu, co wprowadziło ją w osłupienie, za nią bowiem znajdowały się wyłącznie zamknięte drzwi. Owe drzwi uchyliły się, choć w zamierzeniu miały zapewne stanąć otworem, ale fizys przyszłej matki skutecznie im to uniemożliwiła. Trzydzieści kilo na plusie robi jednak swoje.

W drzwiach zaś stała postać upiorna. Rozwiany blond włos sięgający raptem linii brody, sylwetka niewiele ustępująca rozmiarem Edycie i wściekły grymas na twarzy.

- Patinka! - wrzasnęła Edyta, kiedy się w końcu zorientowała, że to nie duch Krysi Dębińskiej, która wystraszyła lata temu Marylę na progu dworu Wojnarskich. - Co ty tu, u diabła, robisz?

- Tak ogólnie to przyjechałam na prośbę twojej babci, żeby się tobą trochę zaopiekować. Sytuacja z Jankiem jest stabilna, więc uznaliśmy, że w tym roku w ramach wyjątku będziemy

obchodzić Boże Narodzenie według kalendarza prawosławnego. Bo kto nam zabroni?! - zapytała całkiem retorycznie. - A teraz konkretnie stoję i czekam, aż zgrabnie się przesuniesz, żebym mogła wejść.

- Z tą zgrabnością to może być niewielki problem - zaczęła pani Krystyna. - Przesuń kuper, wnusiu, wpuść Patinkę, bo ziąb na zewnątrz.

Łatwo powiedzieć, trudniej zrobić. Edyta z wysiłkiem podniosła się z półprzysiadu, na co aż żal było patrzeć. Patinka, za nic mając przeszkodę, napała swą korpulentną sylwetką na przestrzeń przedpokoju, zmuszając tym samym przyjaciółkę do przyklejenia się do ściany.

- No, nieźle cię pan Emil podtuczył, kwiatuszku - stwierdziła, krytycznym okiem przyglądając się Edycie. - Dobrze, że odwiedzam was od wielkiego dzwonu, bo w przeciwnym razie tak jak Jagnę na taczkach byście mnie do domu odwozili.

- Chciałabyś - parsknęła urażona do żywego ciężarna. - Przypominam ci, że ona łupała orzechy pośladkami. My co najwyżej możemy krzesło połamać. A nie! - krzyknęła nagle i pacnęła się w czoło. - To nie ta Jagna, tamta z *Krzyżaków* była. Borynowa chyba nie posiadała aż takiej fit figury.

- Weź się, Edytka, nieco mocniej może w to czoło stuknij. - Pani Krystyna podparła się pod boki, piorunując wnuczkę wzrokiem. - Chodźcie wreszcie do środka, bo Emil już jajko zniósł, na twardo w dodatku. - To powiedziawszy, zupełnie ignorując pytanie widoczne w spojrzeniu Edyty, obróciła się na pięcie i wmaszerowała do jadalni.

Imponujących rozmiarów stół zastawiony najpiękniejszą porcelaną, jaką można sobie było wyobrazić, największe wrażenie wywarł na Mateuszu Roszkowskim, który blasków i cieni wielkiej rodziny nigdy nie poznał. Zastopowało go w

progu konkretnie, czym rozjuszył wściekłą już do granic Patinkę.

- Panie, jak pan tyle będziesz tu sterczał, to ci dziewczyna sprzed ołtarza ucieknie - sapnęła mu bezceremonialnie wprost do ucha.

- Jak pani to robi, że wszystko wie?! - zawołał wystraszony Roszkowski.

- Czytam. Dużo. I różnego: trochę tego, trochę tamtego, a najwięcej to kryminałów - odparła prostolinijnie właścicielka już dwóch wydawnictw. - A co, zgadłam?

Roszkowski spuścił wzrok, co było jasnym sygnałem, że zgadła niechybnie i faktycznie jakaś dziewczyna sprzed ołtarza może mu zwiać. Na szczęście pani Krystyna nie dosłyszała albo też wcale jej ten temat nie interesował, można było więc przystąpić do konkretów bez niestosownego wywnętrzania się. Naiwny ten Mateusz...

Henryk robił, co mógł, żeby choć w niewielkim stopniu opanować chaos, który wytrącał jego małżonkę ze świątecznego nastroju, biegał więc jak wściekły wokół stołu, usadzając wszystkich po kolei, bez zważania na etykietę. A, niech już siadają, gdzie chcą, ważne, żeby wszystkiego starczyło. Nagle zastygł w bezruchu, czując na plecach lodowate spojrzenie ukochanej.

- Już to robię, duszko, w tej chwili, natychmiast - wyszczebiotał, nie patrząc nawet na żonę, po czym wystrzelił jak z procy, otworzył szufladę, wyciągnął z niej coś szeleszczącego i na paluszkach zbliżył się do stołu. Uniósł rąbek śnieżnobiałego obrusa i zawahał się przez chwilę.

- Bez folii - powiedziały zgodnym chórem trzy pokolenia Pruskich bab.

Henryk otworzył opakowanie, wyjął z niego sianko i delikatnie wsunął je pod tkaninę. No tak, w folii z pewnością nie spełniłoby swojej funkcji.

Mateusz ze zdziwieniem policzył nakrycia - czternaście. Jego mama zawsze zostawiała pusty talerz dla niespodziewanego gościa, ale żeby nie spodziewać się aż trzech? Podrapał się po nosie, po czym szeptem zapytał Tadeusza, czy czekają na kogoś jeszcze.

- Nic mi na ten temat nie wiadomo, ale z moją teściową wszystko jest możliwe... - odparł z wahaniem ojciec Edyty. - Krysiu, czy ktoś jeszcze do nas dołączy?

- Oby nie - odparła twardo pani Prusko, wciąż rozjuszona. - Wy mi za wszystkich wędrowców świata wystarczycie. Dlaczego pytasz?

- To ja pytam, pani Krysiu - odezwał się nieśmiało Roszkowski. - Bo trzy talerze wolne stoją.

- A ile ma być? Jeden dla Rafała, jeden dla jego mamusi i jeden dla Ulki. Razem trzy.

W salonie zapadła cisza, nawet Emil zastygł w bezruchu, porażony słowami pracodawczyni. Tylko Henryk uśmiechnął się ciepło na widok łzy spływającej po ślicznej zaokrąglonej twarzy Edyty.

- W tradycji Suwalszczyzny - odezwała się dziewczyna, pociągając nosem - wigilia traktowana była jako spotkanie z duszami zmarłych. Nawet część składników potraw, jak choćby mak i grzyby, wiąże się ze stypą pogrzebową.

- A tak się składa, że u nas w tym roku wyjątkowy urodzaj zmarłych - dodała pani Krystyna. - Dlatego nikogo więcej nie przyjmujemy i wieczerzać będziemy z naszymi pruskimi duszami.

Z tym dyskutować nie było sensu. Urodzaj zmarłych, w dodatku tragicznie, w rodzinie oraz bliskim otoczeniu Prusków wyczerpał limit na niejedno ludzkie życie. Jednak natura próżni nie znosi i powoli zaczynała uzupełniać luki. Karolina, siostra Andrzeja, a zarazem najbliższa przyjaciółka Edyty, urodziła swoje bliźniaki, w związku z czym bilans zysków i strat zbliżył

się nieco do zera. Za chwilę Edyta także powić miała dwoje, sądząc po wyglądzie mamusi *in spe*, dorodnych małych ludzi. Równowaga we wszechświecie miała zatem szansę pozostać nienaruszona.

Emil, otrząsnąwszy się z niewielkiego szoku, jaki przeżył, gdy usłyszał, że jego cudowne potrawy miałyby przypaść w udziale okrytej złą sławą Adaminie Lukrecji Surym, zdjął fartuch, założył elegancką marynarkę i przyniósł do stołu opłatek symbolizujący zgodę, miłość i pojednanie. Henryk jako najstarszy mężczyzna w rodzinie obdzielił nim każdego z obecnych i życzył, zgodnie z tradycją: „Bodaj byśmy za rok doczekali”.

Dzielenie się opłatkiem nie było ulubionym wigilijnym zwyczajem Edyty, w tym roku jednak przeszkadzało jej to nieco mniej, bo wszyscy życzyli jej tego samego: szczęśliwego rozwiązania. Wszyscy poza – oczywiście, że tak – babcią i Patinką. Dwie wiedźmy życzyły jej rychłego ślubu.

- Tylko nie mów, że żadnego ślubu nie będzie, bo jedna taka już się zarzekała, a teraz za panią Bożydarową chodzi – szydziła Patinka, mając na myśli swoją rodzoną siostrę.

- Wcale nie zamierzam tak mówić. – Edyta się uśmiechnęła.
- Wręcz przeciwnie. Nawet datę wam podam.

- Wiedziałam! – wykrzyknęła uradowana bizneswoman. – Będzie wesele! A może nawet dwa. – Mrugnęła do Mateusza Roszkowskiego, który z paniką w oczach zerknął w kierunku pani Krystyny. Za późno, tym razem haczyk złapała.

- Usiądźmy, usiądźmy, nie godzi się o ważnych sprawach na stojąco mówić. To nie Forum Romanum – zachęciła starsza pani, sama pośpiesznie zajmując miejsce u szczytu stołu, jak przystało na głowę rodziny. – No, to kto pierwszy się chwali? Edyta, Andrzej, Mateusz?

Edyta bardzo chciała się pochwalić, choć zaintrygowała ją tajemnica nowego wujka. Ten jednak wyglądał tak, jakby

usiłował ześlizgnąć się pod stół, więc przyszła mu w sukurs.

- Otóż postanowiliśmy odczarować Wielkanoc i pobierzemy się dokładnie w Wielką Niedzielę - oznajmiła.

- Symbolicznie. - Patinka cmoknęła. - Trochę upiornie, ale symbolicznie.

- Za późno - stwierdziła babcia.

- Na co za późno, pani Krysiu? - Przystojny jak nigdy Andrzej przywołał na oblicze wyraz uprzejmego zdziwienia.

- Na wasz ślub za późno i na odczarowanie za późno. To jeszcze cztery miesiące.

- Nie rozumiem... - drążył Lewczyński. - Jeśli ma pani na myśli to, że powinniśmy się pobrać przed porodem Edyty, to raczej marne szanse, bo musiałoby to być jutro.

- Mam na myśli to, że do kwietnia to tu się jeszcze wiele rzeczy może wydarzyć i kolejne talerze za rok trzeba będzie stawiać.

- Mamo! - oburzyła się pani Basia. - Skąd u ciebie taki cynizm?

- Z życia, dziecko. I z obserwacji. Edyta musi jak najszybciej pozbyć się związków z Surymami albo ta czarna seria nigdy się nie skończy.

- Trochę się zgadzam, a trochę się nie zgadzam - wtrąciła filozoficznie Patinka. - Bo te dwa cuda, które w jej brzuchu siedzą, to dożywotnio ją już z Surymem zwiążą.

- Niekoniecznie - podjęła Edyta. - Dzieci nie będą nazywać się Surym, to chyba jasne. Ta historia pozostanie historią, chyba że jakiś grafoman napisze o nas książkę.

- Nawet i na trzy materiału by starczyło - zawyrokowała właścicielka dwóch wydawnictw. - Może namówię jedną znajomą pisarkę z Wrocławia, podobno lubuje się w komediach kryminalnych, to akurat jak znalazł.

- I może jeszcze z różowymi okładkami, tak na słodko, co? - zachnęła się Edyta, wiedząc, że Patinka faktycznie mogłaby to zrobić.

- Niech ktoś mi pomoże! - wydarł się nagle Emil, w odpowiednim momencie przerywając tę wymianę przyjacielskich uprzejmości. Zza ogromnej porcelanowej wazy, którą trzymał przed sobą, nie było widać czerwonej od wysiłku twarzy.

Andrzej zerwał się pierwszy i pognął na pomoc kucharzowi, który ledwo już trzymał się na nogach. Pozbywszy się ciężaru, Emil przykucnął, wachlując się ścierką. Kiedy doszedł do siebie, usiadł z impetem na krześle, ale wciąż nie był w stanie wydusić z siebie słowa. Nikomu to jednak zadawało się nie przeszkadzać, zapach zupy grzybowej zapowiadał wyjątkową ucztę dla podniebienia.

Przygotowane przez Emila specjały odbiegały od tradycyjnych, które były bardzo skromne i składały się wyłącznie z produktów, jakie „urośli w polu, w ogrodzie, w lesie, w sadzie i w wodzie”. Nie mogło oczywiście zabraknąć śledzi w kilku odsłonach, w tym także tataru, karpia (w sosie pierniczkowym) i okonia (pieczonego w liściach trawy cytrynowej), wszystko bowiem mistrz Mirosławski okrasiał współczesną fantazją kuchni molekularnej. Zamiast kompotu z suszonych jabłek, gruszek i śliwek, którego Edyta nie znosiła serdecznie, popijano lemoniadę pietruszkową. Tradycyjną kutię na pęczaku Emil zastąpił fikuśnym ulepkiem z toffi i makiem utartym na gładką masę z migdałami.

Zachwycony Roszkowski niemal się rozplęwał, w życiu nie kosztował bowiem karpia w formie innej niż mulaste dzwonka w odrobinę przypalanej panierce. Rozplęwała się także Patinka, nakładając na talerz kulki ze szczupaka, śledzie po kaszubsku i sałatkę z karpem pod kołderką z buraków. Mało się przy tym

nie zachłysnęła śliną obficie produkowaną przez nadmiernie pobudzone gruczoły.

- Czyli wszystko mamy już ustalone? - zapytała między jednym a drugim kęsem pyszności. - Edytka bierze ślub na Wielkanoc, dzieci będą się nazywać Prusko, więcej morderstw nie przewidujemy?

- Lewczyńscy będą się nazywać - poprawił ją Andrzej z uśmiechem. - Tak samo jak ich mama, tylko w odwrotnej kolejności.

- Szebio? - Patinka z wrażenia nie przełknęła szczupakowej kulki. - Naphawdę zmienisz nażwiszko?

- Naprawdę, naprawdę. Przykro mi, babciu, ale tym razem żadną klątwą mnie nie przekonasz. To już postanowione.

Babcia tylko wzruszyła ramionami, przeżuując z rozanieleniem mordoklejkę z maku i migdałów. Wszystko jej było jedno w kwestii nazwiska wnuczki, pod warunkiem, że nie legitymował się nim przygłupi Rafałek posiadający DNA zwichrowanej mamusi. Andrzej mamusię miał bardzo sensowną, nie był przygłupi i już wielokrotnie udowodnił, że bliżej mu do bohatera niż ameby. Wszystko zatem było w porządku i protestować nie zamierzała.

Wieczera płynęła nieśpiesznie, rozmowy toczyły się głównie wokół trzech zamkniętych spraw kryminalnych i co chwilę zahaczały o podkomisarza Bączka. Być może zahaczono o niego o jeden raz za dużo, bo nagle telefon Andrzeja zadzwonił, a na jego wyświetlaczu pojawił się numer wrocławskiego śledczego. Na domiar złego w tym samym momencie zaczęła brzęczeć komórka Henryka, sygnalizując nadejście połączenia od inspektora Wilczyńskiego.

Lewczyński i Grabski spojrzeli na siebie znacząco, po czym równocześnie podnieśli się od stołu i wyszli do holu. Wrócili po niespełna trzech minutach.

- Mówiłam, że do tego ślubu za daleko - rzuciła natychmiast zdenerwowana pani Krystyna. - Kogo znowu zabili?!

- Uspokój się, duszko - odparł Henryk łagodnym tonem. - Nikogo nie zabili, z życzeniami dzwonili.

- Oesu, jak dobrze, bo my tu mamy awarię - rzuciła Patinka blada jak ściana. Patrzyła przy tym na Edytę tak, jakby tamta zaczęła się co najmniej rozkładać.

- Jezu Chryste, Edytka! - Pani Basia zerwała się w panice. - Dziecko, oddychaj, oddychaj, to tylko wody odeszły.

- *O mamma mia!* - wrzasnął Emil. - Czy z wami nigdy nie może być spokoju?

- Wstawać natychmiast, jedziemy do szpitala! - zaordynowała pani Krystyna, dla której takie awarie to był chleb powszedni. - Ty zostajesz, Emilu, potrzebny tam jesteś jak świni siodło. Wy też, rude kozy, zostajecie w domu. I Tadzio z Mateuszem.

W niewielkiej panice Edyta, pani Basia, Patinka i babcia Prusko zapakowały się do auta, wysyłając Henryka z Andrzejem po rzeczy rodzącej.

Wsiadając do samochodu, panowie uzgodnili, że o znalezieniu trupa augustowianina we Wrocławiu poinformują je później, w końcu denat nigdzie nie ucieknie.

KONIEC

Od autorki

„Edyta nie znosiła pożegnań, dlatego też ze wszystkich sił starała się ich unikać”. To zdanie otwierające *Wesela nie będzie!* odnosi się i do Edyty, i do mnie. Nie znoszę pożegnań i nierzadko zdarza mi się angielskie wyjście. Nie lubię powrotów z podróży, kończenia imprez i zamykania kolejnych rozdziałów. Tak w życiu jak i książkach. Dziś przyszło mi pożegnać bohaterów serii zapoczątkowanej książką *Pruskie baby*, czemu towarzyszą dokładnie te same uczucia: smutek, żal – co tu dużo mówić: już tęsknię!

Edyta Prusko, jej babcia, Andrzej Lewczyński, podkomisarz Bączek, inspektor Wilczyński, Karolina, Patinka, Henryk, Emil Mirosławski to ludzie, z którymi spędziłam setki godzin, których poznałam jak chyba nikogo innego. Lubię ich ogromnie i nie obraziłabym się, gdyby nagle pojawili się w moim życiu w cielesnych formach.

Nie byłabym jednak sobą, a *Kwestia czasu* nie byłaby doskonałym zakończeniem trzyczęściowej opowieści o wyjątkowej rodzinie podlegającej niespotykanym igraszkom losu, gdybym nie puściła na koniec oka. Zrobiłam to także dlatego, że być może kiedyś przyjdzie mi do głowy, żeby sprawdzić, czy dzieci Edyty są podobne do tatusia. Albo, nie daj Boże, do świętej pamięci babci...

*

Kwestia czasu to część, której pisanie było najtrudniejsze. Przede wszystkim dlatego, że nie miałam już zbyt wielu okazji, żeby wyzłośliwiać się na Adaminie Lukrecji Surym. Po wtóre –

jedyną zaczerpniętą z rzeczywistości historią była opowieść o zjawiającym się na progu domu nieznanym bracie. Historię „nowego wujka” opowiedział mi mój przyjaciel, a ja natychmiast postanowiłam wpleść ją w życie Edyty. Wszystkie pozostałe wydarzenia zostały mi przedstawione lub pokazane przez bohaterów powieści, którzy niejednokrotnie mnie zaskoczyli.

*

Antycypując pytanie, którego spodziewam się w pierwszej kolejności, odpowiadam tu i teraz: wcale nie zamierzałam go zabić. Mało tego! Płakałam jak bóbr, pisząc scenę, w której Edyta żegna się z mężem. Niemal do ostatniej chwili nie miałam pojęcia, jak potoczą się losy tych dwojga i czy Edyta w końcu wybaczy Rafałowi jego rafałkowatość. Podobnie jak Patinka jestem od samego początku w team Jędrak, jednak dopuszczam możliwość przebaczenia błędów. Ciężki orzech do zgryzienia rozłupał się sam, ku mojemu wielkiemu zaskoczeniu. Wszelkie zatem skargi i zażalenia proszę kierować do narratora, autorka już to po dwakroć uczyniła.

*

Tworząc cykl, miałam nadzieję, że poza dostarczaniem rozrywki uda mi się także przemyścić nieco wiedzy, po którą pewnie nikt poza nawiedzoną miłośniczką folkloru i skansenów nigdy by nie sięgnął. Stąd w książkach pojawia się Podlasie ze swoimi tradycjami i kulinariami, cudowny Augustów, zachwycająca Szklarska Poręba, urokliwe Jastrzębie-Zdrój z najpiękniejszym parkiem, jaki widziałam w życiu. Te miejsca koniecznie trzeba zobaczyć na własne oczy, poczuć ich klimat, posmakować specjałów i posłuchać śląskiej gwary, choć Jastrzębie wcale aż tak bardzo nie godo.

*

Podczas pisania *Kwestii czasu* zdałam sobie sprawę z tego, że poza nałogowym piciem kawy i nieustannym kłapaniem dziobami moi bohaterowie ciągle jedzą. Serio. Zrozumiałam wreszcie, dlaczego na kolejną bohaterkę wybrałam restauratorkę.

*

Mam wielką nadzieję, że lektura *Pruskich bab, Wesela nie będzie!* i *Kwestii czasu* stanowiła dla Ciebie tak samo wielką przyjemność, jak dla mnie ich pisanie. Praca pisarza polega na nieustannym odkrywaniu, dziwieniu się, wkurzaniu i radości. Tego samego życzę Tobie. I z całego serca cieszę się, że jesteś.

Podziękowania

Praca nad cyklem o Pruskich babach była prawdziwą przyjemnością. Oraz męką. Niewyczerpanym źródłem radości, zwątpienia, a zarazem ogromną przygodą.

Dziś, oddając tę książkę w ręce Czytelnika, mogę z całą odpowiedzialnością stwierdzić, że jestem zupełnie inną pisarką niż osiem miesięcy temu. Z pokorą, niekiedy łzami, ale i zachłannością przyjęłam wszystkie krytyczne uwagi, życzliwe wskazówki i przyjacielskie sugestie. Każda opinia wniosła wiele do mojego warsztatu, za co prawdopodobnie nigdy nie zdołam się odwdziaczyć.

Arkowi Lewickiemu dziękuję za rozjechanie czołgiem *Pruskich bab*, dzięki czemu nie tylko spadłam spod sufitu, ale ustrzegłam się wielu błędów debiutantki.

Kindze Rak za życzliwość, mentoring, ciężką pracę, zaangażowanie, a przede wszystkim wiarę we mnie i moje książki.

Basi Kaszubowskiej za opiekę, wsparcie, mądrość i ogromne serce. O włożonej w trylogię pracy chyba wspominać nie muszę.

Robertowi Ratajczakowi po pierwsze: za zaufanie i niezłomną wiarę w magię *Pruskich bab*, a potem *Wesela i Kwestii czasu*. Po drugie: za opiekę, za wsparcie, za pogaduchy, gratulacje. No i za przełknięcie różowych okładek – domyślałam się, jak wiele to ustępstwo musiało kosztować.

Natalii Jargieło za przyjaźń, niezwykłą otwartość, najpiękniejsze okładki na świecie, noszenie wianków, interwencje w chwilach mojej słabości. Za tony wiadomości na

Messengerze, każde ciepłe słowo i wsparcie w chwilach, w których dopadły mnie demony.

Marcie Kisiel za wsparcie moralne, psychiczne i redakcyjne! Za życzliwość i przychyłność. Królowa Śliweczka jest Twoją dłużniczką.

Staszкови Bubinowi za wspaniały kontakt, wszystkie komplementy i przecudowne recenzje. Za wyjątkowe spotkanie autorskie. Cieszę się, że mogłam Cię poznać.

Klubowi Mamuśki za odważne zmierzenie się z debiutem i wszystkie ciepłe słowa.

Aldonie Reich za pogaduszki, komplementy, życzliwość i wielką wiarę w mój talent.

Basi Serkies za bycie opoką, pierwowzorem Karoliny i najlepszym paparazzo pod słońcem.

Moim przyjaciółkom: **Patrycji, Magdom, Dagmarze, Agnieszce oraz Ani** za zgodę na upublicznienie naszych przygód w części *Wesela nie będzie!*. Dziewczyny, jesteście boskie!

Najwspanialszym Patronkom, dzięki którym o różowych książkach mógł usłyszeć świat. **Zuza Maniek, Paulina Ampulska, Sylwia Albin-Dudziak, Sylwia Szczepańska, Sylwia Prus, Mariola Sokal-Dziura, Krysia** – dziękuję Wam za zaangażowanie, Waszą szczerą radość i za to, że wzięłyście na klatę firmowanie własnymi nazwiskami tych książek. Jestem dumna, patrząc na czwarte strony okładek.

Dziękuję Ci, mój **Czytelniku**,
w końcu te książki powstały wyłącznie dla Ciebie.

Μαγνητική
Γενετική

Z tej samej serii



Nikt tak nie potrafi zepsuć świąt jak własna rodzina. Zwłaszcza gdy znienacka postanawia dać się zabić...

Edyta, uciekająca od nieszczęśliwego małżeństwa na rodzime Podlasie, niespodziewanie znajduje się w centrum kryminalnej intrygi. Rodowe sekrety jeden po drugim wdzierają

się w sielską atmosferę Wielkanocy. Komendzie Wojewódzkiej Policji we Wrocławiu patrzy na ręce ABW, w Augustowie na jaw wychodzą zaskakujące koligacje, a zbiegi okoliczności mnożą się niczym grzyby po deszczu.

Nieszczęśliwa dziewczyna, samolubny maminsynek, zdemoralizowana kuzynka, przebojowa babcia i błyskotliwy policjant. A nawet trzech policjantów.



Plan Edyty był prosty: rozwieść się z Rafałem, spakować manatki i wrócić na Podlasie. Najpierw jednak należało pożegnać stan wolny Magdusi.

Kiedy znika Andzia, a w Szklarskiej Porębie zostają znalezione zwłoki, drogi Edyty Prusko i sierżanta Bączka ponownie się krzyżują. Przypadkowe spotkanie w górskim schronisku przywraca pamięć o dawnej zbrodni, dolnośląskie śledztwo z dnia na dzień zatacza coraz szersze kręgi, a atmosfera wokół Edyty gęstnieje.

„Wesela nie będzie!” to pełna szalonych zwrotów akcji, pędząca jak pociąg Kolei Dolnośląskich kontynuacja przygód Edyty Prusko zgłębiająca siłę kobiecej przyjaźni i okrucieństwo spaczzonego umysłu.

MAŁGORZATA STAROSTA



Urodzona w 1982 roku we Wrocławiu, ukończyła filologię polską, studiowała etnologię i antropologię kulturową na Uniwersytecie Wrocławskim. Wyróżniana w ogólnopolskich konkursach - w 2008 roku w Konkursie Literackim na bajkę „Muzyka w duszy gra” oraz w 2011 roku w 7. edycji Konkursu

Literackiego Uniwersytetu Gdańskiego za opowiadanie „Gdzie jest mój mąż?”. Zawodowo związana z branżą finansową, gdzie odpowiada za nadzór nad procesami i procedurami windykacyjnymi. Amatorka klasycznych kryminałów i realizmu francuskiego. Wielbicielka Joanny Chmielewskiej, Agathy Christie i Honoriusza Balzaka. Prywatnie mama Czorta i Focha.